PRZECIW PANDEMII
Reportaże z czterech stron świata

TARCZE WŁADZY
Kto straci, kto zyska, kto wygra, kto przegra

BEZ SPOWIEDZI
Moc Wielkanocy i grzechy ciężkie

SMUGA ŻYCIA
Dwaj geniusze w pojedynkach

ZEW DROGI
Tajemnicze losy wyprawy Franklina

Kraków 5 kwietnia 2020 nr 14 (3691) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Abp GRZEGORZ RYŚ

Ducha nie gaśmy

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

TYGODNIK POWSZECHNY

Chcesz otrzymać wydanie „Tygodnika” na Wielkanoc

– zamów prenumeratę!

Zapraszamy Was do lektury wydania wielkanocnego „Tygodnika Powszechnego”. Niezmiennie od 75 lat jesteśmy wtedy w Waszych domach, dzielimy z Wami kwestie najważniejsze, te mniej ważne, albo i z pozoru błahe, ale dające nam wszystkim nadzieję. Tak, to będą święta inne niż wszystkie, które przeżyliśmy razem dotychczas. W czasie oddalenia tym bardziej potrzebujemy wzajemnej bliskości, również bliskości Boga. Szukaliśmy jej dla Was w tekstach numeru na Wielkanoc.

W tym roku wszyscy stajemy przed wyzwaniem, jakie postawił przed nami kryzys epidemiczny. Ze względu na to nie wiemy, ile punktów z prasą będzie czynnych oraz jak będą pracowali dystrybutorzy. Pewne jest, że **wydrukujemy „Tygodnik” i dostarczymy go naszym Prenumeratorkom i Prenumeratorom do domu.**

Zespół „Tygodnika Powszechnego”

Co zyskujesz? Zobacz szczegóły promocji wielkanocnej pod adresem:

powszech.net/tygodnikwdomu

UWAGA! Aby mieć pewność rozpoczęcia prenumeraty na czas – złóż zamówienie przed 5 kwietnia 2020!

Kontakt w sprawie prenumeraty:
Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 668 479 075 lub e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl – wydania drukowane
Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 lub e-mail: kontakt@powszechswiat.pl – wydania cyfrowe

Regulamin prenumeraty i promocji na **powszech.net/regulamin**

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Do pustego kościoła*

24 marca o 17.00, w 75. rocznicę „Tygodnika", odprawiłem w krakowskiej bazylice św. Floriana mszę św. za żywych i zmarłych redaktorów, pracowników, przyjaciół i nieprzyjaciół oraz za czytelników naszego pisma. Dziwna msza. W mroku nawy majaczyła jedna postać, potem zauważyłem jeszcze dwie. W kanonickiej stalli ustawiono statyw z kamerą. Transmituje ona wszystkie msze i nabożeństwa u św. Floriana, można w nich zdalnie uczestniczyć.

Zawsze przychodziło mi z trudem sprawowanie liturgii – a zwłaszcza mówienie homilii – przed kamerami. Homilia nie jest wyrecytowaniem tekstu, lecz niepowtarzalnym wydarzeniem, jak cała liturgia. Dlatego nie godziłem się na umieszczanie moich homilii w internecie. Wysłuchanie gadającej głowy to nie udział w liturgii, której integralną częścią jest homilia. Wykład, pogadanka, ostatecznie nauka rekolekcyjna – proszę bardzo. Ale wyrażających się przez liturgię wiary, nadziei i miłości nie da się transmitować. Tak to czułem.

Bo kiedy mówię do zgromadzonych ludzi, to dzielę się tym, czym sam żyję. Możemy popatrzeć sobie w oczy, oni widzą mnie, a ja widzę, jak reagują: mimiką, uśmiechem, wypisaną na twarzach uwagą. Ktoś pokiwa głową, ktoś się skrzywi. Widzę tego, który słucha, i tego, który drzemie. Kontakt nawiązany w czasie liturgii jest jedyny i niepowtarzalny. Protagonistami jesteśmy wszyscy. Nawet jeśli w niedzielę rano powtarzam mniej więcej homilię z soboty wieczorem, to nigdy nie jest to całkiem to samo. Zawsze ta poranna jest na nowo przemyślana.

A w 75-lecie „Tygodnika" pusty kościół...

Specjaliści przewidują, że ta sytuacja potrwa jeszcze co najmniej kilka miesięcy. Więc nie ma wyboru, trzeba opanować sztukę mówienia do pustego kościoła. Sztukę zwracania się do niewidzialnych uczestników liturgii, obecnych (lub nieobecnych) przez internet. Teraz, kiedy na mszy św. w kościele nie może być więcej niż pięć osób, musimy, my księża, nauczyć się komunikowania ze wspólnotą niewidzialną.

Nie milczącą, bo reakcje przychodzą natychmiast. Często zresztą dotyczą one technicznej strony (np. dziś rano: „zróbcie coś z głosem, bo huczy"). Są też głosy odnoszące się do meritum.

Często oglądam strony ojca Adama Szustaka OP, który „duszpasterstwo internetowe" prowadzi od dawna. Jego Droga Krzyżowa i codzienny różaniec „gromadzą" więcej osób, niż byłoby możliwe w realu. Jak on to robi? Nie wiem, czy dziś w seminariach klerycy się tego uczą. To ryzykowne, bo przewodniczenie modlitwie wspólnoty pod okiem kamery łatwo może prowadzić do przysłonięcia sobą Pana Boga. Mistrzostwo o. Szustaka polega na tym, że przewodnicząc modlitwie jest – jak inni – jej uczestnikiem. Oraz na tym, że kiedy mówi (a nie „głosi"), jest autentyczny i przekonujący. Jest kimś, kto się dzieli tym, czym sam żyje. No i nie ględzi, nie powtarza pobożnych banałów, i czasem zaskakuje interpretacją Ewangelii. Można się z nim w czymś nie zgadzać, nic nie szkodzi. Ważne, że ani trochę nie jest on zaprogramowanym, przewidywalnym do bólu robotem, powtarzającym wdrukowane mu teksty. Nie namawiam, żeby o. Szustaka naśladować, ale wszystkim radzę się od niego uczyć sztuki zdalnego komunikowania. Wiem, że takie dzielenie się wiarą jest od dawna znane, ale teraz stało się jedyną dostępną formą – trudną, bo szczególnie dobrze widoczne są w niej niedoróbki, fastrygi i usterki.

Coraz częściej słyszę, że msza św., homilia czy rekolekcje przez internet bardziej sprzyjają skupieniu. Zasięg internetowych posług religijnych jest nieporównywalnie szerszy niż usług (posług) świadczonych w kościołach. Skończy się pandemia, a one, wreszcie docenione, pozostaną.

Wciąż mi dotkliwie brak naszych wielkich spotkań w kościele. Jednocześnie odkrywam siłę tych nowych spotkań, bardziej duchowych niż fizycznych, a jednak prawdziwych, chociaż na odległość. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Moc czytania – w wielkanocnym wydaniu „Tygodnika"

Święta w kwarantannie | Zmartwychwstanie, które ucieka | Co mówią krucyfiksy
Natalia de Barbaro: pandemia to ćwiczenie | Dlaczego mało nam Bonieckiego
Napiórkowski o samooszukiwaniu się | Krzepa ministra zdrowia | Kantor na nowo
Afganistan – pojednanie, którego nie ma | Czego słuchać na Wielkanoc | Trzecie życie psa
Robiński gapi się w gwiazdy | Markowski i Bieńczyk: pora na przyjemności! | i inne...

Następny „Tygodnik Powszechny" już we wtorek 7 kwietnia w kioskach i salonach prasowych, a w wydaniach cyfrowych tego samego dnia wieczorem.

22 Z tarczą i na tarczy
ROZMOWA Z RYSZARDEM SZARFENBERGIEM, BADACZEM POLITYKI SPOŁECZNEJ:
Marzę o działaniach antykryzysowych skrojonych nie tylko na miarę pracującego Polaka, lecz również z myślą o najsłabszych.

32 Wielkanoc bez spowiedzi
PIOTR SIKORA
Pandemia przeszkadza wielu drogim nam religijnym praktykom. W cale jednak nie musi szkodzić naszej drodze nawrócenia.

42 Junus wraca do domu
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z AFGANISTANU
Dla kraju, w którym od 40 lat trwa wojna, a ponad połowa społeczeństwa żyje w biedzie, COVID-19 jest zagrożeniem, które szybko może wymknąć się spod kontroli.

60 Jak nazwać wirusa
ŁUKASZ LAMŻA
Koronawirus, SARS-CoV-2, a może wirus z Wuhan? W czasach, gdy o tym samym patogenie rozprawiają nie tylko naukowcy, ale i politycy, ten wybór ma znaczenie.

64 W smudze życia
ELIZA KĄCKA
Przepastna metafizyka i niezgłębiona prostota. Anatomia Boga i kiszone ogórki. Tadeusz Różewicz i Ryszard Przybylski przyglądają się sobie.

68 Opowiedzmy siebie na nowo
ROZMOWA Z DOMINIKĄ SŁOWIK, PISARKĄ:
Kult kobiecości wpisany jest głęboko w naszą kulturę, która jednocześnie niekoniecznie i nie zawsze jest przychylna kobietom.

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM // BILDAGENTUR / GETTY IMAGES // JUAN CARLOS HERNANDEZ / ZUMA PRESS / FORUM // ŁUKASZ KRAJEWSKI / AGENCJA GAZETA // DANUTA ŁOMACZEWSKA / EAST NEWS // FRIEDRICH, BRIGITTE / SZ-PHOTO / FORUM // PAWEŁ PIENIĄŻEK

6 **Nie państwa interes?**
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

7-13 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

55 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

22 Z tarczą i na tarczy
ROZMOWA Z RYSZARDEM SZARFENBERGIEM

26 Kiedy przez ladę przechodzi front
KRZYSZTOF STORY *o pracy, której nie da się przenieść do internetu*

28 Tydzień z życia tłumaczki
ANNA GOC: *E.L., tłumaczka polskiego języka migowego, codziennie odpowiada na pytania głuchych*

■ ■ WIARA

32 Wielkanoc bez spowiedzi
PIOTR SIKORA

36 Piękne życie
ARTUR SPORNIAK: *Józefa Hennelowa – jak nikt z żyjących związana z historią „TP" – kończy 95 lat*

38 Bankructwo na papierze
MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO: *Jak Kościół katolicki w USA broni się przed pozwami ze strony ofiar pedofilii*

41 I wy chcecie odejść?
ZBIGNIEW NOSOWSKI: *Rekolekcje wielkopostne: polskie pokusy (VI)*

■ ■ ŚWIAT

42 Junus wraca do domu
PAWEŁ PIENIĄŻEK

TEMAT TYGODNIKA

GRAŻYNA MAKARA

14 Ducha nie gaśmy
Z ARCYBISKUPEM GRZEGORZEM RYSIEM, METROPOLITĄ ŁÓDZKIM, ROZMAWIA MACIEJ MÜLLER:
Bóg jest w chorych. W umierających. W lekarzach. W wolontariuszach. W każdym z nas. W każdym z nas jest miłością.
Mamy wielu proroków ogłaszających, że Bóg karze ludzi za grzechy i zatrzaskuje rozdział Ewangelii zatytułowany „miłosierdzie". Tylko że to nie jest interpretacja chrześcijańska.

■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER **54** ANDRZEJ STASIUK
76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: ABP GRZEGORZ RYŚ
Fotografia: BOGDAN KRĘŻEL / FORUM
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

Szanowne Prenumeratorki, Szanowni Prenumeratorzy!

W najbliższych tygodniach mogą powstać problemy z dostawą „Tygodnika Powszechnego" do Państwa skrzynek. Dokładamy wszelkich starań, by druk i spedycja odbywały się bez opóźnień, jednak nie mamy wpływu na cały łańcuch dystrybucji. Prosimy serdecznie o wyrozumiałość oraz cierpliwość.

45 Prezydent śle całusy
SZYMON OPRYSZEK Z PANAMY I MEKSYKU *o epidemii COVID-19*

48 Wyspiarskie sprzeczności
PATRYCJA BUKALSKA: *W czasach epidemii Brytyjczycy zaskakują*

50 Zbrodnia i skrucha
NATALIA OJEWSKA Z RWANDY *o próbie pojednania Hutu i Tutsi*

■ ■ HISTORIA

56 Białe plamy, czerwone plamy
ANNA ŁABUSZEWSKA: *Historyczne kłamstwa Putina w służbie polityki*

■ ■ NAUKA

60 Jak nazwać wirusa
ŁUKASZ LAMŻA

63 Cyfrowa pandemia
KASPER KALINOWSKI: *Do czego może się przydać gra komputerowa*

■ ■ KULTURA

64 W smudze życia
ELIZA KĄCKA

68 Opowiedzmy siebie na nowo
ROZMOWA Z DOMINIKĄ SŁOWIK

71 Cyfrowy kapitalizm przeciw wolnej woli
JAKUB MAJMUREK *ogląda serial HBO „Devs" o Dolinie Krzemowej*

74 Infodemia
ANITA PIOTROWSKA *o filmie dokumentalnym „Postprawda. Dezinformacja i koszt fake newsów"*

76 Jawa między snami
LEKTOR *o książce Piotra Bratkowskiego*

■ ■ ZMYSŁY

78 Żal Lady Franklin
MARCIN ŻYŁA *o tajemnicy zaginięcia najsłynniejszej wyprawy arktycznej*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Polak na kwarantannie
Dwie trzecie badanych przyznało, że konieczność przebywania w domu była dla nich dużą zmianą w sposobie życia. Na dobre i złe – tłumaczy **GRZEGORZ CAŁEK,** autor badań zachowań Polaków w pierwszym tygodniu kwarantanny. **powszech.net/na-kwarantannie**

Rozmowy o byciu razem [Podkast Powszechny]
Zalewają nas teraz potoki słów. A są ludzie, którzy czekają tylko na to, by się przytulić i pomilczeć – mówi **ANNA DYMNA** w cyklu rozmów o tym, co dawał, daje i dawać będzie fakt, że stanowimy wspólnotę. **powszech.net/rozmowy-razem**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

NIE PAŃSTWA INTERES?

To coś więcej niż utrata płynności czy nawet konieczność zamknięcia firmy. Tysiące Polaków mogą wyjść z tej epidemii z ranami nie do zagojenia.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

OMAR MARQUES / GETTY IMAGES

Przed schroniskiem dla osób bezdomnych w Krakowie, 18 marca 2020 r.

Trwa ogólnopolska licytacja na straty. Rząd musi tych głosów wysłuchać. Ale musi też pamiętać o wykluczonych, którzy nie mają swoich lobbystów i nie potrafią zadbać o siebie" – mówi w wywiadzie na dalszych stronach prof. Ryszard Szarfenberg, badacz polityki społecznej. Chwilę później pada zdanie – niestety – częściowo profetyczne: „Nie chciałbym usłyszeć pewnego dnia w telewizji, że w jakimś polskim domu spokojnej starości poumierali niemal wszyscy pensjonariusze, bo nie było jak przeprowadzić kwarantanny (...) jak we Włoszech". Piątek 27 marca (dwa dni po tym, jak dziennikarz przeprowadzał wywiad) przyniósł informację o Domu Pomocy Społecznej w Niedabylu k. Radomia, gdzie 60 osób zakaziło się SARS-CoV-2. A niedziela: o 12 zarażonych w podobnej placówce w Jakubowicach.

Dziś to jedno z ważniejszych pytań dla polskiego państwa i lokalnych władz: Co z tysiącami pensjonariuszy DPS-ów, Zakładów Opiekuńczo-Leczniczych, schronisk dla bezdomnych, wypełnionych ludźmi starymi i schorowanymi? Wojewodowie wydali wytyczne na czas zagrożenia, ale – jak mówią kierujący placówkami – zalecenia te są zbyt ogólniko-

we, by zadziałały w największym kryzysie. Problemem jest szczuplejąca kadra: niektórzy pracownicy korzystają z uprawnień związanych z opieką nad szkolnymi dziećmi. Ci, którzy zostają, dzielą z mieszkańcami lęki: co jeśli pojawią się zachorowania? Kto zajmie się ludźmi, gdy zakazi się personel? Czy przyjmować nowych pensjonariuszy? Siostra Małgorzata Chmielewska donosiła niedawno o jednym ze swoich mieszkańców – przyjechał ze szpitalnym wypisem i zaleceniem: „Wymaga kwarantanny"...

Niewiele lepiej jest w domach dziecka. „Czwórkę dzieci podrzucili mi pod dom, jak niechciane psy" – mówił niedawno lokalnym mediom dyrektor placówki w Chełmnie, alarmując, że przewidziane jako miejsca resocjalizacji Młodzieżowe Ośrodki Socjoterapii pozbywają się na czas epidemii pensjonariuszy. Także w placówkach dla dzieci problemem jest topniejąca kadra.

Aż chciałoby się zakrzyknąć: państwo zostawiło najsłabszych! I pewnie na słuszność tego okrzyku znalazłyby się argumenty – choćby wskazywany przez prof. Szarfenberga brak tarczy antykryzysowej dla wykluczonych, na modłę tego dla świata pracy i płacy. Ale pamiętajmy: ta epidemia przerosła wszystkich – każdy niemal sektor naszego życia albo liże już rany, albo czeka na tąpnięcia.

Można by więc poprzestać na postulacie minimum: niech państwo nie buduje nowych przestrzeni wykluczenia. Bo czym innym jak jego zadekretowaniem, a nawet wzmocnieniem, jest nieszczęsna decyzja ministra edukacji, by jak gdyby nigdy nic kontynuować realizację podstaw programowych, a nauczycieli rozliczać z odhaczania kolejnych punktów? Z jakim bagażem wyplucia na margines wyjdą z tej epidemii dzieci z rodzin biednych, wielodzietnych, bez dostępu do komputerów, sieci, mieszkający w domach dziecka?

Owszem, *mainstream* polskich problemów czasu epidemii jest gdzie indziej: to dzieci i ich rodzice miotający się między zdalnym wyrabianiem PKB a – także zdalnym – realizowaniem szkolnych programów; to pracownicy bez stałych umów; drobni przedsiębiorcy. Ale to za murami DPS-ów, ZOL-ów, schronisk, domów dziecka toczyć się teraz będą gry o najwyższe stawki. ©℗

Nocna szulerka wyborcza

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Mając do wyboru porozumienie z opozycją na czas wirusowego kryzysu lub też polityczną szulerkę, Jarosław Kaczyński pozostał sobą.

Hasło walki z epidemią i pomocy tym, dla których nadciągają trudne czasy, stało się tylko zasłoną dla brutalnej polityki. Wykorzystując głosowanie Sejmu nad pakietem pomocowym – zwanym szumnie „tarczą antykryzysową" – Kaczyński w środku nocy podrzucił do projektu zmianę kodeksu wyborczego.

Chodzi o wprowadzenie głosowania korespondencyjnego dla osób chorych („w izolacji"), na kwarantannie oraz wyborców starszych, ponad 60-letnich. To doraźna zmiana, by uniknąć zarzutów, że w obliczu epidemii liczona w dziesiątkach tysięcy grupa wyborców pozbawiona zostałaby prawa głosu. Kiedyś Kaczyński twierdził, że głosowanie korespondencyjne to droga do korupcji politycznej i praktycznie je zlikwidował. Ale dziś ma interes polityczny, by zmienić zdanie. Potrzebuje głosów seniorów, bo w tej grupie ma wielu wiernych wyznawców.

Skąd ta determinacja? W maju Andrzej Duda ma szansę wygrać w pierwszej turze, bo od wybuchu epidemii odgrywa rolę ojca narodu, jego konkurenci nie mają jak prowadzić kampanii ze względu na zakaz zgromadzeń (Małgorzata Kidawa-Błońska zawiesiła kampanię i wezwała do bojkotu wyborów). W razie zwycięstwa Kaczyński będzie miał ponad 3 lata spokoju do wyborów sejmowych w 2023 r. A przesunięte wybory to ruletka. Za kilka miesięcy sytuacja gospodarcza może być fatalna – wtedy Duda mógłby przegrać.

Determinacja prezesa może nie wystarczyć, jeśli chorych będą grube tysiące, a ofiary zaczną być liczone dziesiątkami – a to bardzo realny scenariusz. Nawet z obozu PiS dobiegają sygnały zwątpienia – sam Duda oświadczył, że wybory mogą się nie odbyć w terminie.

No bo czy znajdzie się ponad 200 tysięcy chętnych do wielogodzinnej pracy w komisjach wyborczych? Czy samorządy zajęte dramatyczną sytuacją w swych szpitalach i kleceniem edukacji zastępczej będą w stanie organizacyjnie przygotować głosowanie? Prąc do wyborów za wszelką cenę, Kaczyński ryzykuje wiele: może stracić życzliwe dotąd PiS-owi emocje wielu Polaków. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

Sprawdzian i szansa dla szkoły

FRUSTRACJA. Nie jest to obce słowo w rozmowach o szkole: jej przeładowanych i nieadekwatnych niekiedy programach, jej przestarzałych nieraz metodach, jej zbyt często wypalonych i kiepsko opłacanych nauczycielach. Teraz jednak zyskało dodatkowy wymiar, w momencie, gdy zdalny system nauczania, oparty głównie na elektronicznym dzienniku Librus, nie tylko ujawnił wewnętrzne słabości (używany przez zbyt wiele osób naraz zwyczajnie się zawiesił), ale zwrócił uwagę na sprawy bardziej podstawowe. Odrabiający nadsyłane *via* Librus zadania uczniowie zostali odcięci od relacji rówieśniczej i relacji (zgoda: rzadszej niż tamta, ale wciąż występującej) z mistrzami, jakimi bywają nawet ci zmęczeni nauczyciele.

W tym miejscu warto się zatrzymać. „Czyż nie jest tak, że przeciążona zwalczaniem pandemii, zdradzająca pierwsze objawy paniki, administracja szkolna odpuszcza scentralizowaną, autorytarną nad Wami kontrolę?" – pyta nauczycieli Wojciech Eichelberger na portalu „Nie dla chaosu w szkole". Praca zdalna to przecież nie tylko bariery techniczne (często nieprzekraczalne, jak brak sprzętu czy dostępu do sieci – pisze o tym obok Przemysław Wilczyński), ale także szansa na bardziej tutorski (i autorski) model kontaktu z uczniami. A nawet z rodzicami, co mówię na własnym przykładzie, bo co tydzień uczestniczę w konsultacjach, jakie organizuje wychowawca mojego syna.

Jasne: z rozporządzeń MEN wynika, że edukacja zdalna ma się odbywać wedle starych wymogów, ale w możliwość ich egzekwowania chyba nawet minister Piontkowski nie wierzy. Ten wyjątkowy czas naprawdę może coś zmienić – także w szkole.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

KRAJ W SKRÓCIE

SONDAŻE

Z sondażu SW Research dla „Rzeczpospolitej" wynika, że 15 proc. Polaków spędzi Wielkanoc samotnie. Ponad 60 proc. badanych obawia się utraty pracy lub obniżenia poziomu życia, a 23,8 proc. w ogóle nie wychodzi z domu.

PROCENTY

Polskę dusi nie tylko epidemia: nie ustępuje także smog. W ostatni weekend marca normy pyłów zawieszonych w miejscowościach otaczających Kraków przekroczono nawet o 460 proc., a w Warszawie – o 600 proc.

TABELKI

Z danych GUS wynika, że mamy wciąż więcej zgonów niż urodzeń. W pierwszej połowie 2019 r. przyrost naturalny wyniósł -1,4 na 1000 ludności; było nas wtedy 38,3 mln, z czego ponad 19,8 mln kobiet.

BRAK DANYCH

Sieć Obywatelska Watchdog Polska i Helsińska Fundacja Praw Człowieka zaapelowały do ministra zdrowia, Sanepidu i dyrektorów szpitali o przestrzeganie prawa do wolności słowa personelu medycznego i powstrzymanie się od „nakładania nadmiernych ograniczeń czy też wyciągania konsekwencji wobec medyków pełniących rolę sygnalistów". Wcześniej np. Ministerstwo Zdrowia zakazało wojewódzkim konsultantom wypowiadania się na tematy związane z koronawirusem i poprosiło ich o przesłanie dotychczasowych opinii dotyczących epidemii.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

PAWEŁ PIENIĄŻEK, autor korespondencji z Afganistanu (s. 42), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia Tok FM, w czwartek 2 kwietnia, o godz. 16.00
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

GRAŻYNA MAKARA

KIEDY KS. ADAM BONIECKI odprawiał w zeszły wtorek mszę za redaktorów i czytelników „Tygodnika" w 75-lecie pisma, na drzwiach krakowskiego kościoła św. Floriana wisiała kartka z liczbą „50" i pospiesznie przekreślonym zerem – władze ledwie godzinę wcześniej obniżyły dziesięciokrotnie limit osób w kościołach. Tę mszę ks. Adam odprawiał przez internet, patrząc na „niewidzialną wspólnotę", o której pisze w edytorialu tego numeru. Słowa liturgii roznosiły się z pogłosem właściwym pustym wnętrzom. Ale myliłby się ten, kto sądziłby, że nas tam nie ma. „Nie jest to kółko ministrantów, są to ludzie z charakterem" – mówił ks. Adam o zespole „Tygodnika" w homilii. Żadne zakazy nie mogły sprawić, byśmy byli tam mniej obecni. Te puste ławki były gwarne. ©℗ PB

ANDRZEJ STAWIŃSKI / REPORTER

Nie ma ludzi, są zwierzęta

ZMNIEJSZYŁ SIĘ RUCH W GÓRACH. – Nie ma turystów, jest pusto. Ostatnio Bieszczady wyglądały tak pół wieku temu – opowiada „Tygodnikowi" Waldemar, gospodarz bacówki PTTK w Jaworzcu koło Wetliny (na zdjęciu). – Bardziej widoczne są zwierzęta. Pod schronisko przychodzi niedźwiedź. Żeby go odstraszyć, na noc zakładamy elektrycznego pastucha. Na 50-kilometrowej drodze do Leska minąłem w niedzielę dziewięć aut.

Bacówka pozostanie zamknięta co najmniej do 12 kwietnia. – Wiele obiektów noclegowych, zwłaszcza tych dzierżawionych, będzie miało problemy finansowe. Ludzie już szukają pracy. W ostatnich dniach dostałem 87 podań – mówi Waldemar.

Zakazy wejść obowiązują w parkach narodowych: Bieszczadzkim, Tatrzańskim i Babiogórskim. Magurski, Gorczański i Pieniński zamknęły centra edukacyjne i wieże widokowe, lecz turystyki nie zabraniają. Stoi kolejka na Kasprowy Wierch, flisacy nie spływają Dunajcem. Wiele nadleśnictw z południa Polski wycofało jednak zakazy wstępu do lasów, wprowadzone po tym, gdy w weekend 21-22 marca pod Puszczą Niepołomicką koło Krakowa parkowało kilkaset samochodów.

Roman Latoń z Nadleśnictwa Nowy Targ potwierdza, że turyści trzymają dyscyplinę: – Chodzą sami lub z rodzinami. W weekend tylko pojedyncze osoby wbiegały na Turbacz. Czasem spotkam kogoś w rezerwacie „Bór na Czerwonem". Mam tu takich, którzy mówią: „Panie, jakbym tu raz dziennie nie był, tobym się źle czuł!".

Jak mądrze cieszyć się z lasów? Leśnicy radzą: spacerować w dni powszednie oraz rano lub przed zachodem słońca, gdy ludzi jest mniej; skracać wizyty; unikać ryzyka, które skutkowałoby koniecznością wzywania pomocy. Mamy w Polsce 9,3 mln hektarów lasów – dość, aby każdy znalazł miejsce dla siebie. ©℗ MARCIN ŻYŁA

Ameryka nowym epicentrum pandemii

USA PRZEŚCIGNĘŁY pod względem liczby zakażeń Chiny i Włochy. A to początek, bo epidemia tutaj dopiero się rozpędza. Zarażonych jest 137 tys. Amerykanów, w wyniku powikłań zmarło 2,4 tys. osób (dane na 29 marca). Najgorzej jest w stanie Nowy Jork, gdzie liczba infekcji rośnie błyskawicznie: w ciągu doby wzrosła o 7,2 tys., do ponad 59 tys. W szpitalach brakuje lekarzy, łóżek, respiratorów i sprzętu ochronnego. Epidemia szybko rozlewa się na sąsiednie New Jersey i Connecticut. Kolejne duże ogniska wirusa są w Kalifornii, stanie Waszyngton, Massachusetts, Luizjanie, Illinois i na Florydzie (na zdjęciu: mobilizacja Gwardii Narodowej w Kalifornii).

Wprowadzane restrykcje – m.in. nakaz pozostania w domach, zamykanie punktów usługowych – są zabójcze dla gospodarki. W ciągu tygodnia przybyło 3,3 mln bezrobotnych; to największy przyrost w historii. Aby złagodzić skutki epidemii, Kongres uchwalił pakiet pomocowy w wysokości dwóch bilionów dolarów. Środki przeznaczone będą na zasiłki dla bezrobotnych, pożyczki dla firm i czeki w wysokości 1200 dolarów dla większości ludzi (obowiązuje kryterium dochodowe).

ETIENNE LAURENT / EPA / PAP

W zeszły piątek Donald Trump skorzystał z ustawy o produkcji wojennej z 1950 r. i nakazał koncernowi General Motors produkcję respiratorów. Prezydent, który do niedawna chciał, by kraj szybko wrócił do normalnego funkcjonowania, przedłużył do końca kwietnia zalecenia dotyczące zachowania społecznego dystansu. Wspomniał też, że rozważa objęcie kwarantanną stanów Nowy Jork, New Jersey i Connecticut, co skrytykował nowojorski gubernator Andrew Cuomo. Władze federalne wycofały się z pomysłu i wprowadziły jedynie ograniczenia w podróżowaniu mieszkańców tych trzech stanów. W kraju, gdzie wobec dużej autonomii władz stanowych trudno o skoordynowane działania, epidemia może mieć fatalne skutki.

© MARTA ZDZIEBORSKA z San Diego

Francja: wybory z konsekwencjami

ZAGROŻENIE JEST NIEWIELKIE – zapewniał prezydent Francji przed wyborami samorządowymi, które odbyły się planowo 15 marca. W tym czasie szkoły i restauracje były już zamknięte, a w Alzacji – regionie, który oprócz Paryża jest najbardziej dotknięty epidemią – szpitale były przepełnione, armia stawiała polowy szpital. Następnego dnia Emmanuel Macron wystąpił z orędziem, w którym oznajmił, że kraj jest „na wojnie" z niewidzialnym wrogiem, i ogłosił kwarantannę. Odtąd sytuacja we Francji stale się pogarsza (w sobotę 28 marca było już 2 tys. zmarłych) – a równocześnie narasta krytyka rządu i prezydenta, że lekkomyślnie dopuścili do wyborów, podczas których wielu ludzi mogło się zakazić.

W ostatnich dniach dyskusja zyskała nowy kontekst: do mediów zgłasza się coraz więcej wolontariuszy, którzy pracowali przy organizacji wyborów, w komisjach, a dziś chorują i twierdzą, że zakazili się właśnie wtedy. Niektórzy rozważają wniesienie pozwów przeciw rządowi pod zarzutem „nieumyślnego spowodowania uszkodzenia ciała" (pytanie, na ile było to nieumyślne: b. minister zdrowia Agnès Buzyn powiedziała w wywiadzie, że już w styczniu ostrzegała premiera. „Powinniśmy byli to wszystko zastopować" – mówiła). Z kolei do francuskiego odpowiednika Trybunału Stanu, przed którym mogą być sądzeni członkowie rządu, wpłynęło pięć pozwów; Trybunał ma zdecydować, czy je dopuści. W międzyczasie władze przesunęły drugą turę wyborów samorządowych na czerwiec, choć niektórzy politycy wątpią, czy będzie ona możliwa w tym terminie.

Z powodu epidemii wiele krajów Europy przesuwa głosowania. Szwajcaria odsunęła na czas nieokreślony zaplanowane na 17 maja trzy referenda, tę typową dla Szwajcarów formę opiniowania (ostatni raz odwołano referendum w 1951 r., z powodu epidemii pryszczycy). Niemieckie landy Hesja, Saksonia i Nadrenia-Palatynat przesunęły wybory lokalne; podobnie austriackie landy Vorarlberg i Styria oraz hiszpańskie regiony Galicja i Kraj Basków. W Rosji i na Gibraltarze odwołano referenda, w Serbii wybory prezydenta, a w Macedonii Północnej wybory parlamentarne.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

Rosja wobec epidemii

ANNA ŁABUSZEWSKA

Koronawirus został dostrzeżony przez władze Rosji jako problem około 20 marca. Tego dnia oficjalnie odnotowano 253 infekcji. Rząd się zebrał, uruchomiono stronę internetową o wirusie. Media uspokajały: władze z wyprzedzeniem podjęły właściwe decyzje, służba zdrowia jest gotowa, środków ochrony w bród. Wcześniej, gdy epidemia szalała w Wuhan i pojawiły się pierwsze przypadki w Europie, sądzono, że wystarczy zamknięcie granic (najpierw dla obywateli Chin, potem Europy).

Pod koniec marca wzrost zachorowań do ponad 1500 (najwięcej w Moskwie: ponad tysiąc) zmusił władze do bardziej zdecydowanych działań. W miastach zamknięto szkoły, restauracje, parki. Prezydent wygłosił orędzie: zapowiedział, że wobec zagrożenia plebiscyt konstytucyjny zostanie przeniesiony. Miał się odbyć 22 kwietnia: naród miał się wypowiedzieć, czy popiera poprawki do konstytucji, w tym wyzerowanie kadencji prezydenckich Putina, co miało umożliwić mu start w kolejnych wyborach. Epidemia skorygowała ten plan. Może także inne przyjdzie weryfikować. Gospodarka, oparta na surowcach, jest wrażliwa na ceny ropy, a te spadają. Im dłużej potrwa bessa, tym więcej rezerw rząd będzie musiał zużyć. Na jak długo ich wystarczy? Prezydent uspokoił, że rząd przyzna ulgi dla małych i średnich firm, pomoże z kredytami i podatkami.

W mediach od wielu dni dużo miejsca zajmują reportaże o operacji pomocy dla Włoch. Ministerstwo obrony wysłało samoloty z epidemiologami i sprzętem. Akcja miała zaakcentować możliwość przeprowadzenia desantu na terytorium państwa NATO, pokazać ułomność Sojuszu. Jaką jeszcze misję ma do wykonania wysłana formacja pod dowództwem gen. Igora Kikotia, pozostaje kwestią otwartą. ©

Więcej na blogu autorki na stronie „TP".

Kobiety Idlibu: wojna zabrała nam siłę

TYGODNIAMI NIE BIORĄ PRYSZNICA, z powodu prywatności. Ograniczają jedzenie i picie, by jak najrzadziej korzystać z toalet. Dla uciekinierek z syryjskiego Idlibu skończyła się ucieczka, dotarły do granicy. Także granicy wytrzymałości.

Salwa ma 46 lat. W Idlibie, mieście w północno-zachodniej Syrii, mieszka od urodzenia. Nie pamięta takiego eksodusu jak ten. W ciągu czterech miesięcy w tym regionie – ostatnim kontrolowanym przez syryjską opozycję i atakowanym dziś przez armię prezydenta Asada oraz jego sojuszników – swoje domy musiało porzucić 960 tys. ludzi. Prawie 80 proc. z nich to kobiety i dzieci. Przebywają teraz na małym obszarze przy tureckiej granicy. Tu też jest niebezpiecznie. Mówi się o tym miejscu: „nowa Strefa Gazy".

– Szczególnie ostrożne jesteśmy nocą – opowiada Salwa, która podczas wojny straciła męża. – Ryzyko napaści jest wysokie. Dlatego nie wychodzimy wtedy na zewnątrz.

Pod turecką granicą ok. 200 tys. ludzi koczuje pod drzewami, na drogach lub w prowizorycznych schronieniach. Nieformalne obozy uciekinierów są przeciążone, ich zagęszczenie widać nawet na zdjęciach satelitarnych. ONZ alarmuje, że bezpieczeństwo kobiet, dziewcząt i chłopców jest zagrożone. Zdarza się, że nastolatkowie są wykorzystywani przez właścicieli nieruchomości, którzy oferują dach nad głową lub pieniądze w zamian za seks. W ostatnich tygodniach odnotowano też przypadki gwałtów.

– Większość kobiet w ciąży, jakie tu widzę, to nieletnie – opowiada Salwa. Szacuje się, że aż 260 tys. kobiet i dziewcząt nie ma dostępu do opieki przedporodowej czy ginekologicznej. Dlatego wiele opóźnia terminy porodu, ryzykując zdrowie i życie. Z kolei po porodzie młode matki nie mają miejsca, gdzie mogłyby opiekować się dziećmi, a jeśli nie mogą karmić, nie są w stanie zapewnić im wyżywienia. To zwiększa zachorowalność i umieralność. Według ONZ, troje na dziesięcioro dzieci w wieku poniżej 5. roku życia cierpi na karłowatość. W całej północnozachodniej Syrii brakuje żywności dla ponad 400 tys. ludzi.

To nie koniec złych wiadomości. W minionym tygodniu władze w Damaszku potwierdziły już 9 przypadków COVID-19 w Syrii (jedna osoba zmarła). Nieoficjalnie mówi się już o setkach infekcji. O tym, co stanie się, gdy koronawirus dotrze do uchodźców stłoczonych pod turecką granicą, nie chce myśleć nikt.

Salwa sama żyje w napięciu, ale wciąż mówi w imieniu wszystkich: – Wojna zabrała nam siłę. Żadne słowa nie oddadzą bólu, nie opiszą tragedii, z jaką mierzą się kobiety w tych obozach. One już są ofiarami wojny, a teraz ich sytuacja z dnia na dzień tylko się pogarsza.

© ALEKSANDRA RUTKOWSKA

Uciekinierzy w Idlibie, luty 2020 r.

BURAK KARA / GETTY IMAGES

Unia–Bałkany: spóźniona decyzja?

PIOTR OLEKSY

Unijni liderzy wyrazili w minionym tygodniu zgodę na otwarcie negocjacji akcesyjnych z Albanią i Macedonią Północną. Ta pierwsza przed rozpoczęciem rozmów musi dokończyć reformę systemu wyborczego i wymiaru sprawiedliwości. Macedonia, która w ubiegłym tygodniu stała się też członkiem NATO, może zacząć procedurę natychmiast. Negocjacje akcesyjne mogą trwać wiele lat i nie muszą zakończyć się wejściem do Unii, ale ten gest był oczekiwany na Bałkanach. Postrzegano go jako test na wiarygodność Unii. Wcześniej decyzję trzykrotnie odkładano, i to mimo wysiłku Macedończyków, którzy zakończyli spór z Grecją o nazwę kraju. W październiku 2019 r. otwarcie negocjacji zablokowała Francja. W międzyczasie nieznacznie zmieniono ich formułę, m.in. kładąc większy nacisk na praworządność.

Obecna decyzja Rady Europejskiej ma pokazać, że w dobie kryzysu Unia działa i umie podejmować strategiczne kroki. Pokazuje to też, że jesienna odmowa wynikała głównie z politycznych ambicji prezydenta Macrona. Czas pokaże, czy zwłoka nie spowodowała wyhamowania euroentuzjazmu w bałkańskich społeczeństwach. Zwłaszcza że nie omija ich kampania informacyjna, w której Unia przedstawiana jest jako rzucona na kolana przez koronawirusa, w odróżnieniu od Rosji i Chin. ©

Birma: dietą w koronawirusa

„DOTĄD NIKT W NASZYM KRAJU NIE ZACHOROWAŁ NA COVID-19" – zapewniła premier Birmy, Aung San Suu Kyi, w wywiadzie dla birmańskiej telewizji. To kolejne publiczne oświadczenie utrzymane w podobnym tonie; wcześniej o braku zachorowań na COVID-19 mówił rzecznik rządu Zaw Htay, dodając, że Birmańczyków chronią... tryb życia oparty na buddyzmie oraz dieta. „Mamy szczęście, bo [chińska] prowincja Hubei znajduje się przecież 1200 mil stąd" – dodał. Rząd Birmy zapewnia, że nie lekceważy zagrożenia. Z oficjalnych statystyk wynika, że 202 osoby z objawami typowymi dla COVID-19 poddano testom; 187 dało wynik negatywny, a w pozostałych przypadkach lekarze zalecili dalszą obserwację i powtórzenie badań. Zagraniczni specjaliści wątpią jednak w wiarygodność rządowych danych. Z regionów pogranicznych napływają doniesienia o już co najmniej 11 zgonach osób z objawami identycznymi z COVID-19.

Pierwszą ofiarę koronawirusa odnotowano oficjalnie także w obozach w Bangladeszu, w których przebywają zbiegli z Birmy Rohingowie. Gęstość zaludnienia sięga tam nawet 40 tys. osób na kilometr kwadratowy, co uniemożliwia wprowadzenie kwarantanny. Liderzy religijni, próbując uspokoić nastroje, rozdają kartki z modlitwą do powieszenia na drzwiach szałasu. ©℗ MAREK RABIJ

VATICAN MEDIA / EAST NEWS

PUSTY PLAC ŚW. PIOTRA był w piątek scenerią modlitwy Franciszka i błogosławieństwa Urbi et Orbi (miastu i światu). Komentując ewangelię o Jezusie śpiącym w łodzi podczas burzy, papież zaproponował pomoc w rachunku sumienia. Pokazał, że ulegliśmy złudzeniu, iż „możemy pozostać zdrowi w chorym świecie". W poczuciu niemal wszechmocy, „chciwi zysków pozwoliliśmy, by pochwyciły nas rzeczy, a pośpiech oszołomił". Oszołomionych „nie obudziły ani wojny i powszechna w świecie niesprawiedliwość, ani nie słyszeliśmy płaczu ubogich i naszej ciężko doświadczonej planety". Obecna burza pandemii – mówi papież – to czas sądu. Tyle że sędzią nie jest Bóg, lecz my: musimy osądzić, „co się liczy, a co przemija", „oddzielić to, co konieczne, od tego, co nie". ©℗ PIOTR SIKORA

Kościół jest siecią

KS. ADAM BONIECKI

Z NARODOWEJ KWARANTANNY Z PEWNOŚCIĄ wyjdziemy inni, niż byliśmy. Nie wiem, czy gorsi, czy lepsi, głupsi czy mądrzejsi o doświadczenie słabości przez nas konstruowanego świata i tego, że to, co dziś jest na wyciągnięcie ręki, może zostać nam odebrane. Mądrzejsi o doświadczenie kruchości istnienia. A może także o odkrycie piękna uniemożliwionych dziś przez wirusa spotkań z innymi, i w ogóle smaku normalnego życia, na które zwykliśmy narzekać? Jacy wyjdziemy z zagrożenia, którego kresu nikt nie zna? Te pytania dotyczą też wiary w Boga, dotyczą Kościoła.

Z pewnością nie ma jednej odpowiedzi dla wszystkich, bo ten sam czas różnie postrzegamy. Choćby nasi biskupi: jeden zapewniał, że nie można się zarazić koronawirusem, korzystając z wody święconej czy przyjmując komunię do ust (Szczecin), a inny wydał dekret zakazujący w ogóle odprawiania mszy „z udziałem ludu" (Gliwice). Wspólnym przeżyciem pozostał problem porozumiewania się. W Kościele zaowocuje to odkryciem nowych sposobów międzyludzkiej komunikacji. Oczywiście środki, po które sięgnęliśmy, od dawna w Kościele były znane. Jednak teraz, gdy ludzie nie mogą się gromadzić w kościołach, dzielące nas odległości i mury zostały pokonane przez internet. Dziesiątki tysięcy uczestniczą w transmitowanych każdego dnia mszach, w rekolekcjach, w nabożeństwach Drogi Krzyżowej, w modlitwie różańcowej. W mszach z własnej parafii lub odprawianych przez abp. Grzegorza Rysia, w rekolekcjach i różańcu ojca Adama Szustaka albo innych kaznodziejów. Uczestniczą i, jak mówią, łatwiej im się skupić na modlitwie przed ekranem, niż kiedy fizycznie są obecni w kościele.

Być może dzięki doświadczeniom narodowej kwarantanny wyjdziemy z epoki czytania ludowi kilometrowych listów pasterskich i ogłoszeń parafialnych – praktyk nieodzownych w czasach, gdy lud nie umiał czytać, a listy (pasterskie też) dostarczano końmi rozstawnymi. ©℗

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

BEZPIECZEŃSTWO PAPIEŻA
Franciszek i jego współpracownicy nie mają koronawirusa – wykazały badania przeprowadzone po tym, jak jeden z mieszkańców Domu św. Marty okazał się nosicielem. Budynek zdezynfekowano. W sumie w Watykanie testy przeprowadzono 170 osobom, a sześć dało wynik pozytywny. Obowiązują podwyższone środki bezpieczeństwa: papież odprawia poranną mszę w kaplicy jedynie przy współudziale swoich sekretarzy, posiłki spożywa oddzielnie. Niezbędne spotkania odbywają się w Pałacu Apostolskim z zachowaniem odpowiedniej odległości między papieżem a gośćmi.

LICZBA KATOLIKÓW
O 75 mln osób wzrosła liczba katolików od 2013 r. do 2018 r. – wynika z najnowszego Rocznika Statystycznego Kościoła opublikowanego w Watykanie. Katolików pod koniec 2018 r. było 1 miliard 329 milionów, co stanowi 18 proc. ludności świata. W tym okresie spadła liczba księży diecezjalnych i zakonnych o 0,3 proc. oraz zakonników i zakonnic po 8 proc. Wzrosła natomiast liczba biskupów o 3,9 proc. (pod koniec 2018 r. było ich 5377) oraz diakonów stałych o prawie 10 proc.

FB / PARAFIA OTTON

BANER NA KOŚCIELE
Kilkunastometrowy baner z napisem „Tęsknimy za Wami" zawisł na wieży kościoła parafii św. Ottona w Szczecinie. „Kochani nasi! Nie martwcie się: my też jeszcze nie rozumiemy wszystkiego, co się dzieje! Staramy się jednak odnaleźć w tej nowej sytuacji" – napisali księża na stronie internetowej, zapraszając parafian na spotkania online.

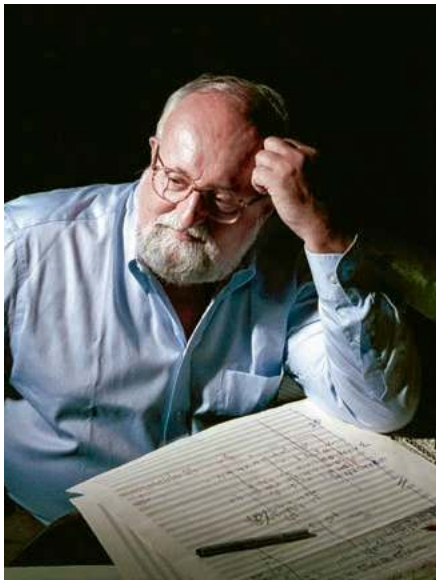
MARIUSZ MAKOWSKI

Elegia na śmierć Orfeusza

W MUZYCE ZAWSZE MU BYŁO ZA CIASNO. Kiedy był mały, zapisano go na lekcje fortepianu. Nudziły go tak, że nauczycielka sama wymówiła posadę. Grą na instrumencie zainteresował się dopiero, gdy dorwał się do ojcowskich skrzypiec. Dobrze mu szło, ale jego ambicje sięgały znacznie dalej. Chciał studiować sztuki piękne albo filologię klasyczną – wylądował w krakowskiej PWSM. W 1959 r. wziął udział w konkursie ZKP, opatrzywszy swoje utwory anonimowymi godłami. Zgarnął trzy pierwsze nagrody – skonsternowane jury zmieniło regulamin, żeby uniknąć podobnej sytuacji w przyszłości.

Krytycy w mig ogłosili Krzysztofa Pendereckiego apostołem sonoryzmu, mistrzem niecodziennych faktur, które zastąpią ograne do nudności harmonie i melodie. Kompozytor zaczął odnosić bezprecedensowe sukcesy i już po prawykonaniu „Pasji Łukaszowej" w Münster w 1966 r. opierać się próbom szufladkowania jego twórczości. Posypały się zarzuty o zdradę awangardy na rzecz miałkiej „nowej duchowości", a nawet uprawianie muzycznego szantażu pod postacią „sacro polo".

Niejednemu był solą w oku: krytykom, młodzieży kompozytorskiej, zwykłym zawistnikom. A chciał tylko więcej, głębiej i dokładniej. Nie zdradził awangardy: uznał, że prowadzi donikąd. Cyzelował swoje przedsięwzięcia latami. Tryptyk „De natura sonoris" powstawał niemal pół wieku: poszczególne człony różnią się jak ziemia, powietrze i ogień. „Polskie Requiem" rozrastało się od skromnej „Lacrimosy" aż po 17-częściową mszę. Oskarżany o eklektyzm, odpowiadał, że stracił wiarę w zasadność eksperymentów. Kiedy mu zarzucano, że nie idzie z duchem czasu, ripostował, że muzyka nie jest dla każdego.

A przecież była. Fascynowała reżyserów, inspirowała rockmanów. On też fascynował: mężczyzn, którzy dzielili jego pasję do samochodów; artystów, którzy podziwiali jego partytury graficzne; ekologów, którzy obserwowali, jak rozrasta się park w Lusławicach, komponowany niczym zielona symfonia. Krytykami się nie przejmował, ale ich nie lubił: marzył, by zamknąć ich w ogrodowym labiryncie i zmusić, by sami znaleźli wyjście z tego gęstego, tętniącego życiem utworu.

W końcu sam się z niego wymknął, umarł 29 marca. Zabrakło Orfeusza, za którego muzyką szli ludzie i drzewa. Którego „Pasja", „Diabły z Loudun", „Tren ofiarom Hiroszimy" – poruszyłyby nawet skałę. © DOROTA KOZIŃSKA

Rozmowy z kompozytorem, kalendarium życia i twórczości, omówienia dzieł: zob. serwis specjalny **powszech.net/penderecki**

Weź, czytaj. Gazety są bezpieczne

JEŚLI CZYTAJĄ PAŃSTWO TEN NUMER „TYGODNIKA" na papierze, to być może zastanawiają się, czy kupiona w kiosku albo doręczona pocztą gazeta może być źródłem zakażenia koronawirusem. Może powinniśmy wrócić do czytania gazet w rękawiczkach, tym razem nie po to, by chronić się przed brudzącym drukiem, ale przed chorobą?

Pytanie jest, rzecz jasna, zasadne. Ślina, wydzielina z nosa, a także mocz i kał zawierające wirusa mogą osadzić się na różnych przedmiotach. Jednak czas, jaki może przetrwać na nich patogen, zależy od właściwości danego materiału. Badacze z Princeton podają, że wirus SARS-CoV-2 najdłużej utrzymuje się na gładkich, plastikowych i metalowych powierzchniach. Najkrócej zaś na powierzchniach miedzianych i... papierze.

Porowaty papier wchłania wodę, powodując, że wirus traci warunki pozwalające mu przetrwać. Dodatkowo, na co zwracają uwagę naukowcy, proces drukowania gazet sprawia, że są one dość sterylne. Nawet jeśli wirus dostałby się na strony gazety, to wraz z upływem czasu jego zakaźność maleje – co godzinę o połowę. Biorąc pod uwagę naukowe dane oraz brak przypadków takiej drogi transmisji wirusa, International News Media Association stwierdza, że czytanie prasy w czasie tej pandemii jest bezpieczne. © BARTOSZ KABAŁA

KULTURA W SKRÓCIE

17 MINUT
trwa najnowsza piosenka Boba Dylana. Artysta wrócił po ośmiu latach przerwy z utworem „Murder Most Foul" opowiadającym o zamachu na prezydenta Johna F. Kennedy'ego.

30 KWIETNIA
w Wielkiej Brytanii ukaże się zbiór tekstów Nicka Cave'a z lat 1978–2020. Na zaprezentowanej przez wydawnictwo okładce książki znalazła się praca „Urok polskich gór" polskiej malarki Aleksandry Waliszewskiej. Cave jest wielkim fanem i promotorem twórczości artystki, a także autorem posłowia do czwartego wydania jej albumu „Problem&Solution".

200 KIN
otwarto w miniony weekend w Szanghaju. Na chwilę, bo tamtejszy Instytut Filmowy szybko zmienił zdanie i zalecił ponowne zamknięcie placówek – Chiny szykują się na drugą falę epidemii.

ROMUALD MEIGNEUX / EAST NEWS

1959
– w tym roku na łamach francuskiej prasy zadebiutował Gall Asterix. Pierwsza książka z jego przygodami ukazała się dwa lata później, a do dziś – łącznie 42 komiksy. 24 marca zmarł twórca Asteriksa, rysownik i scenarzysta, Albert Uderzo.

50 MLD EURO
wynosi trzyczęściowy pakiet pomocowy dla osób samozatrudnionych i małych firm z sektora kultury i mediów w Niemczech. Angielski Art Council zabezpieczył na ten cel 190 mln dolarów. Polski minister kultury – 20 mln zł.

MOHAMMAD ISMAIL / REUTERS / FORUM

Jest świat poza koronawirusem

ZMIENIA NASZE ŻYCIE i nic dziwnego, że dominuje w wiadomościach. Jednak mimo pandemii, świat nie stanął w miejscu. W minioną niedzielę Korea Północna przeprowadziła test, wystrzeliwując dwie rakiety krótkiego zasięgu. Wylądowały w Morzu Japońskim, lecz Tokio i Seul martwią się, że to już czwarta taka próba w miesiącu. Tymczasem Rosjanie testują Brytyjczyków: ich okręty i samoloty wojskowe prowokacyjnie zbliżyły się do brzegów Wysp. W Demokratycznej Republice Konga wypisano ze szpitala ostatniego byłego nosiciela wirusa ebola; tak skończyła się prawie trzyletnia epidemia gorączki krwotocznej (zmarło 2130 osób, czyli 66 proc. zakażonych).

Z innych wydarzeń: afgańscy talibowie odmówili współpracy z nowym zespołem negocjacyjnym rządu w Kabulu, twierdząc, że nie reprezentuje on wszystkich partii. Na jego czele stoi współpracownik prezydenta Aszrafa Ghaniego, wybranego właśnie na drugą kadencję (na zdjęciu powyżej). Początek rozmów (przed miesiącem) był sukcesem Amerykanów, którzy za rok chcą wycofać wojska z Afganistanu.

Łódź z 49 migrantami zawrócono do Libii z maltańskich wód terytorialnych. ONZ alarmuje, że to wbrew prawu (Libia nie jest państwem bezpiecznym). Kilka dni wcześniej „Guardian" opublikował wyniki dziennikarskiego dochodzenia ws. łamania przez Unię praw człowieka. Upublicznione nagrania rozmów załóg okrętów i samolotów uczestniczących na Morzu Śródziemnym w europejskiej operacji „Sophia" wskazują, że w ramach koordynowanych działań jeszcze w 2019 r. regularnie przechwytywały one i cofały do Libii migrantów i uchodźców. W tym roku dotowana przez Unię libijska straż przybrzeżna cofnęła z morza ok. 2,7 tys. ludzi. Są obawy, że część z nich „sprzedano" następnie na rynku pracy przymusowej.

EPA / PAP

Tymczasem 64 osoby udusiły się w kontenerze wiezionym ciężarówką przez Mozambik. Przeżyło czternaścioro (na zdjęciu powyżej) – to dzięki ich krzykom i uderzaniu o metalowe ściany policja zainteresowała się kontenerem. Ofiary to Etiopczycy, podróżujący nielegalnie popularnym szlakiem migracyjnym (za ich transport kierowca miał dostać równowartość 460 euro). Szlak ten prowadzi do RPA, gospodarczego giganta Afryki, gdzie już teraz mieszka 4 mln imigrantów. Lokalne media podają, że od stycznia w mozambickiej prowincji Tete, gdzie doszło do zdarzenia, zatrzymano co najmniej 200 obywateli Egiptu, Etiopii, Somalii i Malawi, którzy zmierzali na południe.

Turecka prokuratura oskarżyła 20 obywateli Arabii Saudyjskiej o zabójstwo lub jego usiłowanie. Chodzi o śmierć pisarza dysydenta Jamala Khashoggiego, który w 2018 r. został uduszony i poćwiartowany w saudyjskim konsulacie w Stambule. Rijad odmówił wydania podejrzanych. Morderstwo rzuciło cień na uznawanego wcześniej przez Zachód za reformatora księcia Mohammeda ibn Salmana, saudyjskiego następcę tronu – większy nawet niż rozpoczęta z jego inspiracji równo 5 lat temu interwencja w Jemenie. Podczas wojny w tym kraju zginęło dotąd ok. 12 tys. cywilów.

©℗ MARCIN ŻYŁA

MARK DAVIDSON / ALAMY / BEW

SHERWOOD JUŻ NIE BĘDZIE TAKIE SAMO. Dęby, symbole angielskich lasów i kryjówek Robin Hooda, będą musiały ustąpić miejsca sosnom i świerkom, twierdzą badacze z walijskiego Bangor. Inaczej Wielka Brytania nie spełni celów tzw. offsetu węglowego. Drzewa liściaste rosną za wolno, więc potrzeba więcej iglaków. Brzmi niepoważnie? Nie dla Brytyjczyków, dla których dąb to świętość. Ostatnia podobna propozycja rządu (spowodowana brakami drewna po I wojnie światowej) skończyła się ogólnokrajowym skandalem.

©℗ ŻYM

TEMAT TYGODNIKA

DUCHA NIE GAŚMY

ABP GRZEGORZ RYŚ, METROPOLITA ŁÓDZKI:

Jeśli czujemy, że Pan Bóg milczy, to znaczy, że powinniśmy przemyśleć kilka słów, które powiedział wcześniej.

MACIEJ MÜLLER: 25 marca chrześcijanie modlili się z papieżem o zakończenie epidemii. Zachorowań wciąż przybywa. Modlitwa nie została wysłuchana?

ABP GRZEGORZ RYŚ: Bóg działa w sposób sobie właściwy. Ważne jest to, co stało się dzięki tej modlitwie w każdym, kto w niej uczestniczył: przemiana ku jedności, ku wzajemnej odpowiedzialności i miłości. Do tego zmierza w naszym życiu wiara, żeby człowiek umiał kochać miłością radykalną. Na tym polega działanie Boże.

Dobrze by było, gdyby modlitwa zadziałała też w bardziej praktyczny sposób, np. przyspieszyła badania nad lekarstwem i szczepionką.

O to się także z wiarą modlimy. Ale działania Bożego nie da się zredukować do medycyny. Jezus w Ewangelii uzdrawia przede wszystkim z grzechu. Uzdrowienia z choroby miały być znakiem tego, co czyni On w życiu wewnętrznym ludzi, z którymi się spotyka. Wskrzesił za swojego życia trzy osoby, natomiast wszystkim, którzy żyli, żyją i będą żyć – dał życie wieczne. Nie patrzmy na działanie Pana Boga w sposób uproszczony. Bóg, jakiego znamy w Jezusie Chrystusie, nie usunął w magiczny sposób z naszego życia cierpienia, choroby i śmierci, tylko wszedł w te doświadczenia i w każdym z nich jest z nami. Oczywiście, jest Opatrznością nad światem i ma moc nie tylko „przyspieszyć badania", ale także powstrzymać epidemię. ↦

ABP GRZEGORZ RYŚ (ur. 1964) jest metropolitą łódzkim, wcześniej był biskupem pomocniczym krakowskim i rektorem krakowskiego seminarium. Stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego", autor rubryki „Okruchy Słowa". Doktor habilitowany nauk humanistycznych, specjalizuje się w historii Kościoła.
Na zdjęciu: w kościele Mariackim, Kraków, 2014 r.

GRAŻYNA MAKARA

Gdzie jest Bóg podczas pandemii?
W chorych. W umierających. W lekarzach. W wolontariuszach. W każdym z nas. W każdym z nas jest miłością.

Tylko że On jest nieskończony, wszechmocny, a my bezradni.
Mogę powiedzieć tyle, co Jezus w Ewangelii: byłem głodny, byłem spragniony, byłem chory, byłem przybyszem, byłem w więzieniu. Byłem na kwarantannie, zamknięty w domu. Tu jest Bóg. Jest też w nas, kiedy przekraczamy własny egoizm i wychodzimy do Niego, obecnego w potrzebujących.

Bóg jest Ojcem. Niech by nas przygarnął, ocalił, skończył ten koszmar. „Panie, ratuj, giniemy!".
I o ratunek się wszyscy modlimy. Siła w doświadczeniu bierze się wszakże stąd, że nie jestem w nim sam – lecz z Nim!

A może Bóg patrzy, ale nic nie robi?
Kto tak myśli, niech popatrzy na krzyż.

I?
I zobaczy Boga.

Boga, który umarł.
Umarł i zmartwychwstał.

W Łodzi wspólna modlitwa międzywyznaniowa musiała zostać odwołana. Chrześcijanie nie mają jak się spotkać na modlitwę. W jaki sposób realizuje się teraz wspólnota?
Spotkanie nie było możliwe fizycznie, ale tamtego dnia przed południem rozmawialiśmy telefonicznie w gronie „łódzkich" biskupów chrześcijańskich – z bp. Markiem Izdebskim z Kościoła kalwińskiego, z bp. Janem Cieślarem z Kościoła luterańskiego, z prawosławnym biskupem Atanazym. Uzgodniliśmy, że przygotujemy na Wielki Piątek ekumeniczną Drogę Krzyżową z medytacjami przedstawicieli wszystkich wspólnot chrześcijańskich Łodzi, także z Wolnych Kościołów Ewangelicznych.

Ostatni czas łączy się z cierpieniem i ograniczeniami, ale wyzwolił też niesłychaną aktywność po stronie ludzi wierzących. Mój rzecznik prasowy zebrał wszystkie inicjatywy, które zaistniały w naszej diecezji dzięki internetowi, i wyszło mu ponad dwie strony samych adresów. Kiedy w Łodzi pojawiły się pierwsze przypadki zakażeń, prezydent Hanna Zdanowska poprosiła mnie, żeby parafie wsparły MOPS w zidentyfikowaniu ludzi starszych mieszkających samotnie, by dotrzeć do nich z ciepłym posiłkiem. Przy okazji skrzyknęła się w tych parafiach duża grupa wolontariuszy chętnych do pomocy. Zamiast utyskiwać nad tym, czego nie możemy, lepiej rozejrzeć się za tym, co jest możliwe, i w to dobro się zaangażować.

> Mamy wielu proroków ogłaszających, że Bóg karze ludzi za grzechy i zatrzaskuje rozdział Ewangelii zatytułowany „miłosierdzie". **Tylko że to nie jest interpretacja chrześcijańska.**

Jak praktykować wiarę w czasach zarazy? Wiemy, że powinniśmy siedzieć w domach, biskupi udzielili dyspensy od osobistego uczestnictwa w Eucharystii. Ale nie zna życia, kto nie próbował oglądać mszy z trójką małych dzieci na kanapie przed telewizorem.
A jeśli ktoś nie ma telewizora ani dostępu do internetu? Czas, jaki przeżywamy, pomaga skupić się na tym, co fundamentalne. Z wielu rzeczy musimy zrezygnować i w końcu dochodzimy do pytania, z czego zrezygnować nie wolno. Co jest zasadnicze. Zasadnicze jest spotkanie z Bogiem, możliwe dzięki modlitwie i otwarciu na Słowo Boże. W Polsce jako chrześcijanie mamy tu trochę do nadrobienia. Wielkim dobrem będzie, jeśli ktoś sięgnie na półkę po Biblię i potraktuje jak żywe Słowo Boga: spróbuje usłyszeć, co Bóg ma mu do powiedzenia na ten moment. Natomiast wszystkie inicjatywy dostępne dzięki internetowi czy mediom są warte uczestnictwa dlatego, żebyśmy byli Kościołem, który się spotyka. Możemy być razem w sposób duchowy, pielęgnując w sobie tęsknotę za realną wspólnotą przeżywaną na liturgii. To, co najistotniejsze, co jest wypełnieniem Prawa i przykazań, ku czemu zmierza nasza pobożność – to odnalezienie się w miłości do Boga i bliźnich. Św. Augustyn pisał, że w porządku ważności miłość do Boga jest pierwsza, ale w porządku wykonania – miłość bliźniego. W związku z tym nie można odmawiać miłości bliźniemu w imię tak czy inaczej projektowanej miłości do Boga.

Są ludzie, którzy nawet teraz wzywają do uczestnictwa w mszy, uważają, że to czas na dawanie świadectwa. Co by im Ksiądz powiedział?
Że nie są sami. I że liturgia nie jest prywatnym „prawem" kogokolwiek z nas. Słowo „liturgia" pochodzi od greckich *leiton* oraz *ergon*, co znaczy: wspólne dzieło. Liturgia jest wyrazem wspólnego przeżywania, rozumienia, odczuwania. Szukam wspólnoty z każdym, więc nie będę oceniał takich wezwań, nie chcę kogokolwiek oceniać... Ale namawiam i zapraszam do wspólnoty z papieżem, Stolicą Apostolską, również polskimi biskupami. Trudno mi rozumieć liturgię przeżywaną jako „znak sprzeciwu" czy rodzaj manifestacji wobec mało radykalnego czyimś zdaniem Kościoła.

Kiedyś rozmawialiśmy w „Tygodniku" o wierze przez dotyk w kontekście wiary ludowej, kultu relikwii, ale przecież to dotyczy też sedna wiary – komunii z Bogiem.
Tak. W Polsce dostępność Eucharystii jest czymś oczywistym. Kościół jest, msza jest, można iść, można nie iść. W normalnym czasie do kościoła chodzi w niektórych rejonach 1/5 katolików, gdzie indziej 1/7. Dobrze, że teraz rodzą się pytania – szkoda, że w tak dramatycznym kontekście epidemii. Czas kwarantanny wymaga od nas wielkiej cierpliwości, zmagania się z buntem, ale on się kiedyś skończy i ważne, jacy z tego wyjdziemy.

Czytam teraz „Dzienniczek" – o tym, jak na półtora roku przed śmiercią Faustyna leżała przez cztery miesiące w szpitalu zakaźnym na Prądniku. Leżała w izolatce, bez dostępu do liturgii. Wychodząc, stwierdziła, że nie zmarnowała ani jednej chwili z tych czterech miesięcy.

Bo dużo się modliła?
Owszem, modliła się „nieustannie". Z liturgii korzystała w ograniczonym zakresie, posłuszna lekarzom. Ale np. kiedyś, nie mogąc iść do kaplicy na Gorzkie Żale, odprawiała je sama. Usłyszała jednak dzwonek z sąsiedniej izolatki i poszła

pomóc innej pacjentce. Kiedy wróciła do siebie, usłyszała w duszy słowa Pana Jezusa, że okazała Mu tym gestem wiele miłości. To są doświadczenia, które Kościół – kanonizując Faustynę – wskazał jako wzór. I to też jest wiara „przez dotyk".

Fajnie być mistykiem i słyszeć w głowie głos Chrystusa. Większość z nas ma doświadczenie milczenia Boga.

Jeśli Pan Bóg milczy, to znaczy – jak pisał Benedykt XVI – że powinniśmy przemyśleć kilka słów, które powiedział wcześniej. On nie milczy przez całe nasze życie.

Czeka nas Wielkanoc bez Triduum, bez rezurekcji.

Kościół będzie przecież sprawował liturgię. Mnie też trudno przyjąć, że będę odprawiał Triduum w pustej katedrze, do kamery. Mam nadzieję, że będzie mi towarzyszyło poczucie, że jest ze mną Kościół, któremu Bóg kazał mi przewodzić. To wspólnota zapośredniczona – ale taka jest możliwa na ten moment. Z drugiej strony, Pascha, z której wyrasta nasza Wielkanoc, była przede wszystkim świętem rodzinnym, jej najważniejsza liturgia odbywała się w domu: był to posiłek, podczas którego funkcję kaznodziei pełnił najstarszy mężczyzna w rodzinie. Musiał powiedzieć katechezę wychodząc od pokarmów paschalnych – w taki sposób, żeby nawet najmłodszy w rodzinie wiedział, że to wydarzenie dotyczy jego samego. Także w naszych rodzinach najstarsza osoba może pobłogosławić pokarmy i poprowadzić wspólną modlitwę. W rodzinie doświadczymy tego, co w naszej wierze najistotniejsze. A jeśli wiara nie kształtuje życia rodzinnego, to można pytać, czym jest: tradycją, dekoracją?

Sobór określił liturgię jako szczyt, do którego zmierza działalność Kościoła, i jako źródło, z którego wypływa cała jego moc. Czy to działa w momencie, kiedy nie mamy jak uczestniczyć w mszy?

W ostatni Wielki Piątek w swoim życiu Jan Paweł II nie poszedł na Drogę Krzyżową do Koloseum, bo już nie był w stanie. Siedział w bibliotece, trzymał w ręku krzyż i tak przeżywał nabożeństwo. Nie było nic bardziej denerwującego od komentarzy medialnych, że „dzisiaj Jan Paweł II nie uczestniczył w Drodze Krzyżowej". Liturgia to nie jest kwestia wykonania kilku czynności, tylko postawa człowieka. Jak pisał Jan Paweł II w książce „U podstaw odnowy", predyspozycja wewnętrzna wyprzedza działanie. Kiedy w człowieku jest postawa liturgiczna, sprawuje liturgię w sposób fizyczny, jeśli może. A jeśli nie może, bo np. choroba zatrzyma go w domu, nie oznacza to, że nie uczestniczy w liturgii, tylko że ją sprawuje w innym wymiarze.

> Gdzie jest Bóg podczas pandemii? W chorych. W umierających. W lekarzach. W wolontariuszach. **W każdym z nas jest miłością.**

Tylko że Chrystus mówi: „Jeżeli nie będziecie spożywali Ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili Krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie". Mowa o pokarmie, którego nie ma jak teraz spożywać.

Jedno zdanie nie jest całym przekazem. Istotą komunii jest komunia duchowa – zjednoczenie z Bogiem. Ono następuje, kiedy człowiek wzbudza w sobie jego głębokie pragnienie. To istota komunii w ogóle – już w XIV-XV wieku teologowie posługiwali się rozróżnieniem, że przyjmować komunię można *corporaliter* (cieleśnie) albo *spiritualiter* (duchowo). Ideałem jest połączenie ich obu – żeby komunia sakramentalna była duchową. Podkreślano przy tym, że jest nieporozumieniem przyjmowanie *corporaliter* w taki sposób, żeby było to tylko zewnętrznym znakiem, praktyką, a nie przemieniało człowieka wewnętrznie. Sytuacja, w której człowiek przyjmuje Jezusa duchowo, nie mając dostępu do komunii sakramentalnej, jest więc lepsza niż odwrotna – kiedy ktoś spożywa i dwa razy dziennie Pana Jezusa, ale nie ma to większego wpływu na jego życie.

Przykazanie wzywa, by przystąpić do komunii przynajmniej raz w roku, w okresie wielkanocnym. Ten okres trwa do Zesłania Ducha Świętego, więc uspokajam: jeszcze zdążymy przyjąć komunię w wymiarze sakramentalnym.

Trwa epidemia. Część z nas może jednak nie mieć na to szansy.

Jestem spokojny o to, że księża dotrą z sakramentami do umierających – tego nie obejmują obostrzenia. W szpitalach zakaźnych działają kapelani i przychodzą do pacjentów w kombinezonach ochronnych, z zachowaniem wszelkich środków bezpieczeństwa. To czas szerokiej posługi indywidualnej Kościoła. Księża są do dyspozycji.

Jesteśmy też odcięci od sakramentu spowiedzi. Czy polscy biskupi zdecydują się na absolucje generalne?

Niewykluczone, ale pamiętajmy, że absolucja generalna zakłada sytuację, kiedy duża liczba ludzi, fizycznie obecna w jakimś miejscu, nie może zostać wyspowiadana normalnie ze względu na poważne zagrożenie. A dzisiaj w mediach pisze się o tym tak, jakby episkopat miał się spotkać na Jasnej Górze i wszystkim udzielić rozgrzeszenia przez internet.

Poza tym kościoły są wciąż otwarte, można iść i się wyspowiadać.

Taka wyprawa to zagrożenie, że zainfekuję siebie i swoją rodzinę.

Księża wiedzą, że mają spowiadać z zachowaniem wszystkich możliwych środków ostrożności. W katedrze łódzkiej każdy odchodzący od konfesjonału sam go dezynfekuje. Teraz jest czas na zwykłą spowiedź. Na myślenie o absolucji generalnej będzie czas, kiedy pojawią się ku temu okoliczności. Każdy biskup ma prawo księżom otworzyć taką możliwość.

„Nie ma księdza, żeby cię wyspowiadał, albo nie możesz wyjść z domu? – mówił papież 20 marca. – Porozmawiaj sam z Panem Bogiem, powiedz Mu: »Panie, popełniłem to i tamto, wybacz mi«. Proś Go o przebaczenie całym sercem, z aktem żalu i obiecaj: »Później się wyspowiadam, ale przebacz mi już teraz«. I od razu powrócisz do łaski Bożej".

To żadna nowość. Franciszek tylko przypomina to, czego Kościół uczył od zawsze: że w sytuacji niemożności przyjęcia sakramentu człowieka oczyszcza doskonały żal za grzechy. ↦

Nie można odmawiać miłości bliźniemu
w imię tak czy inaczej projektowanej miłości do Boga.

ADAM GOLEC / FORUM

W kaplicy Pałacu Arcybiskupów Krakowskich, 2013 r.

Czyli skutki duchowe żalu doskonałego i komunii duchowej są takie same, jakbym po prostu poszedł na mszę?
Tak. Z wykrzyknikiem.

Czy znajduje Ksiądz jakieś wskazówki w Biblii? W Księdze Kronik mamy koszmarną opowieść o tym, jak Bóg zesłał zarazę na Izraelitów, bo Dawid ośmielił się ich policzyć.
To opowieść nie o Bogu i zarazie, tylko o tym, że grzech jednego człowieka, zwłaszcza takiego, który odpowiada za innych, może dotknąć całą społeczność. Konsekwencje naszych grzechów spadają na innych ludzi. To jest w tym tekście objawione, i może rzeczywiście warto o tym teraz pomyśleć.

Słowo, które mnie przeprowadza przez obecne doświadczenia, znajduję w Ewangelii św. Mateusza, gdzie Chrystus mówi: jeśli chcesz się modlić, wejdź do swojej izdebki (czy: małego pomieszczenia). Czytamy to w sytuacji, kiedy wszyscy jesteśmy skazani na izolację. I albo przeżyjemy tę samotność jako wyrok wydany przez los, albo wejdziemy w nią w zaufaniu wobec Boga: „nie bój się, Ja tam będę z tobą". Taka była postawa Jezusa wobec każdego zła, jakie Go w życiu dopadło, z krzyżem włącznie. Nie przechodził przez cierpienia z przekleństwem na ustach, tylko potrafił się w nim odnaleźć po Bożemu. Ojcowie Kościoła i średniowieczni mistycy podkreślali, że nie tylko Jezus, ale też Maryja czy Józef wybierali rzeczy, których my byśmy nie wybrali, np. życie ubogie. Ogołocone. I skupiali się na tym, co ta sytuacja niesie dobrego – i co oni mogli dobrego zrobić. Nie traktowali tego jako dopustu.

Czytam też hymn o ogołoceniu Słowa w 2. rozdziale Listu do Filipian: Chrystus „nie skorzystał ze sposobności, aby na równi być z Bogiem, lecz ogołocił samego siebie, przyjąwszy postać sługi". To był Jezusowy wybór.

A Apokalipsa daje nam prawo, by czytać to, co się dzieje, z punktu widzenia, no właśnie: apokaliptycznego?
To zależy, co kto rozumie pod słowem „apokalipsa". Prawidłowo znaczy ono tyle, co objawienie albo odsłonięcie drugiego planu: pod zewnętrzną, dramatyczną warstwą kryje się miłość Boga i Jego zwycięstwo nad złem, triumf życia. Ale dzisiaj mało kto używa tego słowa w pierwotnym znaczeniu. Mamy więc wielu proroków ogłaszających, że Pan Bóg karze ludzi za grzechy i zatrzaskuje rozdział Ewangelii zatytułowany „miłosierdzie".

Takie myślenie to nic nowego. W ikonografii średniowiecznej przedstawiano np. rozgniewanego Boga Ojca, który mimo modlitw Chrystusa i Maryi ciska strzałami zarazy na ludzkie miasta.
Tak, tylko że to nie jest interpretacja chrześcijańska.

Te malowidła są w kościołach.
Tak. Ale to nie jest nauczanie Kościoła. Jeśli chcemy wiedzieć, czego on naprawdę naucza, czytajmy najpierw Biblię, potem to, co ogłasza urząd nauczycielski. Słuchajmy Biblii interpretowanej w Tradycji. To, co jeden czy drugi mówca (uznając się za prywatne „magisterium") głosi jako orędzie chrześcijańskie w oparciu o swój własny autorytet, nie jest nauczaniem Kościoła.

Warto sięgać do doświadczenia dawnych wieków?
A jakże. Czym jest dzisiejsze pokolenie chrześcijan bez zakorzenienia?

Włoska kronika dżumy z 1630 r. dokumentuje: „obawę budził nie tylko sąsiad, przyjaciel, gość (...) Rzecz to straszliwa i trudna do wypowiedzenia, stół rodzinny, małżeńska łożnica zdawały się zasadzką kryjącą może straszliwą truciznę". Także dzisiaj obserwujemy kryzys zaufania: bo drugi człowiek jest potencjalnym zagrożeniem.
Przede wszystkim: jeśli wymagam od innych zaufania, to sam muszę dbać o to, żeby na zaufanie zasługiwać. To oznacza, że narzucam sobie pewien rygor. Tyle mogę w tej kwestii zrobić.

Całe społeczności przeżywają napięcie. Stresowi trzeba dać upust. Dawniej podczas epidemii dochodziło do pogromów Żydów, zabijano trędowatych, polowano na czarownice. Takie postawy dziś nam nie grożą?
Myślę, że współczesna psychologia zna takie mechanizmy i potrafi podpowiadać sposoby reagowania. Chrześcijaństwo uwzględnia całą naturę człowieka, także jego emocje. W ujęciu religijnym przeci-

wieństwem strachu jest pokój, który bierze się w nas z pewności, że Bóg jest przy nas. Tego bym się trzymał.

Żyliśmy chyba w Europie w złudzeniu, że przynajmniej u nas doszło do Fukuyamowskiego końca historii. Teraz zostaliśmy tego pozbawieni, boimy się, że stracimy świat, który znamy. Jak poradzić sobie z myślą, że czeka nas wiele tygodni, a może miesięcy nienormalności – a potem pewnie zmagania z kryzysem?

To pytanie o wartości i ich hierarchię. W ten sposób znajdziemy odpowiedź na pytanie, o co najpierw zadbać podczas porządkowania rzeczywistości po przejściu epidemii.

Jeśli chodzi o nadchodzący kryzys ekonomiczny, mogę tylko powiedzieć, jak to widzę od strony Kościoła. Musimy zadać sobie pytanie, na co chcemy wydawać pieniądze po ustaniu epidemii. I jak wiele ze środków, którymi dysponujemy, powinno być przekazane wprost na potrzeby ludzi doświadczonych biedą. To będzie wyzwanie dla Kościoła i jego aktywności charytatywnej. To znowu dotknięcie tego, co istotne w przekazie Ewangelii. Wielki Post ma nas tego właśnie uczyć. Asceza nie ma sensu dla samej ascezy, tylko dla miłości. Odmawiasz sobie jedzenia i dzięki temu możesz się podzielić. Ufam, że Duch Święty tak nas uwrażliwi w tym czasie, że odnajdziemy właściwe odpowiedzi na podobne pytania.

Pamiętam, jak po 1989 r. pojawiła się wreszcie szansa budowania nowych kościołów. Kard. Franciszek Macharski przestrzegał wtedy, że to nie czas na ekstrawagancje architektoniczne, na stawianie ogromnych, bogatych świątyń. Trzeba budować tak, by nie tracić z oczu biedy, która jest dookoła. Taka postawa będzie nam potrzebna.

Już teraz jest mnóstwo drobnych decyzji etycznych do podjęcia: np. czy walczyć o zwrot za płatne zajęcia dla dzieci, które się nie odbyły, skoro ludzie, którzy je prowadzą, są odcięci od możliwości pracy. Wybrać solidarność wobec nich czy pilnowanie bezpieczeństwa finansowego własnej rodziny?

Benedykt XVI w „Deus caritas est" pisze o dwóch porządkach miłości. Pierwszy to ten, że najpierw trzeba brać pod uwagę potrzeby najbliższej rodziny (żony, dzieci), potem rodziców, sąsiadów i innych.

Ale drugi porządek wynika z hierarchii potrzeb: jeśli mam wydać pieniądze na kolejną zabawkę dla dziecka albo na chleb dla kogoś, kto nie ma na zakupy, to dziecko ustępuje na rzecz obcego człowieka, który od dawna nie jadł.

Na czym polega teraz tożsamość Polaka, Europejczyka, obywatela Ziemi?

Jako biskup mogę powiedzieć tyle, że tożsamością człowieka zadaną mu przez Boga jest miłość i życie wspólne z innymi, a nie izolacja. Pan Jezus mówi, że kto kocha swoje życie, straci je, a kto straci, ten je zachowa. Człowiek się odnajduje w życiu – uczy Sobór – wyłącznie przez bezinteresowny dar z siebie samego. Wszystko inne to pozorowane dążenie do dobra.

Ksiądz ufa władzy?

Teraz jest czas na to, by każdy postępował zgodnie ze swoimi kompetencjami i w jak najlepszych intencjach. To nie jest czas na „realną" politykę. O takiej zresztą ja się nigdy nie wypowiadam.

Konferencje ministra zdrowia mają niemalże terapeutyczny charakter, ale jednocześnie jako dziennikarze widzimy, gdzie on mija się z prawdą i jakie popełniono zaniedbania.

Pewnie od tego są dziennikarze. Ja już swoje powiedziałem.

W zeszłym tygodniu prof. Bogdan de Barbaro powiedział w „Tygodniku": „Gdybym miał wpływ na media, to bym je zachęcał, by bardziej dbały o tych, którzy cierpią". Jakie historie powinniśmy sobie teraz opowiadać?

Ja opowiadam to, co jest w Ewangelii, bo jestem za głupi na to, żeby mówić od siebie. Wiem, że od Boga pochodzi Słowo, które może człowieka przeprowadzić przez każdą sytuację. I tego się będę trzymał.

©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Bracia

Opowieść o Kainie i Ablu ma charakter paradygmatyczny. Jest historią o braterstwie. Nie należy jej czytać na sposób moralistyczny, ale tak, jakby odnosiła się do naturalnej, pierwotnej relacji łączącej braci. W pewnym starożytnym midraszu powiada się, że Kain jest dzieckiem Ewy i węża; wąż ją uwiódł i skłonił do współżycia. Jest on kwintesencją zła i owo zło, które pochodzi od rzekomego ojca, wdarło się między ludzi. Midrasz nie może przesłonić faktu, że zbrodnia Kaina była i jest w istocie stałą, powracają możliwością. Tym bardziej, gdy pomyślimy, że bratobójstwo jest zbrodnią na każdym człowieku, który w swej istocie jest naszym bratem lub siostrą.

Adam poznał Ewę. W tekście biblijnym sens tych słów nie budzi wątpliwości. Narodził się Kain. Matka była wyjątkowo dumna i powiedziała: „wydałam na świat mężczyznę z pomocą Boga" (Rdz 4, 1). Jest dumna ze swoich sił życiowych. Jest niczym Bóg. On stworzył człowieka, ona też stworzyła człowieka. Ojciec zdaje się niewidoczny. To ona przypisuje sobie wszelkie zasługi. Ewa nadała mu imię, które wywodzi się ze słów „posiadać", „stworzyć", „ukształtować". On czuł się posiadaczem ziemi i szczycił się, że pomagał rodzić owoce ziemi. Ojciec powstał z prochu ziemi, matka z żebra Adama. On został ukształtowany, jak my wszyscy, w łonie matki. Można powiedzieć – on był pierwszym człowiekiem.

Abel nie został przywitany przez matkę z zachwytem i zadziwieniem, a otrzymał dziwne imię oznaczające „nicość", „ulatujący oddech". O tym jest Księga Koheleta, gdzie powtarza się: „wszystko jest marnością". Wszystko mija i zarazem nic się w świecie nie zmienia. Kain, jak to ujął komentator, jest istotą mocno wbudowaną w świat, Abel ledwo istnieje. Mówi się o nim jako o bracie i istnieje tylko jako młodszy brat.

Wydaje się, że matka popełniła klasyczny błąd – ale skąd mogła wiedzieć, że postępuje źle? Nikt nie uczył jej macierzyństwa. Całą uwagę i miłość ofiarowała starszemu synowi, drugiego jakby nie zauważając. Starsze z rodzeństwa często nie lubi młodszego bojąc się, że matka przestanie już być wobec niego tak troskliwa. Zazdrość wydaje się tu naturalna i złowroga w swoich konsekwencjach. Może tu tkwi początek rywalizacji. Po tym dochodzi zwykle rywalizacja o pozycję, majątek, imię.

Różnicę między braćmi podkreśla zajęcie i sposób życia. Jeden jest rolnikiem, drugi pasterzem. Wiemy skądinąd, że Bóg wybiera zwykle pasterzy na wodzów i proroków. Ceni ich swobodę, prostotę życia. Nie są przywiązani do miejsca i danego raz na zawsze krajobrazu. Bóg Biblii jest przede wszystkim Bogiem nomadów i do pewnego stopnia wędrowców. Kain – rolnik, twórca miast i instrumentów, daje początek cywilizacji, produkcji, postępowi, a czyż już samo to nie budzi nieufności i podejrzliwości? ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Kwestia intonacji

W opowiadaniach o Męce Pańskiej nie przeoczmy Judasza. Zwłaszcza to, jak został potraktowany przez *establishment* polityczny i religijny. A jak potraktował go Jezus? Do uczestników Ostatniej Wieczerzy powiedział: „Byłoby lepiej dla tego człowieka [który Go wyda], gdyby się nie narodził". To zdanie przytaczano na dowód tego, że Judasz został potępiony. Za zdradę Boga przecież nie może być innej kary jak wieczna. Ale w Getsemani Jezus powiedział do Judasza coś jeszcze: „Przyjacielu, po co przychodzisz?".

Słowo „przyjacielu" można wypowiedzieć różnie. W zależności od intonacji będzie ono wyrażało współczucie albo gniew. Może wybrzmieć jako: „Mój przyjacielu, jaka szkoda, że przyszedłeś" albo „Przyjacielu, i po co tu przylazłeś". Być może dlatego Kościół, pomijając świeckich i duchownych doktrynerów i niektórych mistyków, nigdy nie ogłosił Judasza potępionym, gdyż, z różnym co prawda powodzeniem, wciąż usiłuje uchwycić tę Chrystusową serdeczną intonację: „Już nie nazywam was sługami, ale przyjaciółmi".

Judasz znajdował w Kościele, nielicznych co prawda, obrońców. Pierwszym z nim jest Ewangelista Mateusz, który mówi, że Judasz „poczuł wyrzuty sumienia i odniósł trzydzieści srebrników wyższym kapłanom oraz starszym". Powiedział też: „Zgrzeszyłem, gdyż wydałem niewinnego". A przedtem Jezus, podczas Ostatniej Wieczerzy, nie odsunął Judasza od swego stołu. Niektórzy twierdzą, że Judasz przystąpił do stołu Pańskiego świętokradczo. Dlaczego jednak odniósł pieniądze i publicznie się kajał? Skąd ta nagła zmiana?

„Zauważcie, że jeśli drzewo jest dobre, to i jego owoce są dobre – mówi Jezus – ale gdy drzewo jest złe, to także jego owoce są złe. Bo po owocach poznaje się drzewo". Jeśli nawet Judasz porzucił Jezusa, to nie znaczy, że Jezus porzucił Judasza. „Jestem pewny, że ani śmierć, ani życie, (...) nie zdoła nas oddzielić od miłości Boga, objawionej w Chrystusie Jezusie, naszym Panu" – mówi Paweł Apostoł. Nie spieszmy się więc z osądzaniem Judasza, gdyż do Jezusa zawsze należy ostatnie słowo, a nie do nas.

Kiedy w głębokim przekonaniu co do prawdziwości naszej wiary najdzie nas ochota na wysyłanie kogokolwiek do piekła albo na zaliczenie do zdrajców czy heretyków, pamiętajmy słowa Jezusa: „Tej nocy wszyscy zwątpicie we Mnie. (...) Wtedy Piotr Mu oświadczył: »Nawet gdyby wszyscy zwątpili w Ciebie, ja nigdy nie zwątpię«. Rzekł do niego Jezus: »Zapewniam cię: Jeszcze tej nocy, zanim kogut zapieje, trzy razy się Mnie wyprzesz«. Lecz Piotr Mu odparł: »Choćbym miał zginąć z Tobą, nigdy nie wyprę się Ciebie«". Wiemy, co było dalej. Wkrótce Jezus zapyta Piotra: „Czy kochasz Mnie?". A Piotr odpowie: „Panie, Ty wiesz o wszystkim. Ty wiesz, że Cię kocham". Ty wiesz... ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Pokusa

Ja jestem ta,
która nie-jest.
Prawda Twoja działa,
mówi i dokonuje
wszystkiego,
bo przecież mnie – nie ma.

KATARZYNA ZE SIENY

Cały świat
jest wąską kładką.
Najważniejsze
– nie bać się.

NACHMAN Z BRACŁAWIA

Wybrał PIOTR SIKORA

„Pan powiedział do Mojżesza: (...) twój lud, który wyprowadziłeś z ziemi egipskiej, postąpił wiarołomnie (...) odlali sobie cielca, oddali mu pokłon, złożyli ofiary (...). Widzę, że jest to lud twardego karku. Zostaw Mnie teraz, niech Mój gniew zapłonie przeciwko nim. Wytracę ich, ale ciebie uczynię wielkim narodem" (Wj 32, 7-10).

Jakaż pokusa. Poczuć się lepszym niż Lud Boga. W chwili, gdy ten Lud okazał się wiarołomny. Gdy dopuścił się grzechu – równie jawnego jak ciężkiego. I powszechnego.

Jaka pokusa. Pomyśleć – nawet będąc (jak Mojżesz) przed Bogiem na modlitwie – jestem lepszy niż ten Kościół. Ja jestem w porządku. Jestem wierny. Po chwili może ona przyjąć formę jeszcze gorszą: „Ode mnie się zacznie". „Dopiero ze mnie wyrośnie prawdziwy Lud Boży/Kościół" – „dopiero ja dam mu prawdziwie ewangeliczny początek". „Mnie Bóg uczyni fundamentem nowego Kościoła".

Mojżesz wie, że od niego nic się nie zaczyna. Ten Lud – Lud Boga ma pół tysiąca lat: zaczął się od kogoś innego. Mówi więc do Boga: „Wspomnij na Abrahama, Izaaka i Izraela, Twoje sługi, którym przysiągłeś na siebie samego, i powiedziałeś im: »Rozmnożę wasze potomstwo jak gwiazdy na niebie«". Mojżesz ma głębokie poczucie przynależności i zakorzenienia – w wierze Abrahama, Izaaka i Jakuba, który stał się Izraelem. Nie rozumie siebie samego poza wspólnotą wiary. W zestawieniu z nią jakżeż biednie musiałaby wyglądać formacja zaczynająca się od niego, i kosztem tamtej.

Więc pierwsza reakcja Mojżesza na wiadomość o grzechu Ludu Boga to nie odcięcie się od niego, lecz wielka modlitwa wstawiennicza: „Mojżesz błagał Pana, swego Boga: »Panie, dlaczego Twój gniew płonie przeciwko Twojemu ludowi?«". I dalej – z narastającą, wręcz heroiczną determinacją: „Lud ten popełnił wielki grzech, bo zrobili sobie boga ze złota. Ale teraz odpuść im ten grzech. Jeżeli nie, to wymaż mnie z Twojej księgi, którą napisałeś" (Wj 32, 31-32).

Wszystko w tym jest. Jest jasne rozeznanie co do ogromu popełnionego zła; jest też nazwanie go po imieniu, z dotarciem do źródła nieszczęścia. Ale jest także miłość do Kościoła – absolutne poczucie przynależności. Mojżesz nie chce być zbawiony bez Ludu Bożego. Nie chce. Nie potrafi. Nie potrafi o nim pomyśleć i mówić o nim inaczej jak tylko: „Mój Kościół", „Mój Lud Boga". Jest w tym miłosierna miłość. Jest wierność. Odpowiedzialność. I pokora.

Mojżesz „był człowiekiem bardzo pokornym, najpokorniejszym ze wszystkich ludzi, jacy żyli na ziemi" (Lb 12, 3). ©

CZYTANIA LITURGICZNE (5 – 12 IV)

Niedziela Palmowa: Iz 50, 4-7; Ps 22; Flp 2, 6-11; Mt 26, 14 – 27, 66;
Poniedziałek: Iz 42, 1-7; Ps 27; J 12, 1-11;
Wtorek: Iz 49, 1-6; Ps 71; J 13, 21-33. 36-38;
Środa: Iz 50, 4-9a; Ps 69; Mt 26, 14-25;
Wielki Czwartek (Wieczerza Pańska): Wj 12, 1-8. 11-14; Ps 116; 1 Kor 11, 23-26; J 13, 1-15;
Wielki Piątek: Iz 52, 13 – 53, 12; Ps 31; Hbr 4, 14-16; 5, 7-9; J 18, 1 – 19, 42;
Sobota, Wigilia Paschalna: Rdz 1, 1 – 2, 2; Ps 104; Rdz 22, 1-18; Ps 16; Wj 14, 15 – 15, 1a; Wj 15; Iz 54, 4a. 5-14; Ps 30; Iz 55, 1-11; Iz 12; Ba 3, 9-15. 32 – 4, 4; Ps 19; Ez 36, 16-17a. 18-28; Ps 42; Rz 6, 3-11; Ps 118; Mt 28, 1-10;
Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego: Dz 10, 34a. 37-43; Ps 118; Kol 3, 1-4; J 20, 1-9.

Z TARCZĄ I NA TARCZY

RYSZARD SZARFENBERG, BADACZ POLITYKI SPOŁECZNEJ:

Marzę o działaniach antykryzysowych skrojonych nie tylko na miarę pracującego Polaka, lecz również z myślą o najsłabszych.

MAREK RABIJ: Kiedy pod koniec zeszłego tygodnia umawialiśmy się na tę rozmowę, obaj byliśmy zgodni, że do wtorku (24 marca) parlament winien przyjąć pakiet rozwiązań antykryzysowych. Mamy środę. Tarcza, którą obiecał rząd, nadal pozostaje projektem.

RYSZARD SZARFENBERG: Rzeczywiście, spodziewałem się większej mobilizacji. Ale z samego projektu można już wiele wyczytać.

Podobała się Panu ta lektura?

Nie za bardzo. Od razu jednak uściślę, że wszystkie zastrzeżenia wobec polityki rządu wolę wziąć w nawias stanu wyjątkowego, w którym wszyscy teraz funkcjonujemy. Formalnie go oczywiście nadal nie ogłoszono, ale rzeczywistość spełnia te kryteria, myślę, z naddatkiem. W takich warunkach rządzący muszą działać po omacku i będą popełniać błędy, które można korygować z czasem.

Jednego moim zdaniem rząd mógłby już teraz uniknąć. Opieszałości.

Zgadzam się z panem. Ten projekt wydaje mi się zachowawczy.

Bo rząd walczy nie tyle z kryzysem, ile nadal o zrównoważony budżet?

W sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, źródła tej opieszałości mają drugorzędne znaczenie. Skupmy się na jej skutkach. Ja nie mam, niestety, wątpliwości, że planuje się w tej chwili o wiele za mało. Jaskrawym przykładem jest przeznaczenie z Funduszu Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych zaledwie 800 mln zł na dofinansowanie pensji dla przedsiębiorstw, które wpadły w kłopoty. Powtórzę: tylko 800 mln zł w pakiecie, który rząd wycenia łącznie na 212 mld zł, ma trafić na ochronę miejsc pracy. Czyli na coś, co powinno być priorytetem tej antykryzysowej strategii.

Te 212 mld zł to także propagandowy slogan. Po odjęciu stałych wydatków, rządowych gwarancji i odroczonych kar, zostaje około 68 mld. Czyli około 3,4 proc. polskiego PKB.

Nawet w tym wariancie pakiet osłonowy dla miejsc pracy wygląda na razie marnie. Widziałem pierwsze szacunki, z których wynika, że w najbardziej zagrożonych sektorach polskiej gospodarki pracuje na umowach cywilnoprawnych i własnej działalności gospodarczej 780 tys. osób. Do tego powinniśmy doliczyć około 2 mln zatrudnionych na umowę o pracę. I na ten cel ma wystarczyć 800 mln zł, czyli 290 zł na osobę?

Mnie z racji zainteresowań naukowych, a od dawna zajmuję się badaniami zjawiska ubóstwa i wykluczenia, bardziej interesuje zresztą, czy i w jaki sposób rząd zamierza pomóc tym, którzy zostaną zwolnieni i stracą umowy. Nie chodzi tylko o zasiłki dla bezrobotnych. Także o dostęp do świadczeń pomocy społecznej. Jest to niska pomoc niespełniająca międzynarodowych standardów, która w warunkach ogólnopolskiej kwarantanny będzie trudniej dostępna. Ma być co prawda furtka w przepisach, która umożliwi wnioskowanie o pomoc społeczną przez telefon. W sytuacji, w której się niebawem znajdziemy, a wszystko przemawia za znacznym wzrostem bezrobocia, wsparcie dla osób bez środków do życia i pomoc w ich powrocie na rynek pracy powinny być drugim filarem działań rządu, obok zapobiegania redukcjom zatrudnienia.

Widział Pan dane z USA? W ciągu zaledwie tygodnia liczba wniosków o zasiłek dla bezrobotnych wzrosła tam o ponad 3 miliony. Wiem, amerykański rynek pracy nie podlega takim regulacjom jak polski, ale mimo wszystko to robi wrażenie.

Proszę w takim razie spojrzeć także na wartość amerykańskiego pakietu na zasiłki dla bezrobotnych. Około 250 mld dolarów, czyli 12 proc. wartości całej tamtejszej „tarczy antykryzysowej". Byłbym spokojniejszy, gdyby Polska w analogiczny sposób przeznaczyła na to samo dodatkowe 20 mld zł.

A ile przeznacza?

Nie wiemy. W projekcie nie znalazłem o tym żadnej wzmianki.

A może na to za wcześnie? Czy w obliczu kryzysu, z jakim się zmagamy, rząd powinien rzucić od razu wszystkie karty na stół? Być może lepszą strategią będzie elastyczne reagowanie w zależności od rozwoju sytuacji?

Państwo powinno przede wszystkim działać stabilizująco. Gospodarkę paraliżuje przecież niepewność. Ludzie nie wiedzą, czy po kwarantannie będą mieć pracę, dlatego ograniczają wydatki. Firmy boją się spadku dochodów, zapobiegawczo tną więc zatrudnienie i pensje. Ktoś musi wówczas powiedzieć: stop, panujemy nad sytuacją, zaufajcie nam i wspólnie damy sobie radę.

Niech pan sobie wyobrazi, że prowadzi małą firmę, na przykład restaurację. Ma pan na etacie kilka osób i rząd każe panu z dnia na dzień praktycznie zamknąć interes do odwołania. Każdy dzień przestoju powiększa straty. Jeśli ma pan nie zwolnić ludzi i nie zwinąć interesu, rząd musi od razu pokazać, na jakie wsparcie może pan liczyć.

Jeśli już, wyobrażam sobie odwrotną dynamikę. Zaczynamy właśnie od wielkiego uderzenia, gwarantujemy płace w zagrożonych firmach na wyższym poziomie i uspokajamy nastroje. Z czasem, wraz ze spadkiem zagrożenia epidemicznego, stopniowo zmniejszamy skalę pomocy. Polski rząd zaczyna tymczasem symbolicznie. Wspomniane 212 mld zł – zakładając, że to realna pomoc – plasuje polską odpowiedź na nadchodzącą recesję mniej więcej na poziomie Węgier, czyli kraju o niemal czterokrotnie mniejszym produkcie krajowym brutto.

A przecież rząd PiS przyzwyczaił nas do odważnych posunięć, zwłaszcza w sferze polityki społecznej. Największe osiągnięcia w tej dziedzinie, jak program 500 plus dla wszystkich dzieci czy dużą podwyżkę płacy minimalnej, wprowadzał wręcz na przekór głosom części ekonomistów i przedsiębiorców, którzy spodziewali się, że takie działanie doprowadzi budżet i gospodarkę do katastrofy. Teraz rząd znów gra w kontrze do części ekspertów i środowiska biznesu – ale w kierunku zaciskania pasa.

Nie wszyscy są za hojnym pakietem pomocowym. Forum Obywatelskiego Rozwoju związane z Leszkiem Balcerowiczem przestrzegło przedsiębiorców, że pomoc, po którą się dziś tłumnie ustawiają, jutro stanie się argumentem za podwyżką podatków dla firm.

Darujmy sobie na razie dywagacje, co będzie z podatkami, kiedy skończy się pandemia, i skupmy się na walce z nią i jej skutkami dla gospodarki i gospodarstw domowych, bo one również są zabójcze dla budżetu. Kwarantanna zatrzymała część produkcji, a razem z nią ↦

ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

konsumpcję, ale ta również będzie coraz mniejsza wraz z wysychającymi kontami konsumentów.

A jest to źródło najważniejszego wpływu budżetowego, jakim są podatki VAT. Myślę, że w tej chwili nikt już nie ma złudzeń, że w 2020 r. uda się zrównoważyć budżet. Pytanie brzmi: na ile go zadłużyć?

Proponuję odwrócić tok rozumowania. Nie liczmy, ile mamy w kasie i ile maksymalnie możemy do niej jeszcze dorzucić w formie deficytu, bo nie prowadzimy testu obciążeniowego dla finansów publicznych. Mówimy o polityce społecznej. Powinniśmy więc najpierw zidentyfikować zagrożenia, oszacować ich skalę i dopiero do tego przymierzyć wydatki. Polskie miejsca pracy nie są przecież mniej zagrożone od tych w Irlandii, Wielkiej Brytanii czy Danii. Tamtejsze rządy będą wspierać ich utrzymanie dotacją na poziomie 70-80 proc. kosztów płac. W Polsce przedsiębiorcy na to samo dostaną jakieś 40 proc. Musimy pamiętać, że jeśli teraz pomoc dla pracodawców nie będzie adekwatna do potrzeb, stracimy sporo miejsc pracy, ich brak osłabi gospodarkę, a więc również uderzy w dłuższej perspektywie w budżet.

No to jak szaleć, to szaleć. Dochód podstawowy dla wszystkich na czas kryzysu. Jeśli w poprzednim kryzysie państwa ratowały gospodarki setkami miliardów dolarów, teraz również możemy przeprowadzić społeczne luzowanie ilościowe.

Dochód podstawowy to postulat, który wydaje się atrakcyjny w czasie kryzysu ze względu na prostotę. Trudniej wprowadzić go w życie, przynajmniej w pełnej wysokości i dla wszystkich obywateli. Niemniej, na przykład w USA zaplanowano już kryzysowe świadczenie dla uboższych Amerykanów w wysokości 1200 dolarów.

Chodzi mi o efektywność wydatkowania środków publicznych dla stymulowania popytu, a przynajmniej po to, aby wystarczyło na podstawowe rachunki. Dołożenie tysiąca złotych miesięcznie komuś, kto zarabia 50 tys., nie sprawi przecież, że zacznie on więcej wydawać. Co innego, jeśli ten tysiąc przekaże pan osobie z pensją minimalną czy na słabo opłacanej umowie cywilnoprawnej. Ona odczuje realną poprawę sytuacji finansowej.

Za miesiąc lub dwa rosnąca grupa obywateli będzie pozbawiona możliwości zarobkowych i zacznie mieć problemy ze spłatą bieżących zobowiązań. Coś w rodzaju kryzysowego dochodu podstawowego, w sam raz na czynsz i podstawowe opłaty, mogłoby rozwiązać problem narastania zadłużenia gospodarstw domowych. Taki mechanizm można oprzeć o progi dochodowe, jak w USA, choć wtedy już oddalamy się od pierwotnej idei.

I wpadamy w odwieczny dylemat: ktoś, kto zarobił złotówkę ponad próg, wylatuje z systemu, choć pomoc jest mu potrzebna tak samo jak komuś, kto zarobił 2 złote mniej.

To akurat jest mniejszy problem przy zasadzie „świadczenie nie dla bogatych", w porównaniu z zasadą „nie dla biednych". Czym innym są bowiem limity dochodowe wyznaczające próg ubóstwa, a czym innym wysoko ustawione progi, które odcinają dostęp do pewnych świadczeń osobom zamożnym.

A może nie dawać, tylko nie zabierać? Specjaliści od transferów socjalnych twierdzą, że najtańszym sposobem na przekazanie pomocy są ulgi podatkowe. Nie trzeba tworzyć specjalnego aparatu do dystrybucji świadczenia. Ciekawym pomysłem wydaje mi się droga Tajwanu, który na czas walki z pandemią i wywołaną przez nią recesją obniża podatki.

Odraczanie płatności podatków i składek jest w pakiecie, więc działa to analogicznie w krótkim terminie. Ale na dłuższą metę to nie jest najlepsze rozwiązanie.

Dlaczego? Podatki PIT przynoszą budżetowi trzy razy mniej od VAT. Część pieniędzy, które państwo wspaniałomyślnie zostawiłoby podatnikom w kieszeni, wróci do niego właśnie w formie podatku VAT. Tak dzieje się m.in. z 500 plus. Około 18 proc. tego świadczenia budżet odzyskuje właśnie dzięki VAT.

Owszem. Tylko że mówimy o płatnościach rachunków w czasie masowego bezrobocia oraz stymulacji konsumpcji po opanowaniu epidemii. Obywatele muszą poczuć, że stać ich przynajmniej na tyle, na ile było ich stać przed kryzysem. Słowem – muszą dostać pieniądze wyrównujące straty. Uważam, że lepsze będą kryzysowe i pokryzysowe transfery, a nie trwałe obniżki podatków.

I wreszcie rzecz fundamentalna. Moim zdaniem, nie czas na obniżanie podatków, które w Polsce są i tak niskie. Nie wiemy, jak długo potrwa kwarantanna

Co na tarczy?

PAKIET USTAW i rozporządzeń nazwany „tarczą antykryzysową" zawiera m.in:

- zwolnienie ze składek na ZUS przez 3 miesiące dla pracujących w mikrofirmach zatrudniających do 9 osób, założonych przed 1 lutego br.;
- takie samo zwolnienie dla prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą o przychodzie poniżej 3-krotności przeciętnego wynagrodzenia, zarejestrowanych przed 1 lutego 2020 r.;
- tzw. świadczenie postojowe w kwocie do około 2 tys. zł – dla zleceniobiorców (umowa zlecenie, agencyjna, o dzieło) i samozatrudnionych;
- dofinansowanie wynagrodzeń pracowników – do wysokości 40 proc. przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia i uelastycznienie czasu pracy – dla firm w kłopotach;
- ochronę konsumentów przed nadmiernym wzrostem cen i innych nieuczciwych praktyk;
- umożliwienie odliczenia od dochodu (przychodu) darowizn przekazanych na przeciwdziałanie COVID-19;
- korzystniejsze zasady rozliczania straty przy prowadzeniu działalności gospodarczej;
- obniżenie o 90 proc. czynszów najemców lokali i tzw. wysp w galeriach handlowych, dopóki obiekty te mają zakaz normalnego funkcjonowania;
- przedłużenie legalnego pobytu i zezwoleń na pracę dla obcokrajowców.

Propozycje rządu zostały skrytykowane jako niewystarczające przez większość środowisk biznesowych. Przedsiębiorcy zwracają także uwagę, że rzeczywista efektywność rządowej pomocy będzie zależeć od detali, choćby kształtu przepisów wykonawczych oraz szybkości, z jaką państwo będzie rozpatrywać wnioski o ulgi lub wsparcie. ©℗ MR

społeczna i jak długotrwałe okażą się spowodowane przez nią szkody, a tym samym nie wiadomo też, jak długo państwo będzie musiało funkcjonować w realiach mocno zwiększonego deficytu.

Jak pan widzi, po długich rozważaniach na temat form pomocy i tak wylądowaliśmy przy pytaniu podstawowym: skąd wziąć na to pieniądze?

Myśli Pan, że znajdą się odważni, by pójść drogą wskazywaną przez zwolenników MMT, nowoczesnej teorii monetarnej, która mówi, że suwerennemu państwu, które jest także emitentem pieniądza, gotówki po prostu nie może zabraknąć? Jeśli uratowanie gospodarki wymaga wrzucenia w nią choćby i biliona złotych, po prostu uruchamiamy drukarki.

No dobrze. Powiedzmy, że do 68 mld zł bezpośredniej tarczy antykryzysowej dokładamy drugie tyle tytułem kryzysowego dochodu podstawowego, czyli po tysiąc złotych dla każdego Polaka w wieku produkcyjnym przez trzy miesiące. Razem mamy około 137 miliardów. Do tego trzeba jeszcze dodać jakieś 27 miliardów planowanego deficytu. Czyli deficyt budżetowy rzędu 7 proc. PKB z 2019 r., nie licząc spadku wpływów z podatków.

Komisja Europejska dała już do zrozumienia, że nie będzie kręcić nosem na wykręcenie bezpieczników deficytu.

W porządku, ale skąd wziąć te dodatkowe 70 miliardów? Może bank centralny pomoże?

Ale jego celem statutowym jest walka z inflacją i wspieranie polityki gospodarczej rządu – o ile nie jest ona sprzeczna z podstawowym celem NBP, czyli pilnowaniem stabilności cen.

Otóż to. Konstytucja w artykule 227. mówi jasno, że bank centralny odpowiada za wartość polskiego pieniądza. A dodatkowo w artykule 220. zakazano pokrywania deficytu budżetowego przez zaciąganie zobowiązania w banku centralnym. Ten argument podnoszono już przy operacji skupu obligacji skarbowych z rynku wtórnego. Żeby zamienić NBP w źródło dochodu podstawowego, trzeba zatem zmienić ustawę zasadniczą. Myślę, że w polskiej polityce jeszcze długo nie będzie ponadpartyjnego konsensusu,

PiS przyzwyczaił nas do odważnych posunięć, zwłaszcza w sferze polityki społecznej. Teraz rząd znów gra w kontrze do części ekspertów i środowiska biznesu – ale w kierunku zaciskania pasa.

który by to umożliwił. A co może ważniejsze – ekonomiści w większości też nie wyobrażają sobie scenariusza, w którym bank centralny poprzez banki, w których obywatele mają konta, przekazuje im co miesiąc coś w rodzaju dochodu podstawowego.

Panie Profesorze, rozmawiamy już godzinę, ale dyskusja toczy się niemal wyłącznie wokół problemów gospodarczych i fiskalnych. Trochę to przykre, że państwo stać na wyjątkowe kroki w naszej obronie dopiero wtedy, kiedy nasze problemy zagrażają także fundamentom jego egzystencji.

Niestety, ma pan rację. Tarcza antykryzysowa ma przeciwdziałać negatywnym skutkom gospodarczym kwarantanny społecznej. Rząd polecił Polakom, żeby zostali w domach, ale już nie zainteresował się tymi, którzy nie mają domów. Bezdomnych potraktowano tak, jakby nie istnieli.

Z punktu widzenia interesów budżetowych ludzie, którzy nie są płatnikami, nie istnieją.

W takim razie „nie istnieją" również instytucje, które bezdomnym pomagają. Nie pomyślano o zaopatrzeniu je w niezbędne środki higieniczne i ochrony osobistej. To wielka porażka naszego państwa, poniesiona zresztą walkowerem już na początku kryzysu. Bo pracodawcy, związki zawodowe, organizacje branżowe i inne grupy interesów walczą teraz o swoje. Trwa ogólnopolska licytacja na straty. Rząd musi tych głosów wysłuchać. Ale musi też pamiętać o wykluczonych, którzy nie mają swoich lobbystów i nie potrafią zadbać o siebie. Naprawdę, nie chciałbym usłyszeć pewnego dnia w telewizji, że w jakimś polskim domu spokojnej starości poumierali niemal wszyscy pensjonariusze, bo nie było jak przeprowadzić kwarantanny osób zarażonych, jak we Włoszech.

Drugi przykład. Kwarantanna a przemoc domowa. Czy komuś w rządzie zaświtała choćby myśl, że dla wielu Polaków przymus spędzania czasu pod jednym dachem z oprawcą może być równoznaczny z zagrożeniem zdrowia lub życia? Oczywiście, rozumiem, działamy w warunkach nadzwyczajnych i władza musi szeregować problemy w taki sam sposób, w jaki robią to lekarze z chorymi na izbie przyjęć. Mimo wszystko marzę o tarczy antykryzysowej skrojonej nie tylko na miarę pracującego Polaka, lecz z myślą o najsłabszych członkach społeczeństwa. ©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI / FORUM

DR HAB. RYSZARD SZARFENBERG pracuje na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się badaniami ubóstwa i wykluczenia społecznego. Do 2010 r. był ekspertem Narodowej Strategii Integracji Społecznej.

POŻEGNANIE

23 marca 2020 r. zmarł

Stefan Papp

redaktor graficzny „Tygodnika Powszechnego" w latach 1957–1965

Pozostanie w naszej pamięci

REDAKCJA

MICHAŁ KOŚĆ / FORUM

Białystok, 18 marca 2020 r.

Kiedy przez ladę przechodzi front

KRZYSZTOF STORY

Michał uzupełnia półki w supermarkecie. Drugi Michał jest inżynierem budowy. Magda pracuje w aptece, Monika w papierniczym, Mariusz w straży. Ich pracy nie da się przenieść do internetu.

Kraków, mały osiedlowy sklep. Głównie cukiernia, ale papierosy i makaron też się dostanie. Dziś obsługuje pani Magda. Nad ladą pochyla się właściciel, który montuje pleksi odgradzające panią Magdę od klientów. Szyby nad kasami stają się symbolem walki z epidemią. Pani Magda mówi, że trzeba uważać, i pokazuje dłonie w rękawiczkach.

W sklepie jest też jeden klient, starszy pan. Również mówi, że trzeba uważać i że jest dumny z Polaków. Bo siedzą w domach, zrobili zakupy na kilka dni. Sam kupuje sok i drożdżówkę.

Poza cukiernią w sporym pawilonie osiedlowym są apteka, przedszkole, poczta, pralnia, siłownia, szkoła tańca, warzywniak, kiosk, piekarnia, bar mleczny, papierniczy, sklep motoryzacyjny, sklep z narzędziami i punkt ksero. Śmiejemy się, że właśnie ten budynek powinien przetrwać ewentualną apokalipsę. Te małe firmy oferują wszystko, co potrzebne do życia.

22 marca, część pawilonu (przedszkole, siłownia, bar mleczny) zamknięta. Przez pozostałe lokale przechodzi coś na kształt „linii frontu". Na każdych drzwiach wisi kartka z informacją, ile osób może wejść do środka. Cukiernia – dwie, papierniczy – trzy, kiosk – trzy. Wszyscy sprzedają w rękawiczkach. I pracują, bo ich pracy nie da się przenieść do sieci.

BEZ OPÓŹNIEŃ 17 marca. W Polsce liczba potwierdzonych zakażeń przekroczyła 200. Dwa dni wcześniej zamknięto granice, od wczoraj nieczynne są szkoły, muzea, instytucje kultury, uczelnie. Michał jest jedną z niewielu osób, które 17 marca powiedzą: „W moim życiu za wiele się nie zmieniło".

Michał jest inżynierem budowy. Pracuje dla głównego wykonawcy, stawiają osiedle mieszkaniowe w Krakowie: – Pracujemy tak samo jak zawsze, nawet bez opóźnień. Teraz dodatkowo zwracamy uwagę na liczbę pracowników. Na szczęście jesteśmy na takim etapie, że nie ma tłoku.

Michał mówi, że dodatkowe środki bezpieczeństwa to najczęściej decyzja podwykonawców: – Na budowie i bez epidemii ciężko o ochronę indywidualną.

– Nie boisz się? – pytam.

– Do pracy jeżdżę samochodem, trzymam dystans, większość czasu spędzam w biurze. Jakieś ryzyko zawsze jest. Ale nie mogę sobie pozwolić na brak przychodów. Tak samo firmy, które muszą płacić za wynajem sprzętu. Teraz rusza sezon budowlany, możemy pracować bez opóźnień, a nikt nie wie, jak będzie wyglądał rynek za kilka miesięcy.

– Naprawdę nic się w waszej pracy nie zmieniło?

– Jeszcze dostaliśmy polecenie, by zamawiać materiały na trzy miesiące do przodu, bo nie wiadomo, jak będzie z dostawami. Efekt? Nie wyszliśmy z ziemi, a ja zamawiam ocieplenie.

DWA ZŁOTE Od początku marca wielu ludzi musiało lub mogło przejść na pracę zdalną. Do sieci przeniosły się szkoły, uczelnie, ale też korporacje, redakcje i wydawnictwa. Z podziwem patrzymy na lekarzy, ratowników, pielęgniarki. W tym wszystkim łatwo zapomnieć, że tysiące ludzi nadal wychodzi do pracy, styka się z klientami i każdego dnia ryzykuje.

Wracam do pawilonu. Najbliżej mojego bloku znajduje się sklep Papierniczy Zakątek. Prowadzi go Monika Przebinda.

– Do nas większość klientów trafia przy okazji, bo akurat przechodzili – mówi Monika. – Kupują drobne rzeczy: ołówek po 1,70, gumkę po 2 złote. A teraz sprzedają się tylko zabawki, gry, bloki, trochę kredek. Wszystko, czym można w domu zająć dziecko.

Dwa dni wcześniej widziałem, jak pracowniczka Moniki z braku klientów myje okna.

– Skróciłam godziny otwarcia. Nie liczyłam dokładnie, ale utarg spadł o około 50 procent.

– Nie boi się pani?

– Trochę tak. Ale nie mam wyboru. Co miesiąc muszę zapłacić 3700 czynszu. Jeśli spółdzielnia zdecyduje się go obniżyć,

będę się cieszyć, ale na razie nic takiego się nie stało. Więc nawet te 300 złotych dziennie jest bezcenne.

Pani Monika traci, bo sprzedaje towary, które nie są „niezbędne". Dużo lepiej radzą sobie lokale obok – spożywczy i... sklep z narzędziami. – Dzisiaj rano znowu musiałam dokupić towar – mówi właścicielka. – Wszyscy teraz zabrali się za odkładane latami remonty.

DWIE BUŁKI I MLEKO Michał pracuje w dużym supermarkecie, głównie na hali. Wykłada towar, czasem siada za kasą. 15 marca opisuje swój dzień w pracy: – Dzień wcześniej ogłoszono stan zagrożenia epidemicznego. O 5 rano zaczynałem pracę z myślą, że będzie spokojniej. Że ludzie teraz już naprawdę zostaną w domach. Zmęczony byłem wykładaniem od kilku dni ciągle tego samego: mąka, kasze, ryże, makaron, mąka, kasze, makaron.

Sklep Michała pracuje od 7 rano: – Otwarcie i tłum ludzi. Ponad 100 osób wpadło w pierwszych pięciu minutach. Paleta ziemniaka, 700 kilogramów, zeszła w około 20 minut. Jak szarańcza. A później ludzie wrócą, odpalą fejsa i wstawią hasło #zostańwdomu.

Rozmawiamy 10 dni później: – Dopiero wczoraj zainstalowano szyby pleksi. Wcześniej chyba ważniejsze było zatowarowanie sklepu. Mamy też żele do dezynfekcji na wejściu, linie, które wyznaczają odstępy w kolejkach. Żele dla nas są w toaletach, ale nie możemy co 15 minut zostawiać kasy, żeby umyć ręce. Starsi pracownicy wzięli urlopy. Ja nie wziąłem, mam 31 lat i półtoramiesięczne dziecko. Co mi teraz po dwóch tygodniach urlopu? Nie mam pojęcia, czy za dwa tygodnie nie będzie jeszcze gorzej.

W sklepie niczego z podstawowych towarów nie brakuje. Nikt nie wyrywa nikomu papieru toaletowego, klienci zwracają sobie uwagę, by nie dotykać produktów gołą dłonią. – Większość osób się stosuje, ruch jest trochę mniejszy. Najgorsze, że po bieżące zakupy przychodzą w większości ludzie starsi – dodaje Michał. – Zamiast zrobić zapasy, przychodzą po dwie bułki i mleko.

WYSTARCZY? NIE WIEMY Na „home office" nie mogą liczyć urzędnicy i służby państwowe. Mariusz Cyrulewski, zastępca naczelnika w wydziale kwatermistrzowskim Komendy Wojewódzkiej Państwowej Straży Pożarnej, nie jest strażakiem, a właśnie urzędnikiem. Odpowiada za logistykę, zaopatrzenie.

– Na pewno strażacy mają dzisiaj większe obciążenia. Poza epidemią musimy realizować normalne zadania. Tak samo zdarzają się pożary, wypadki, zaczyna się sezon wypalania traw. Wyzwaniem jest przygotowanie się do zupełnie nowej sytuacji. Wczoraj zamawiałem generatory ozonu do dezynfekcji pomieszczeń. No i poszukiwanie środków ochrony indywidualnej: maseczek, rękawiczek, żeli. Mamy 2 tysiące maseczek na województwo.

– Wystarczy? – pytam.

– Na razie tego sprzętu nie brakuje. A później? W zasadzie nie wiemy. Normalne zaopatrzenie straży opiera się na analizach. Mamy normy ilości sprzętu. A tutaj takich analiz nie ma, bo być nie może. Dochodzi do tego momentami niejasny podział kompetencji.

– Dlaczego niejasny?

– U nas w sytuacjach kryzysowych jest trochę tak, że jak nie wiadomo, kogo wezwać, to wzywa się strażaków. A etatów jest tyle samo. To strażacy mierzą dzisiaj temperaturę na przejściach granicznych w województwie. Pierwszy raz musiałem zamawiać termometry.

– Nie boisz się?

– Oczywiście jest niepokój, ale bardziej związany z domową codziennością niż pracą. Ostatnio rozmawiałem z kolegą z Trydentu, to nie jest łatwa opowieść. Ale mam wokół siebie dobrych, mądrych ludzi. To dużo daje.

TROCHĘ PRZERAŻENI Codziennie „na linię frontu" trafia też Magda Zdżalik. Jest farmaceutką, od dwóch lat pracuje w jednej z krakowskich aptek: – Od razu ci powiem. Nie boję się o siebie. Jestem młoda, zdrowa. Boję się o rodziców. I o pacjentów. Bo jeśli mnie zarazi pani Helena, to ja potem zarażę pana Kazimierza.

Wpływ epidemii na swoją pracę Magda opisuje chronologicznie: – Na początku marca pojawiły się plakaty o zachowaniu odległości, bezpieczeństwie. My dostaliśmy informację, że „nie ma przeszkód, aby pracownicy używali własnych środków ochrony". Korzystaliśmy, ręce i tak się dezynfekuje, zwłaszcza przy pracy na recepturze.

Apteka Magdy jest częścią dużej sieci. W połowie marca ze względu na naciski pracowników i kierowników pozwolono załogom używać części zapasów jako środków ochrony własnej.

– Na początku jeszcze te środki były. Mojej koleżance udało się zamówić do apteki 200 maseczek po normalnej cenie, czyli 50 gr za sztukę. Później kosztowała 13 razy więcej. I to nie tylko dlatego, że apteka podniosła ceny. Hurtownie też. Nabijam na kasę parę maseczek i widzę sto złotych. Dziwne uczucie.

– Teraz też są drogie?

– Byłyby drogie, gdyby były. Maseczki, termometry, żele do dezynfekcji. Dla pracowników są zabezpieczone, ale możliwość zakupu to loteria.

Wracamy do chronologii. Najpierw z apteki znikły ogólnodostępne strefy – ciśnieniomierz, przestrzeń dla dzieci. Pojawiły się plakaty z ministerstwa. Ale rząd nie zabezpieczył aptek w żaden szczególny sposób. Dopiero po apelach Naczelnej Izby Aptekarskiej dla każdej apteki przeznaczono 5 litrów płynu do dezynfekcji. Poradnie POZ, w większości pracujące dziś na telefon, dostały dwa razy więcej.

Ponowne naciski pracowników sprawiły, że zainstalowano im pleksi nad ladą. – Trwało to tydzień. O tydzień za długo. Bo widzisz, my byliśmy apteką otwartą na pacjenta. Przyjazną. Wolę chyba, żebyśmy byli apteką bezpieczną. Teraz mamy już tabliczki o zachowaniu odległości, linię na podłodze.

– Ludzie się stosują?

– Większość i tak idzie przed siebie jak dzik w maliny. Ale zwracamy uwagę i wszyscy się grzecznie stosują.

– Co kupują?

– Wszystko, co ma „przeciwwirusowe" w nazwie. W ogóle nie patrzą na cenę: niektóre leki zdrożały o 50 proc. No i maseczki.

– To źle?

– Maseczki powinni nosić chorzy i ochrona zdrowia. Poza tym taka maska jest skuteczna, dopóki nie zawilgotnieje, przez godzinę.

– Co jeszcze schodzi?

– Preparaty na potencję. Widzisz, coś trzeba robić w czasie kwarantanny.

Magda ocenia, że obrót w aptece jest teraz dwa razy większy. Pracują we cztery – trzy farmaceutki i techniczka. Otwarte przez 12 godzin dziennie.

– Nowa Huta, w okolicy mieszkają głównie ludzie starsi. Rozumiem, że nie wszyscy radzą sobie z kartą kredytową. Gotówka to dodatkowe ryzyko. Gorzej, że ↦

tych pieniędzy nie można po prostu wyjąć z portfela. Trzeba je najpierw obślinić. Śmiejesz się, ale to tak wygląda. To samo z receptami. Tak jakby bez śliny nie działała refundacja leków.

– To są nawyki budowane przez całe życie. Zwracacie uwagę? – dopytuję.

– Staramy się. Mówimy, żeby nie przychodzić. Ja wiem, że można, że nagłe wyjścia do apteki są dozwolone. Ale nie każde jest nagłe. A są ludzie, którzy przychodzą codziennie.

– Codziennie do apteki? Po co?

– Jednego dnia po magnez. Drugiego po receptę. Wszystkich leków nie ma, więc trzeciego po resztę. Czwartego ci się przypomina o płynie do soczewek. Piątego po maseczkę.

– Każdy chce się jakoś zabezpieczyć.

– I to jest problem. Ludzie nie rozumieją, że zostanie w domu i nieotwieranie drzwi do apteki gołą ręką daje więcej niż maseczka. Że może nie warto, mając 80 lat, przychodzić po listek Rutinoscorbinu. Ludzie chyba dalej mają poczucie, że coś kupią i to zadziała. Wierzymy w to dużo mocniej niż w działania prewencyjne. A tutaj najwięcej daje nicnierobienie.

– Myślałaś, żeby wziąć urlop?

– Nie. Mam ten komfort, że mogę pracować bez wielkiego ryzyka. A tak zostawiłabym koleżanki w bardzo niewygodnej sytuacji.

– Ale zadowolona nie jesteś.

– Wkurzam się. Bo trochę ryzykuję. Przychodzę do pracy, którą pojmuję jako ochronę zdrowia. A ludzie przychodzą tam narażać swoje zdrowie.

Dzień po tej rozmowie w życie wchodzą ograniczenia swobody przemieszczania się. Można wychodzić tylko w sytuacjach koniecznych: do pracy, pomóc rodzinie, do lekarza. Na liście jest apteka. Magda Zdżalik pisze do mnie: „Jest 10 rano, dopiero zaczynamy dzień i już przyszedł starszy pan po tabletki na wypadanie włosów. Jakiś suplement diety. Zwróciłam uwagę. Powiedział, że to dla żony, bo ona jest chora i nie może sama pójść".

Pisze też Michał: „Zapomniałem dodać. Niektórzy klienci, zwłaszcza starsi, są tu trzy, cztery razy. Jedna klientka ostatnio powiedziała, że jej sąsiad, który powinien być w kwarantannie, był u nas na zakupach. Nie wiemy, ile w tym prawdy. Trochę jesteśmy przerażeni".

© KRZYSZTOF STORY

Tydzień z życia tłumaczki

ANNA GOC

Leki przeciwzapalne mogą nasilić infekcję przy Covid-19 – podały media. Niektórzy głusi zrozumieli: nie należy brać żadnych lekarstw.

E.L., tłumaczka polskiego języka migowego, raportuje codziennie.

Dzień pierwszy

Od tamtej nocy nie wyciszam dźwięków w telefonie. Najpierw przyszedł SMS od głuchego chłopaka, że idzie się powiesić. Potem napisała jego dziewczyna: „Ratunku". Dziś o ósmej rano zadzwoniła na kamerkę głucha kobieta. Wyszła ze szpitala z noworodkiem. Urzędy działają zdalnie. Przychodnie – tylko na telefon. Pytała, jak ma zgłosić urodzenie dziecka. I czy wieczorem przetłumaczę przez kamerkę jej rozmowę w sprawie szczepień. O trzynastej zadzwonił człowiek z urzędu miasta, od multimediów. Zastanawiał się, jak to zrobić, żeby mnie było lepiej widać, gdy tłumaczę na migowy wystąpienia prezydenta. Nie znalazł sposobu. Kamery też nie. Radził, żebym sobie sama poradziła. I że za chwilę będą się ze mną łączyć.

Usiadłam przed telefonem. Ustawiłam się precyzyjnie. Starałam się nie machać za bardzo rękami, żeby się zmieścić w kółku wielkości złotówki, w którym wyświetlam się w dolnym rogu. Przypomniała mi się zabawa głuchych w mierzenie na ekranie: nos prezentera ma sześć centymetrów, tłumacz migowy od czubka głowy do pasa – cztery i pół.

Konferencja trwała pół godziny. Po niej gorąca linia. Głusi pytali o przychodnie: jak coś w nich załatwić, skoro można tylko dzwonić? Nawet SMS nie zawsze ratuje sytuację. Jeśli dostanie go osoba słysząca, która nie zna gramatyki polskiego języka migowego, może go nie zrozumieć.

Co z L4? Na kamerce dobijała się do mnie głucha kobieta, której skończyły się leki na nadciśnienie, czy załatwię receptę.

Na vlogu migałam: piszcie, dzwońcie przez kamerkę. Nie zostawię nikogo bez pomocy. Obdzwoniłam przychodnie. W jednej powiedziano mi, że jestem setna w kolejce.

Po południu zaczęli dzwonić głusi na kwarantannie.

Cztery osoby – dwie wróciły z Niemiec, dwie z Anglii. Policja nie ma jak sprawdzić, czy głusi są w domach. To już rytuał: policjant dzwoni do osób głuchych. Głusi, widząc numer policji, do mnie – na kamerkę. Ja do policjanta – na telefon. „Siedzicie w domu?" – migam do kamerki. „Siedzą" – mówię policjantowi. „Macie gorączkę?" – migam. „Nie mają" – przekazuję.

Chwila przerwy. Poszłam z psem na spacer. Obwiązuję smycz wokół pasa, zapętlam, żeby mieć wolne ręce do migania. Pies idzie jak anioł, o dziwo.

Jedna z pań na kwarantannie pyta, czy może wyjść do sklepu po chleb. Znowu nagrywam vloga, jak się zachowywać podczas kwarantanny. Migam: nie wolno nigdzie wychodzić; jeśli macie kontakt z kimś w domu, ta osoba też nie może wychodzić.

„Kwarantanna" – nowe słowo dla głuchych. Po tym słowie od razu widać, którzy tłumacze mają stały kontakt z głuchymi. Jak literują, znaczy – nie mają. Jak migają dwa krzesełka, nad nimi daszek, mają. Taka jest zasada: nowe słowa się literuje. Ale głusi szybko wymyślają na nie znak, trzeba tylko wiedzieć jaki.

Z koronawirusem co innego. Tu znak przyszedł ze świata. Zaciśnięta pięść, przypominająca jeża. Ale ja wolę migać „korona" i „wirus". Bo wtedy wiem, że głusi, którzy mają ubogie słownictwo, też mnie zrozumieją.

Dzień drugi

Od rana odpowiadam na pytania. Czy można otwierać okna? Co zrobić, jak przyjdzie paczka albo list? Czy słońce

może zabić koronawirusa? A solarium? Czy picie wody z solą chroni przed wirusem? I kim jest pacjent zero? Czy to pacjent wyleczony?

Vlogi, w których tłumaczę, co mówi rząd o koronawirusie w Polsce, i które zamieszczam na Facebooku, szybko się rozchodzą. Codziennie mam średnio sto zaproszeń do grona znajomych od ludzi głuchych, których nie znam. Przyjmuję wszystkie. „*I love you tender*" – pisze głuchy mężczyzna z zagranicy. Jedna wiadomość za drugą. Blokuję go. Inny, z Polski, pyta, czy jestem głucha i czy wyjdę za niego za mąż, bo ma dom na wsi, daleko od koronawirusa.

W tle cały czas telewizor. Muszę wiedzieć, co się dzieje, żeby głusi byli na bieżąco.

Robię kolejne vlogi: jak ostrożnie robić zakupy i co jeśli ktoś pracuje w sklepie; o koniecznej kwarantannie dla tych, którzy wracają z zagranicy. Tłumaczę wystąpienia rządowe.

Po południu dzwonili dziennikarze z prośbą o komentarz, bo Polski Związek Głuchych wysłał petycję do premiera i ministra zdrowia, w której głusi domagają się dostępu do informacji. Jeśli na konferencji nie ma tłumacza, to słowa premiera nie docierają do kilkuset tysięcy ludzi w naszym kraju.

Przez ostatnie 30 lat wyjaśniałam: głusi nie potrafią czytać ze zrozumieniem. Przynajmniej większość z nich. Nie doczytają w internecie, nie zgooglują. Język polski jest dla nich trudny, obcy. Bez tłumacza nie rozumieją, co się dzieje.

To była wigilia, kilka lat temu. Tuż przed kolacją dostaję filmik, głuchy mężczyzna z naszego stowarzyszenia chce się pilnie spotkać. Dostał jakiś list z ZUS-u. Boi się, że zawieszają mu rentę. Wyjaśniam, że są trzy dni wolnego, i tak nic nie załatwi. Miga, że idzie do mnie. Musi osobiście, nie chce zrobić zdjęcia listu.

Mąż wściekły, syn wściekły, głuchy mężczyzna stoi przed domem.

Wychodzę do niego: – Dobrze, pokaż ten list. Niech zobaczę... A tam: z dniem 1 stycznia renta zostanie zdewaluowana o 78 groszy. A on: – Co za ulga. Jak ja ci dziękuję. Jaki jestem teraz szczęśliwy.

Dzień trzeci

Budzą mnie SMS-y. Dziś było ich ponad trzysta.

„Jesteś. Hallo. Ty mówił wczoraj jutro kamera".

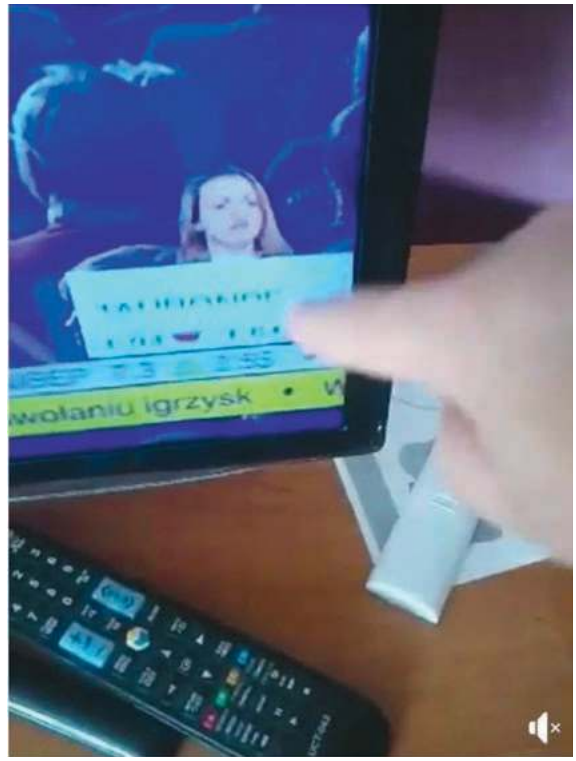

E.L. / FACEBOOK

Jest taka zabawa wśród głuchych osób w mierzenie na ekranie: nos prezentera ma sześć centymetrów, tłumacz migowy od czubka głowy do pasa – cztery i pół.

„Ja podróż granic to musi kwarantanna".

„Masz racje twój vlog jak tak zgadzam się".

„Chcę kamere".

„Czy w okresie epidemii nie warto pić kawy?".

„Witam pytam maska PP3 numer gdzie kupić".

„Można tam na tarasie siedzimy powietrze?".

„Mieszkam ze Słupska. Chcę kamere".

„Czy np. buty po podwórko czy trzeba umyć buty oraz podłogi".

„Czy przeszkodzi bo chce trochę krótki kamera?".

Głusi opanowali mesendżera. Z 80-letnią głuchą kobietą łączymy się na kamerce raz na tydzień. Wczoraj migała: jak tłumaczysz, to ja wszystko rozumiem. Co nie jest oczywiste, jeśli niektóre znaki ze Szczecina nie są jasne dla osób głuchych z Katowic, a używający polskiego języka migowego nie wiedzą, co migają ci, których uczono systemu językowo-migowego. Teraz jedno z mniejszych miast ma tłumacza, który miga średnio pięć znaków na dwieście słów. Pewnie jest po kursie, poziom podstawowy. Środowisko głuchych jest oburzone.

Najbardziej boją się głusi, którzy chodzą do pracy. Jedna osoba jest po przeszczepie płuc, inna ma zaawansowaną cukrzycę, ktoś nadciśnienie. Mój głuchy znajomy nagrał filmik, że był w przychodni, ale pani go wyrzuciła. Pilnie potrzebuje recepty. Ma głuchą żonę, głuchych rodziców i głuche dzieci – znikąd pomocy.

W końcu znalazłam dyżurującą przychodnię NFZ, gdzie można się dodzwonić. Mam już sześć osób na kwarantannie, dwie dziewczyny w ciąży i dwoje noworodków. Do tego kilkudziesięciu starszych głuchych. Kontakt z przychodnią prawie codzienny.

Przed konferencją prezydenta zdążyłam obsłużyć jeszcze cztery osoby. Najpierw pan z naszego stowarzyszenia: wynajmuje mieszkanie, nie płaci czynszu. Właściciel chce go wyrzucić. Nagrywa się na kamerce, żebym zadzwoniła do właściciela. Nie pierwszy raz: niektórzy myślą, że jak jestem słysząca, to wszystko załatwię.

Potem ktoś inny: samochód nie przeszedł przeglądu, co zrobić. Dalej: pani w ciąży z pytaniem, czy mogłabym zadzwonić do jej pracodawcy, bo się boi, że ją teraz zwolni. Na koniec: pani, która ma papugę, z pytaniem, czy ptaki też przenoszą koronawirusa.

Dzień czwarty

Temat dnia: maseczki.

Pierwszy SMS o drugiej w nocy. Głuchy mężczyzna mieszkający w Anglii: dlaczego nasz rząd mówi, że nie potrzebujemy maseczek, skoro w Chinach wszyscy noszą?

Przeniosłam sprzęt do rozmów z głuchymi do sypialni. Uchwyt do telefonu, żeby mieć wolne ręce do migania. Tablet, żeby widzieć, kto pisze, laptop, żeby cały czas śledzić, co mówią w telewizji.

Z maskami sprawa prosta: głusi widzą obraz, rzadziej dociera do nich tekst. Jeśli w telewizji są ludzie w maskach, znaczy, że maski są najważniejsze. Mobilizują się: szyją maseczki. Wiele szkół dla głuchych kształci krawcowe, jeden z tych zawodów, który nie wymaga wielu słów. ↦

Nagrywają własne vlogi: jeśli nie masz maski z filtrem, uszyj z materiału i włóż do środka chusteczkę antybakteryjną. Pytają: dlaczego nie mówiłaś wcześniej, żeby kupić maski. Bo przecież ja słyszę, wiem więcej.

O trzynastej tradycyjnie czekam na konferencję prezydenta miasta, żeby nagrać tłumaczenie dla głuchych. Siadam przed komputerem pół godziny wcześniej. O trzynastej trzydzieści dzwonię do magistratu, kiedy będzie konferencja. – Dziś nie planowaliśmy – odpowiada pani.

Po południu zadzwoniła głucha kobieta. Miga, że bardzo źle się czuje. Wróciła z Anglii. Zdążyła wejść do domu, przywitać się z rodziną, teraz dzwoni do mnie. Wyjaśniam jej, że konieczna jest kwarantanna. A do znajomego lekarza dzwonię, co robić. Potem do każdej z głuchych osób z jej rodziny na kamerce: ty też musisz zostać w domu.

Jak nie wiem, co robić, szukam informacji na stronach rządowych albo dzwonię do osoby, która jest w sztabie kryzysowym przy wojewodzie. Czasami się zastanawiam, czy jej też nie płacą za pracę jak mnie. W Polsce wciąż niektórzy uważają, że za tłumacza mają zapłacić głusi. Jeden z nich za półgodzinne tłumaczenie zażądał od mojej głuchej znajomej 200 zł.

Wieczorem ostatnia runda pytań. Poczta jest zamknięta, kiedy będzie otwarta. Autobus przestał jeździć, sprawdź, kiedy zacznie. Odwołali mi wizytę u dentysty, umów kolejną.

Na kamerkę dzwoniła też głucho-niewidoma kobieta z naszego stowarzyszenia. Do niej nie docierają teraz żadne informacje. Pytała, czy rachunki za wodę będą obniżać, skoro trzeba wszystko myć. Ma niewielką rentę. Jak większość głuchych, którzy często pracują jako sprzątający, w sklepach albo na czarno. Zarabiają mało, a teraz wcale.

Nauczyłam się komunikacji z takimi osobami, gdy kilka lat temu policja poprosiła mnie o tłumaczenie zeznań głucho-niewidomej kobiety. Zasada jest taka: używa się migowego, jeśli ta osoba go zna, ale całą opowieść tworzy się na jej ciele. Na przykład: jeśli migamy „czy ty wiesz?", to znak „wiedzieć" pokazujemy na jej czole, a nie na swoim. Tamta pani, której zeznania tłumaczyłam, straciła zupełnie wzrok po tym, jak pobił ją głuchy mąż. Oboje już nie żyją.

> Gdyby stał się cud i rząd powiedziałby: teraz będziemy tłumaczyć wszystko na migowy, **czy mielibyśmy tylu tłumaczy?**

Dzień piąty

Zaczął się nowy temat: oszustwa. SMS-y od kurierów, że paczka będzie przed blokiem. Zawiadomienia z banku o nowych kredytach. Od operatorów sieci komórkowych o darmowych pakietach. Głusi nie wiedzą, o co chodzi.

Jeśli dostają SMS, w których widzą słowa: „zadzwoń", „twoja paczka", „gratis", a reszty nie rozumieją, dzwonią do mnie. Głuchych najbardziej krzywdzą ci, którzy ich dobrze znają. Bo tylko oni wiedzą, ile głusi są w stanie zrozumieć. Z osobami z mojego stowarzyszenia mamy układ: nie podpisują niczego, dopóki ja tego nie zobaczę. Wysyłają mi zdjęcia pism, a ja na kamerze wyjaśniam, o co chodzi. Moi głusi to około 300 osób.

Miałam dylemat: czy tłumaczyć osobom głuchym, co się dzieje na świecie, choćby we Włoszech. Pytałam innych tłumaczy, wielu nie przekazuje tych informacji. A mnie się wydaje, że głusi mają prawo do pełnej wiedzy. W końcu nagrałam o tym vloga.

O trzynastej kolejna konferencja prezydenta miasta. Była mowa o testach na wirusa, więc dostałam kilkadziesiąt wiadomości z pytaniem, gdzie można taki test zrobić.

Późnym popołudniem dzwoni pani ze szpitala z pytaniem o migających psychologów. – W Polsce jest może kilku – odpowiedziałam. Była zdziwiona, jak ja kiedyś. Próbowałam się dodzwonić do tych, których znam. Odebrała jedna osoba: nie czuje się na siłach, bo już nie pamięta dobrze migowego.

Pojawiła się informacja o tłumaczu migowym z NFZ, z którym można porozmawiać na czacie. Doskwiera mi samotność na pokładzie, pomyślałam: zadzwonię. Spytam, jak sytuacja u niego. Okazało się, że działa w dni robocze, od ósmej do szesnastej.

Dzień szósty

Co to znaczy, że zamykają granice? Będzie jak za komuny? – zaczęli pisać w nocy głusi. Najwięcej wątpliwości miała głucha kobieta z podwójnym, polsko-niemieckim obywatelstwem, która jest teraz w Polsce, ale musi wrócić do końca marca do Niemiec, bo tam ma umówione wizyty u lekarza. Czy ma załatwiać wizę? Ile kosztuje taka wiza? Czy wychodzimy z Unii? Czy zadzwonię w jej imieniu do ambasady?

Zajmowałyśmy się tym cały dzień. Bo czy ja mogę przyjmować czyjeś dane? A nawet jeśli uda mi się załatwić cokolwiek przez telefon, to jak ona z miasta w północnej Polsce ma się teraz dostać do ambasady niemieckiej? I skąd weźmie tłumacza języka migowego, żeby tam cokolwiek załatwić?

Dzień siódmy

Dziś było najwięcej pracy. Od rana 30 rozmów na kamerkach. Główny temat: leki. Ludzie głusi zaczęli odstawiać leki, które biorą na serce albo na cukrzycę. Bo gdzieś w telewizji zobaczyli, że lepiej podczas wirusa leków nie przyjmować. Chodziło o informację, że niektóre leki przeciwzapalne (zawierające ibuprofen) mogą wpływać na przebieg infekcji wywołanej koronawirusem.

Od razu zrobiłam vloga: ci, którzy chorują przewlekle i biorą leki od dawna, nie mogą ich odstawiać. Zadzwoniłam do szpitala: jeśli trafi do was głucha osoba, weźcie mnie jako tłumacza. Odkąd zobaczyłam w szpitalu głuchą osobę ze związanymi rękami, bo miganie zostało pomylone z agresją, staram się ich nie opuszczać. Może dlatego, że mam ponad 40 lat, ale od trzydziestu kilku jestem mentalnie głucha.

Gdyby stał się cud i rząd powiedział: teraz będziemy tłumaczyć wszystko na migowy, czy mielibyśmy tylu tłumaczy?

©℗ ANNA GOC

RDC POLSKIE RADIO **ŁUKASZ LAMŻA** będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 1 kwietnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

ANNA

Dziewit-Meller:
La vita è bella

Na znalezionych w telefonie zdjęciach z Bergamo sprzed dwóch lat głównie jem. Ten marcowy weekend 2018 r. spędziliśmy chodząc po mieście szlakiem restauracji.

Wysyłałam stamtąd rodzicom zdjęcia wystaw sklepowych, na których leżały stosy najpiękniejszych panini świata, nawet u mnie – wieloletniej wegetarianki – uruchamiających wydzielanie śliny. Misternie przycięte szynki parmeńskie i różowe mortadele pomiędzy serami najwspanialszych gatunków, pomidorami, zieleniną i bakłażanami podanymi na tysiąc jeden sposobów, a wszystko na grzance.

Włochy to w moim życiu kraj pełen sentymentalnych wspomnień z dalekiej przeszłości. Gdy tylko upadła komuna, pojechaliśmy z babcią i dziadkiem na pierwsze zagraniczne wakacje. To miała być niespodzianka – dziadkowie chcieli nas wziąć w nieznane, nie mówiąc nam, jaki jest cel podróży, ale wcześniej podsłuchaliśmy z bratem ich rozmowę z rodzicami. Leżeliśmy bez ruchu na schodach prowadzących na strych i wytężaliśmy słuch, by zrozumieć jak najwięcej z tego, co mówią dorośli, a oczy robiły się nam coraz bardziej okrągłe z ekscytacji. Wenecja! Dla dwójki dzieciaków z upadłego PRL brzmiało to jak wyprawa na Księżyc.

Nigdy nie zapomnę smaku lodów *frutti di bosco* na placu świętego Marka, które kupił nam wtedy dziadek. To było już po wizycie w bazylice, kręciło się nam w głowach od wrażeń i upału. Dostaliśmy po jednej skromnej gałce, a dziadkowie obeszli się smakiem, bo lody kosztowały fortunę, gdy zarabiało się w ledwo dyszącej złotówce. Możliwe, że dziś – zepsuta 30-letnim kosztowaniem *frutti* z niejednego *bosco* – nie spojrzałabym nawet na tamte desery. Ale wówczas wydawało mi się, że roztapiam się sama w sierpniowym słońcu ze szczęścia.

Do Włoch wracaliśmy potem wiele razy, już z rodzicami, którzy odkryli możliwość niedrogiego wypożyczania przyczep na kempingach pod Wenecją. Przyczepy te, znajdujące się w kompleksach pełnych basenów i innych atrakcji, dla nas – posiadaczy maleńkiej starej przyczepki Niewiadów, z którą przez lata jeździliśmy w Bieszczady – były niczym pięciogwiazdkowe hotele.

Im dalej w głąb lat 90., tym bardziej na południe się zapuszczaliśmy. Od Rimini przez Rawennę, L'Aquilę i Spoleto, po Asyż i Rzym.

W pamiętniczku, który prowadziłam przez całe dorastanie, zapisywałam wrażenia z tych wypraw, wspaniale egzaltując się kolejnymi miejscami niczym nastoletnia nieutalentowana wersja Zbigniewa Herberta. W Asyżu mama kupiła mi na straganie drewniany krzyż św. Franciszka, który nosiłam kilka lat na piersi. W dzienniczku z tego dnia zapisałam liczne, a liryczne strofy pod adresem najprzyjemniejszego z katolickich świętych. To podczas wakacji we Włoszech, leżąc na ciepłych skałach półwyspu Gargano, przeczytałam po raz pierwszy podsuniętą mi przez tatę „Wyspę dnia poprzedniego" Umberta Eco i uznałam, że chyba muszę trochę więcej czytać, co niewątpliwie wyszło mi na zdrowie.

Gdy myślę o szczęściu w skoncentrowanej postaci, o esencji tego, co przynosiło mi w życiu najwięcej dobrych emocji, włoski krajobraz – ze światłem zupełnie inaczej kładącym się na wzgórzach, z cyprysami, które nadawały widokowi z okna wymiar renesansowego obrazu, z Morzem Adriatyckim, które rano było błyszczące, a po południu lazurowe – znajduje się w centrum.

Kilka tygodni temu, gdy spokojna Europa spoglądała ze zdumieniem na zamknięte miasta w prowincji Hubei, byłam we Włoszech. Dwa dni po przyjeździe okropnie rozbolał mnie ząb. Mój dentysta nakazał mi telefonicznie wizytę u jakiegokolwiek stomatologa w pobliskim Bormio.

Starszy pan, którego gabinet znalazłam w sieci, przyjął mnie, przejętą, że pewnie czeka mnie leczenie kanałowe górnej jedynki. Zrobił zdjęcie rentgenowskie zęba, zadzwonił do mojego dentysty w Polsce, skonsultował sprawę i powiedział: „Proszę się nie martwić". Dał mi antybiotyk i nie wziął ode mnie ani euro, machając ręką i mówiąc, żebym już lepiej wracała na narty. Nie boli mnie do dziś.

Mój plan na idealną przyszłość jest więc taki, żeby za jakiś czas mieć pieniądze, by pojechać do Włoch, żeby pójść do tego starszego dentysty i zrobić porządny przegląd uzębienia, a potem zjeść panini w Bergamo. Szczerze mówiąc, może być nawet z mortadelą. ©

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 306/19 postępowanie z wniosku Beaty Bachorskiej o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy zabudowanej nieruchomości, położonej w Cielczy przy ulicy Jarocińskiej, oznaczonej geodezyjnie jako działka 371 a. m. 6 o powierzchni 0,01,00 ha, dla której nie jest prowadzona księga wieczysta.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

Przed Sądem Rejonowym w Sanoku I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 579/19, toczy się sprawa z wniosku Macieja Wanielista o stwierdzenie zasiedzenia własności działki gruntowej położonej w Pisarowcach o powierzchni 0,3676 ha, oznaczonej w ewidencji gruntów nr 575/6, dla której prowadzona jest księga wieczysta KS1S/00037459/0.

Sąd wzywa zainteresowanych, w szczególności spadkobierców Jana i Danieli Adamskich, aby w terminie 3 miesięcy zgłosili się do sprawy, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

BILDAGENTUR-ONLINE

WIARA

WIELKANOC BEZ SPOWIEDZI

Pandemia przeszkadza wielu drogim nam religijnym praktykom. Wcale jednak nie musi szkodzić naszej drodze nawrócenia.

PIOTR SIKORA

Wielki Post to czas nawrócenia. W polskiej tradycji katolickiej kulminacją tego procesu jest najczęściej przystąpienie do sakramentu pokuty i pojednania. Dlatego od dziesięcioleci ostatnie tygodnie przed Wielkanocą były w Polsce czasem, w którym katolicy tłumnie szli do spowiedzi. W wielu kościołach tworzyły się kolejki do konfesjonałów.

Pandemia COVID-19 praktycznie uniemożliwia kontynuowanie w tym roku tej praktyki w niezmienionej formie.

Doraźne rozwiązania

Episkopaty niektórych krajów już podjęły próby zaradzenia temu problemowi. Biskupi węgierscy czy włoscy np. wprowadzili możliwość udzielania przez księży tzw. absolucji generalnej – ogólnego rozgrzeszania wielu ludzi naraz.

Dokument dotyczący tej kwestii wydała też watykańska Penitencjaria Apostolska – *explicite* potwierdzając, że obecna pandemia, przynajmniej w niektórych miejscach świata, spełnia warunki przewidzianych przez prawo kanoniczne okoliczności, które uprawniają biskupów do takiej właśnie decyzji.

Polscy biskupi z rezerwą podchodzą do podobnych rozwiązań. Komunikat Prezydium Konferencji Episkopatu Polski z 21 marca zawiera ostrzeżenie, że „nie wolno w sposób nieuprawniony korzystać z rozgrzeszenia ogólnego". Rezerwę tę można zrozumieć – i to na kilku płaszczyznach. Rozgrzeszenie ogólne wymaga zgromadzenia się w jednym miejscu wielu wiernych – co obecnie jest niemożliwe. Ważniejsze jednak, że nie odnosi się ono wprost do duchowej potrzeby osobistego wyznania win i otrzymania znaku pojednania z Bogiem.

Polscy duszpasterze próbują zatem zorganizować możliwość indywidualnej spowiedzi w warunkach epidemii: zabezpieczać i dezynfekować konfesjonały, przenosić spowiedź do specjalnie przygotowanych pomieszczeń. Wysiłki godne podziwu – ale przynoszące skutek tylko przy niewielkiej liczbie penitentów. Trzeba się raczej pogodzić z faktem, że powszechna spowiedź wielkopostna nie będzie w tym roku możliwa.

Ogólne rozwiązania powinny więc zostać uzupełnione przez wskazówki, jak w dzisiejszej sytuacji może wyglądać osobisty proces wielkopostnego nawrócenia – jeśli nie obejmie indywidualnej spowiedzi. Wskazówki można znaleźć w Katechizmie Kościoła Katolickiego oraz w Kodeksie Prawa Kanonicznego.

Żal i miłosierdzie

Zarówno wytyczne polskich biskupów, jak i porady wielu duszpasterzy przypominają o wyraźnie zaznaczonej w Katechizmie możliwości uzyskania odpuszczenia grzechów ciężkich w sytuacji niemożności przystąpienia do sakramentu pojednania. W takich okolicznościach wystarczy, po rachunku sumienia, wzbudzić żal doskonały za grzechy i postanowienie sakramentalnego ich wyznania przy najbliższej sposobności.

Tu jednak może pojawić się w człowieku pytanie, czy żałuje w sposób doskonały. Zgodnie z Katechizmem żal doskonały „wypływa z miłości do Boga miłowanego nade wszystko" (KKK 1452). Drugi rodzaj żalu występuje wówczas, gdy żałujemy „z rozważania brzydoty grzechu lub lęku przed wiecznym potępieniem i innymi karami, które grożą grzesznikowi" (KKK 1453).

Co jednak, gdy trudno nam rozstrzygnąć, na ile doskonały jest nasz żal za grzechy? Po pierwsze, warto pamiętać, że – jak napisał papież Franciszek w bulli ogłaszającej Rok Miłosierdzia – „Miłosierdzie to najwyższy i ostateczny akt, w którym Bóg wychodzi nam na spotkanie" („Misericordiae vultus"). Możemy więc z ufnością modlić się tak, jak ostatnio uczył papież: „Czyń to, co mówi Katechizm. Jeśli nie znajdziesz kapłana, który mógłby Cię wyspowiadać, porozmawiaj z Bogiem, który jest Twoim Ojcem i powiedz Mu: »Panie, zrobiłem to, i jeszcze tamto... Przebacz mi« i poproś Go z całego serca o przebaczenie poprzez akt ↦

Portal klasztoru Cocos w pobliżu Tulczy, Dobrudża, Rumunia

↦ żalu i przyrzeknij Mu: »Potem się wyspowiadam, ale teraz mi przebacz«. I od razu wrócisz do łaski Bożej".

Po drugie, warto rozważyć, kiedy sakramentalna spowiedź jest w procesie osobistego nawrócenia naprawdę konieczna. Spory wpływ na powszechność praktyki przystępowania do spowiedzi przed Wielkanocą ma bowiem sformułowanie przykazań kościelnych przyjętych w 2001 r. przez Konferencję Episkopatu Polski. Drugie z nich brzmi: „Przynajmniej raz w roku przystąpić do sakramentu pokuty". Polscy biskupi powołują się tu jednak na ogólne prawo Kościoła. Istotne jest wzięcie pod uwagę, co o konieczności korzystania z tego sakramentu mówi Kodeks Prawa Kanonicznego.

Tu najważniejsze jest sformułowanie Kanonu 989: „Każdy wierny, po osiągnięciu wieku rozeznania, obowiązany jest przynajmniej raz w roku wyznać wiernie wszystkie swoje grzechy ciężkie". Kanon ten jest bardziej precyzyjny i bardziej zgodny z katolicką teologią sakramentu pojednania niż polskie brzmienie przykazań kościelnych. Prawo kanoniczne wskazuje bowiem wyraźnie, że konieczność dorocznej sakramentalnej spowiedzi ogranicza się do tych, którzy popełnili grzech ciężki.

Zgodnie z całą tradycją Kościoła nikt nie ma obowiązku spowiadania się z grzechów lekkich. Ci, którzy nie popełnili grzechu ciężkiego, nie muszą iść do spowiedzi – a w obecnej sytuacji nawet lepiej będzie, jeśli zostaną w domu. Może to ułatwić przystąpienie do sakramentu pojednania tym, którzy tego rzeczywiście potrzebują.

Ważenie grzechów

Powstaje oczywiście pytanie o rozeznanie ciężaru naszych grzechów. Zobaczmy, co na ten temat mówi Katechizm.

Czym w swej istocie jest grzech jako taki? W Katechizmie możemy o tym przeczytać w kilku miejscach: „Grzech jest przede wszystkim obrazą Boga, zerwaniem jedności z Nim. Narusza on równocześnie komunię z Kościołem" (KKK 1440). „Grzech jest wykroczeniem przeciw rozumowi, prawdzie, prawemu sumieniu; jest brakiem prawdziwej miłości względem Boga i bliźniego z powodu niewłaściwego przywiązania do pewnych dóbr. Rani on naturę człowieka i godzi w ludzką solidarność. Grzech jest obrazą Boga: »Tylko przeciw Tobie zgrzeszyłem i uczyniłem, co złe jest przed Tobą« (Ps 51, 6). Grzech przeciwstawia się miłości Boga do nas i odwraca od Niego nasze serca" (KKK 1849-1850).

Nie ma obowiązku spowiadania się z grzechów lekkich.

Ci zatem, którzy nie popełnili grzechu ciężkiego, nie muszą iść do spowiedzi – a w obecnej sytuacji nawet lepiej, jeśli zostaną w domu.

Katechizm ujmuje więc grzech nie tyle w kategoriach prawnych (przekroczenie nakazów i zakazów), ile w perspektywie relacyjnej – zerwania jedności z Bogiem i ludźmi, tego, co przeciwne miłości. Właśnie w tym kontekście ujmowane jest rozróżnienie grzechów lekkich i ciężkich (nazywanych też śmiertelnymi): „Grzech śmiertelny niszczy miłość w sercu człowieka wskutek poważnego wykroczenia przeciw prawu Bożemu; podsuwając człowiekowi dobra niższe, odwraca go od Boga, który jest jego celem ostatecznym i szczęściem. Grzech powszedni pozwala trwać miłości, chociaż ją obraża i rani" (KKK 1855).

Ponieważ miłość wyraża się w konkretnych czynach i konkretne czyny mogą ją także zniszczyć, Katechizm łączy perspektywę relacyjną z nauką o Bożym prawie. To ostatnie nie jest bowiem systemem arbitralnych przepisów, lecz zbiorem konkretnych wskazówek, uwzględniających naturę osoby i międzyosobowych więzi i w tym kontekście pokazujących, jakiego typu czyny sprzyjają miłości, a jakie ją osłabiają i niszczą.

W osobistym rozeznaniu, czy popełniony przez nas grzech jest śmiertelny czy lekki, trzeba przede wszystkim wziąć pod uwagę, czy dany czyn całkowicie zniszczył naszą relację miłości do Boga i/lub jakiegoś człowieka czy też ją zranił. Tylko w pierwszym przypadku czyn taki był – zgodnie z nauką Katechizmu – grzechem ciężkim.

W rachunku sumienia konieczne jest także uwzględnienie jeszcze innego zapisanego w Katechizmie kryterium ciężkiego charakteru grzechu: „Aby grzech był śmiertelny, są konieczne jednocześnie trzy warunki: »Grzechem śmiertelnym jest ten, który dotyczy materii poważnej i który nadto został popełniony z pełną świadomością i całkowitą zgodą«" (KKK 1857).

Powyższe ujęcie bezpośrednio łączy się z pytaniem o miłość. Miłość bowiem może zostać zniszczona tylko w tym przypadku, gdy „materia" czynu jest poważna – tj. gdy dotyczy czegoś, co dla relacji miłości jest bardzo istotne. Co więcej, miłości nie można zniszczyć przypadkiem. Konieczna jest pełna świadomość tego, że postępując w dany sposób sprzeciwiamy się miłości do Boga i jakiegoś człowieka. Konieczna jest tu także całkowita wolność – wszelkie jej ograniczenia, jak strach czy inne silne emocjonalne wzburzenie, wywołane przez czynniki zewnętrzne i determinujące naszą decyzję, sprawiają, że to, co czynimy – nawet złe – nie jest grzechem śmiertelnym, nie niszczy ostatecznie miłości, „choć ją obraża i rani".

Połączenie miłości do Boga i ludzi jest w perspektywie ewangelicznej oczywiste: „Kto nie kocha brata swego, którego widzi, nie może kochać Boga, którego nie widzi" (1 J 4, 20), a także: „Jeżeli kochamy się wzajemnie, Bóg trwa w nas i miłość ku Niemu jest w nas doskonała" (1 J 4, 12). Dlatego uzasadnione jest zilustrowanie kwestii rozróżnienia grzechu lekkiego i ciężkiego przykładem miłości małżeńskiej.

Grzech ciężki to czyn taki, jak te, które całkowicie niszczą miłość w małżeństwie, doprowadzają do jego rozpadu. Grzechem ciężkim byłaby więc np. zdrada – ale całkowicie wolna i świadoma tego, że zniszczy małżeństwo. Wszystkie inne czyny, które osłabiają małżeńską więź – np. nieuważność na potrzeby męża lub żony, niedostateczne zaangażowanie w prace domowe i wychowanie dzieci, większe lub mniejsze złośliwości, wyładowywanie na współmałżonku negatywnych emocji – są czymś złym i wymagającym naprawy, ale nie są grzechem śmiertelnym.

Konieczność nawrócenia

Próbując odnaleźć się w obecnej sytuacji także w aspekcie duchowo-religijnego

procesu wielkopostnego nawrócenia, warto wziąć pod uwagę naukę i prawo Kościoła odnośnie do spowiedzi i grzechu ciężkiego. Powyżej zarysowane nauczanie Kościoła wskazuje, że nie tak łatwo popełnić grzech ciężki, który wymaga koniecznie spowiedzi.

To, że grzech ciężki jest sprawą bardzo poważną i zdarza się – śmiem przypuszczać – niezbyt często, nie znaczy, że proces nawrócenia nie jest nam wszystkim potrzebny. Grzechy lekkie bowiem – to też nauka Katechizmu, sformułowana na podstawie wielowiekowego doświadczenia wspólnoty Kościoła – nie powinny być lekceważone. Osłabiają one miłość, zatruwają nas, przeradzają się w trwałe wady i mogą prowadzić do ciężkich przewinień.

Dlatego właśnie Wielki Post jako czas szczególnie poświęcony procesowi nawrócenia i pokuty jest potrzebny – niezależnie od obecnego kryzysu. Zastanawiając się, jak go przeżyć, warto wziąć pod uwagę bogate nauczanie Katechizmu na ten temat.

Podstawa to uznanie, że kluczowym aspektem nie są praktyki pobożne, lecz przemiana serca: „Podobnie jak u Proroków, wezwanie Jezusa do nawrócenia i pokuty nie ma na celu najpierw czynów zewnętrznych, »wora pokutnego i popiołu«, postów i umartwień, lecz nawrócenie serca, pokutę wewnętrzną. Bez niej czyny pokutne pozostają bezowocne i kłamliwe. Przeciwnie, nawrócenie wewnętrzne skłania do uzewnętrznienia tej postawy przez znaki widzialne, gesty i czyny pokutne" (KKK 1430).

Człowiek jest bytem cielesnym. Przemiana serca musi wyrazić się w konkrecie życia – Katechizm o tym nie zapomina. Ale wskazuje jednocześnie, że „wewnętrzna pokuta chrześcijanina może wyrażać się w bardzo zróżnicowanych formach", ponieważ w tradycji chrześcijańskiej „obok radykalnego oczyszczenia, jakiego dokonuje chrzest lub męczeństwo, wymienia się jako środek otrzymania przebaczenia grzechów: wysiłki podejmowane w celu pojednania się z bliźnim, łzy pokuty, troskę o zbawienie bliźniego, wstawiennictwo świętych i praktykowanie miłości, która »zakrywa wiele grzechów« (1 P 4, 8)" (KKK 1434).

W konsekwencji „nawrócenie dokonuje się w życiu codziennym przez czyny pojednania, troskę o ubogich, praktykowanie i obronę sprawiedliwości i prawa, wyznanie win braciom, upomnienie braterskie, rewizję życia, rachunek sumienia, kierownictwo duchowe, przyjmowanie cierpień, znoszenie prześladowania dla sprawiedliwości. Najpewniejszą drogą pokuty jest wzięcie każdego dnia swojego krzyża i pójście za Jezusem" (KKK 1435).

Dzisiaj wielkopostną drogą nawrócenia będzie z jednej strony akceptacja tego, co niezależne od nas, a z drugiej – dostosowanie swojego sposobu życia do wymogów walki z epidemią.

Wyobraźnia dzisiaj

Wiele z wymienionych w Katechizmie form nawrócenia odpowiada naszej obecnej sytuacji. Po pierwsze, drogą pokuty jest „przyjęcie swojego krzyża". Dzisiaj w przypadku większości z nas osobisty krzyż będzie, albo już jest, jakoś powiązany z pandemią. A więc pierwszą wielkopostną drogą nawrócenia jest odpowiednie przyjęcie konieczności obostrzeń – z jednej strony akceptacja na głębokim egzystencjalnym poziomie tego, co nieuchronne i niezależne od nas, a z drugiej – zmiana naszego sposobu życia tak, by uczestniczyć, na ile się da, w walce z epidemią i w łagodzeniu jej skutków dla otaczających nas bliźnich (co przecież wchodzi w zakres troski o ubogich). Elementem „przyjęcia krzyża" może być w sytuacji epidemiologicznego zagrożenia rezygnacja z sakramentalnej spowiedzi, jeśli jest ona w naszym przypadku niekonieczna – choć możemy być bardzo przywiązani do tej pobożnej praktyki.

Innym niezwykle ważnym elementem drogi nawrócenia mogą być „czyny pojednania". W sytuacji kwarantanny więcej czasu spędzamy ze swoimi bliskimi. Z jednej strony stwarza to okazję do odbudowania więzi z tymi, od których oddaliliśmy się na skutek dotychczasowego zabiegania. Z drugiej – łatwiej wtedy o konflikty, zwłaszcza w kontekście stresu związanego z kłopotami z pracą czy lękiem o zdrowie. Praca nad pojednaniem staje się więc tym potrzebniejsza.

W tej pracy ważne jest odzyskanie umiejętności rozmowy na poważne i trudne tematy. Rozmowy także o tym, co w naszym zachowaniu i postawie niszczy nasze relacje. Tu właśnie pojawia się kolejny element drogi pokuty wymieniony w Katechizmie: wyznanie win braciom. Jeśli dla kogoś nie jest konieczna sakramentalna spowiedź, a dostrzega w sobie potrzebę wyznania przed drugim człowiekiem tego, co rozpoznał w swoim życiu jako elementy jego ciemnej strony – to może spróbować porozmawiać o tym z kimś bliskim, być może z kimś, kogo te negatywne czyny wprost dotykają – i poprosić o wybaczenie.

Rozmowa o tym, co w naszym życiu trudne i złe, wyznanie win, wypowiedzenie tego, co w nas się kotłuje, jest niezwykle ważnym elementem duchowego rozwoju, który najczęściej dokonuje się podczas indywidualnej spowiedzi. Jednak warto tutaj rozróżnić to, co należy do istoty sakramentu – wyznanie grzechów ciężkich – od całej reszty, która może nastąpić także w niesakramentalnej rozmowie.

Tradycja Kościoła zna wiele form takich rozmów, nazywanych kierownictwem lub towarzyszeniem duchowym. Rozmówcą wcale nie musi być ksiądz, a ponadto nie ma w tym przypadku żadnych teologicznych ograniczeń co do tego, jak bardzo bezpośredni musi być kontakt między rozmówcami. W przeszłości wiele takich „rozmów" prowadzono latami za pośrednictwem listów. Nic nie stoi na przeszkodzie, by dzisiaj wykorzystywać do tego celu nowoczesne środki – telefon czy komunikatory internetowe.

To tylko przykłady rozmaitych form osobistego nawrócenia. Każdy jest wezwany do ćwiczenia „wyobraźni miłosierdzia" – odnajdywania form najodpowiedniejszych do jego okoliczności życiowych. Z wielkanocną spowiedzią jest podobnie jak z Eucharystią. Pandemia koronawirusa pozbawia większość z nas możliwości korzystania z tych sakramentów. W niczym to jednak nie przeszkadza Bogu przychodzić do nas.

©℗ PIOTR SIKORA

Piękne życie

ARTUR SPORNIAK

Józefa Hennelowa – jak nikt z żyjących związana z historią „Tygodnika Powszechnego" – kończy 95 lat.

To zadanie niezwykle trudne: w paru akapitach choćby po części oddać sprawiedliwość komuś mającemu tak wielki wpływ na tak wielu czytelników przez kilka epok istnienia „Tygodnika". Komuś przez tyle lat tak mocno związanemu z naszym pismem.

Tak się zresztą złożyło, że jubileusze „Tygodnika" niemal zbiegają się z urodzinami Józefy Hennelowej. Niespełna kilka dni po tym, jak w Krakowie w marcu 1945 r. ukazał się pierwszy numeru „Katolickiego pisma społeczno-kulturalnego", jego przyszła redaktorka obchodziła swoje dwudzieste urodziny – jeszcze w rodzinnym Wilnie. Niedługo później, w lecie 1946 r. musiała wraz z ojcem (matka zmarła, gdy miała dwa lata) opuścić ukochane miasto. Przyjechali do Krakowa, gdzie mieszkał już Stanisław Stomma, nauczyciel Józefy Golmontówny (to jej nazwisko panieńskie) na wojennych tajnych kompletach. Dwa lata później studentka krakowskiej polonistyki pojawiła się na Wiślnej 12. Najpierw jako sekretarka i korektorka, szybko też jako autorka tekstów i redaktorka. Do roku 2007 – jako zastępczyni redaktora naczelnego.

Tacy mądrzy

„Oni wszyscy są jak półbogowie, tacy mądrzy, tacy utalentowani, i tacy prawdziwi przy tym. Rychło odkrywam, że to przyjaciele" – wspomina swoje początkowe onieśmielenie w „Niezupełnie poważnym wspomnieniu o »Tygodniku«", zamieszczonym w poświęconej Krzysztofowi Kozłowskiemu książce „Obywatel KK". Publikuje recenzje książkowe i teatralne, w przyszłości także sprawozdania z krakowskich festiwali filmów krótkometrażowych, przede wszystkim jednak stanie się specjalistką od spraw ludzkich. Angażuje się w redakcyjne ankiety na ważne życiowe tematy – wychowania, rodziny, zmagania się ze starością, istoty wiary; z ankiet powstaną książki „Nas dwoje" (1965), „Kim dla mnie jest Jezus Chrystus?" (1975), „...i dzień się już nachylił" (1980), „Powołanie i przygoda. Rodzice i wychowawcy o sobie" (1983). Od 1970 r. jest stałą felietonistką „Tygodnika", a w 1981 r. także „Tygodnika »Solidarność«". Powstają cykle „Rubryka rodzinna", „Na co dzień i od święta", „Widziane z domu", „Z domu i nie tylko", „Votum separatum", „Na marginesie" i „Listy do redakcji". Po roku 2000 wydaje tomy publicystyki: „Niedowiarstwo moje" (2002), „Otwarty, bo powszechny. O Kościele, który może boleć" (2012), ukazuje się też wywiad rzeka Romana Graczyka „Bo jestem z Wilna" (2001).

Gdy w 2012 r. żegna się z redakcją, propozycję pisania komentarzy do aktualnych wydarzeń składają jej Kluby „Tygodnika Powszechnego". Internetową rubrykę „Tu i teraz" prowadzi do dziś, podobnie jak cykl miniatur w miesięczniku „Znak" zatytułowany „Coraz bliżej albo coraz mniej".

O kształt Polski

W okresie transformacji ustrojowej Józefa Hennelowa angażuje się politycznie; krok ten dla całego środowiska – „Tygodnika Powszechnego", „Znaku", „Więzi" i Klubów Inteligencji Katolickiej – był wtedy oczywisty. Zostaje posłanką Sejmu kontraktowego z listy Solidarności, potem I kadencji Sejmu RP. Po latach powie, że nigdy tego nie żałowała, chodziło przecież o kształtowanie Polski po raz pierwszy w demokratycznych warunkach. Ci, którzy w „Tygodniku" na początku lat 90. pracowali, pamiętają ludzi szukających na Wiślnej 12 u posłanki Hennelowej pomocy. Kiedyś, gdy przyszła młoda dziewczyna w bardzo trudnej sytuacji, pani Józefa pojechała do jej proboszcza, by się dowiedzieć, czy w ogóle o tym wie i czy nie mógłby pomóc.

Trudno przecenić jej wkład w to, że w ogóle doszło wówczas do kompromisu podczas prac nad ustawą antyaborcyjną. Razem z Andrzejem Wielowieyskim z warszawskiego KIK-u walczyła z pomysłem penalizacji kobiet, a podczas burzliwych sejmowych debat była bezpardonowo atakowana przez środowiska *pro-life*. Później w Kościele (jej Kościele!) spotykały ją sytuacje niezwykle przykre; w połowie lat 90. nie wpuszczono jej nawet na Jasną Górę podczas zjazdu KIK-ów (niemal w tym samym czasie strażnicy Jasnogórskiego Obrazu z honorami przyjmowali postkomunistycznego premiera Józefa Oleksego).

Z okazji jubileuszu Józefy Hennelowej Znak opublikował drugie, poszerzone

Droga Pani Józefo!

W tym pięknym, szczególnym dniu pragniemy Pani
życzyć nieustannej Bożej opieki, wielu sił, pozytywnych zaskoczeń
i impulsów do choćby drobnych codziennych radości.
Za niezwykłą wrażliwość, odwagę, mądrość i za to, że jest Pani z nami
– słowem i duchem, prosimy przyjąć z serc płynącą wdzięczność.

Pamiętający, również w modlitwie,
Klubowiczki i Klubowicze „Tygodnika Powszechnego"
z kraju i ze świata

GRAŻYNA MAKARA

Józefa Hennelowa w swoim mieszkaniu, Kraków, 7 kwietnia 2010 r.

o najnowsze teksty wydanie jej książki „Niedowiarstwo moje". Znaleźć tam można m.in. napisany w 1997 r. „List do uczestnika »duchowej adopcji dziecka poczętego«" – to chyba najwnikliwsza analiza bardzo propagowanej w Kościele akcji modlitewnej, dobrze pokazująca wrażliwość autorki.

Dlatego kilka cytatów:

„Zapytam najpierw: dlaczego tę swoją modlitwę nazywasz adopcją? Przecież adopcja nie może mieć terminu, być »na jakiś czas«. (...) Chcę cię po prostu poprosić, żebyś w ciągu dziewięciu miesięcy tej twojej akcji nie »adoptował« żadnego poczętego dziecka, tylko żebyś prosił Boga, najgoręcej, najwierniej, najusilniej – za jego matką. Bo jeszcze w tym czasie dziecko należy tylko do niej. (...) chciałabym, abyś ani przez moment nie poczuł się lepszy od tej matki, o której myślisz: »ona chce je zabić«. To za łatwe myślenie. Proszę, nie uwierz, że ponieważ »opowiedziałeś się za życiem«, możesz już sięgnąć po cudze dziecko, i to jeszcze przeciw matce. (...) Może więc nie bądź tak dumny i tak spokojny. Modląc się, rozglądaj się naokoło, czy już nie trzeba zapobiegać czyjejś bezradności i rozpaczy".

Najtrudniejszy egzamin

Gdyby zapytać ludzi, którzy długo znają Józefę Hennelową, jaka jest główna cecha jej pisarstwa, odpowiedzą – wrażliwość na konkretnego człowieka i jego biedę. Dodać można: ciekawość ludzi i świata (zaskoczył mnie niedawny jej telefon – pani Józefa dopytywała o niemiecką drogę synodalną). Także skromność. Najbardziej jednak podziwiam jej heroizm w zmaganiu z kondycją, jaką funduje człowiekowi starość. Pani Józefa traci wzrok, opuszczają ją siły. Należy jednak do pokolenia, które nie ma w zwyczaju użalać się nad sobą. Nie ma też dla siebie żadnego pobłażania. Dlatego jej teksty o starości są tak przejmujące.

W odpowiedzi na ankietę „Czym jest dla mnie życie duchowe" pisze: „Nikt mnie o tym nigdy nie uprzedził. Czas schyłku, »nachylania się dnia« wcale nie zawsze jest czasem bilansu. Bywa czasem nowej niepewności. Dlaczego tak zmienia się nam charakter? Dlaczego przestajemy lubić ludzi, których lubiliśmy, dlaczego tracimy optymizm, dlaczego przypominają się nam z nową siłą dawne urazy, a dzisiejsze okazują się próbą przerastającą nasze możliwości? Dlaczego nie umiemy znieść ani innych, ani siebie samych? Dlaczego musimy bać się, że stanie się z nami coś, co sprawi, że na pozór będziemy innymi – i zawsze gorszymi – ludźmi?". I sama sobie odpowiada: „I nie ma na to żadnej rady, poza tą jedną: przyjąć fakt, ale prosić Boga, żebyśmy mogli nie robić z tego problemu".

W grudniu na stronie Klubów „Tygodnika" napisała w minifelietonie: „Niezależnie od sytuacji zawsze jest za co dziękować".

Pani Józefo, gdy onieśmielony patrzę na Pani życie, nie mam wątpliwości, że my na pewno mamy za co dziękować. Niech długo wystarcza sił! ©℗

MATT ROURKE / AP / EAST NEWS

Kobiety, które jako dzieci zostały wykorzystane seksualnie przez księży, podczas konferencji prasowej prokuratora generalnego Pensylwanii Josha Shapiro. Prokuratura ujawniła ponad tysiąc przypadków nadużyć seksualnych duchownych wobec dzieci, Harrisburg, sierpień 2018 r.

Bankructwo na papierze

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (USA)

Półtora roku po opublikowaniu raportu pensylwańskiego diecezja Harrisburg ogłosiła bankructwo. Nie pierwszy raz Kościół katolicki w USA broni się w ten sposób przed falą pozwów ze strony ofiar pedofilii.

To była nietypowa zapowiedź Wielkiego Postu. Na tydzień przed Środą Popielcową biskup diecezji Harrisburg Ronald W. Gainer zwołał konferencję prasową. Zebranym na sali dziennikarzom oświadczył, że po „modlitwie, wnikliwej analizie i długich dyskusjach z prawnikami i księgowymi" uznał, iż diecezja zmuszona jest do złożenia wniosku o ogłoszenie upadłości. Odkąd Kościołem katolickim w Pensylwanii wstrząsnął raport na temat nadużyć seksualnych, diecezja Harrisburg wypłaciła ponad stu ofiarom 12,7 mln dolarów zadośćuczynienia. To dopiero początek, bo – jak twierdzą władze diecezji – w kolejce po odszkodowanie czeka jeszcze dwieście ofiar.

Jak tłumaczył na konferencji prasowej bp Gainer, w obliczu „trudnej rzeczywistości" złożenie wniosku o upadłość to szansa nie tylko na utrzymanie stabilności finansowej, ale także na uniknięcie „powolnej i nieprzewidywalnej" spirali procesów sądowych, które „odroczą moment zadośćuczynienia dla ofiar i narażą je na dodatkowy ból i cierpienie". Biskup zapewnił też, że procedura upadłościowa nie wpłynie na bieżące działania należących do diecezji 89 parafii i 40 szkół.

Parasol ochronny

Zwierzchnik diecezji Harrisburg miał rację, bo zaledwie 48 godzin po zwołaniu konferencji prasowej sąd federalny orzekł, że diecezja będzie mogła dalej opłacać swoich 195 pracowników. To decyzja, której można było się spodziewać, bo władze diecezji ogłosiły bankructwo w ramach tzw. 11 rozdziału kodeksu upadłościowego. Procedura wymaga reorganizacji bankrutującego podmiotu, ale jednocześnie umożliwia dłużnikowi kontynuowanie działań. Diecezja może też zachować część lub większość swojego majątku. Jak wynika z danych BishopAccountability.org, do tej pory bankructwo ogłosiło w ten sposób 21 diecezji katolickich i trzy zgromadzenia zakonne w USA.

Pierwsza takie rozwiązanie wybrała w 2004 r. diecezja Portland w stanie Oregon, wobec której złożono około 170 pozwów w sprawach o molestowanie seksualne. Już w ciągu następnych kilku miesięcy w ślad za nią poszły także diecezja

Tucson w Arizonie i diecezja Spokane w stanie Waszyngton.

O to, dlaczego Kościół katolicki w USA tak chętnie sięga po procedurę upadłościową, pytam Marie Reilly, profesor prawa z Uniwersytetu Stanowego w Pensylwanii.

– Ogłoszenie bankructwa to w praktyce „ekonomiczny" sposób na wypłatę odszkodowań ofiarom nadużyć seksualnych – tłumaczy prof. Reilly. – Zamiast sądzić się z każdym z osobna i opłacać wysokie koszty procesowe, diecezja trafia pod „ochronny parasol". Wraz ze złożeniem wniosku o ogłoszenie upadłości wszystkie sprawy toczące się przeciwko diecezji są zawieszane i trafiają pod jurysdykcję sądu upadłościowego. To, jakiej wysokości odszkodowanie otrzymają ofiary, zależy od żmudnego procesu negocjacji między reprezentantami diecezji, firmami ubezpieczeniowymi i wierzycielami.

Prof. Reilly dodaje, że procedura w praktyce nie wpływa na bieżące funkcjonowanie parafii lub katolickich szkół.

– Nigdy nie zdarzyło się, by w ramach procedury upadłościowej diecezja musiała np. zamknąć jeden ze swoich kościołów. Znacznie częstszym scenariuszem jest sprzedaż ziemi, która nie jest potrzebna do bieżącego funkcjonowania diecezji – dodaje prof. Reilly. Tłumaczy też, że dużą część środków do spłaty długów zapewniają firmy ubezpieczeniowe. W Stanach to powszechne, że diecezje posiadają polisę na wypadek roszczeń ze strony ofiar księży pedofilów.

Zdaniem prof. Reilly, katoliczki należącej do innej pensylwańskiej diecezji Altoona-Johnstown, biskup diecezji Harrisburg podjął słuszną decyzję o ogłoszeniu bankructwa.

– To w obecnej sytuacji najlepsze rozwiązanie, dzięki któremu diecezja będzie mogła skupić się na dalszej służbie parafianom – uważa prof. Reilly.

Walka o majątek

Innego zdania jest Marci Hamilton, szefowa pensylwańskiej organizacji Child USA, która zajmuje się tematem przestępstw seksualnych wobec dzieci. Jak twierdzi Hamilton, ogłaszając bankructwo diecezja Harrisburg próbuje uniknąć wyjawienia kolejnych niewygodnych faktów na temat nadużyć księży pedofilów.

– W sądzie upadłościowym ofiary rzadko mają możliwość wnioskowania o dostęp do dokumentów kościelnych, które rzuciłyby nowe światło na przypadki nadużyć i ich tuszowanie przez zwierzchników – tłumaczy Hamilton. – Głównym celem postępowania jest ocena wartości majątku diecezji, branego pod uwagę przy negocjacji i wypłacie odszkodowań dla ofiar. Zamiast prania brudów podczas kilkuset rozpraw w sądzie, diecezja zapewnia sobie cichą masową ugodę – twierdzi.

Jak uważa Marci Hamilton, procedura uderza też ekonomicznie w ofiary, które prawdopodobnie dostaną niższe odszkodowanie niż w przypadku, gdyby ich sprawa rozpatrywana była indywidualnie w oddzielnym postępowaniu. Dlaczego tak się dzieje? Hamilton tłumaczy, że diecezje dążą do tego, by w procedurze upadłościowej ograniczyć do minimum część majątku przeznaczanego na wypłatę odszkodowań.

Szefowa organizacji Child USA podaje przykład archidiecezji Milwaukee, która ogłosiła upadłość w 2011 r. W trakcie postępowania władze diecezji starały się ochronić fundusze w wysokości 57 mln dolarów. Trzy lata przed ogłoszeniem bankructwa pieniądze zostały przelane na konto nowo utworzonego funduszu na utrzymanie cmentarzy. Po długiej batalii federalny sąd apelacyjny uznał, że środki powinny być wykorzystane do wypłaty odszkodowań.

W amerykańskich mediach głośno było też o archidiecezji Santa Fe w stanie Nowy Meksyk. Jej władze rozpoczęły „reorganizację" na kilka lat przed złożeniem wniosku o ogłoszenie upadłości. Jak podaje serwis Bloomberg Businessweek, władze archidiecezji stworzyły firmę Archdiocese of Santa Fe Real Estate Corp., na którą przeniosły prawo własności do 120 nieruchomości, w tym m.in. kościołów i cmentarzy. W ten sposób udało się „uszczuplić" diecezjalny majątek o 34 mln dolarów. O tym, czy te działania były zgodne z prawem, zdecyduje teraz sąd upadłościowy.

Jak wynika z analizy dokumentów sądowych przez Bloomberg Businessweek, dzięki podobnym manewrom w ciągu 15 lat diecezjom katolickim w USA udało się ochronić aktywa o wartości ponad 2 mld dolarów.

Pionki w grze

Wszystko wskazuje na to, że diecezja Harrisburg również będzie dążyła do zabezpieczenia majątku przed roszczeniami. Diecezja, która szacuje swoje zadłużenie na kwotę między 50 a 100 mln dolarów, twierdzi, że dysponuje majątkiem o wartości około 10 mln dolarów. Jak wskazują jednak wierzyciele, to zaledwie ułamek funduszy na 8 kontach inwestycyjnych i niemal 80 kontach, z których środki służą do opłacenia m.in. działalności lokalnych parafii, szkół i młodzieżowych organizacji sportowych. Prawnicy diecezji argumentują zaś, że fundusze te nie powinny być brane pod uwagę w postępowaniu, bo służą do opłacenia bieżących działań i są zarządzane przez odrębne od diecezji podmioty. Zanim dojdzie w tej sprawie do rozstrzygnięć, może minąć nawet kilka lat.

– To dla mnie brudna gra, która po raz kolejny wystawia na cierpienie ofiary nadużyć seksualnych – mówi Shaun Dougherty, członek amerykańskiego Ruchu Ofiar Księży (SNAP), komentując decyzję diecezji Harrisburg o ogłoszeniu bankructwa. – Postępowanie w sądzie upadłościowym nie tylko odroczy wypłatę odszkodowań, ale także przekreśli szansę na przeprowadzenie rzetelnego procesu – dodaje. – A to była jedyna nadzieja dla ofiar, które po latach przerwały milczenie i odważyły się złożyć pozew przeciwko diecezji.

Dougherty sugeruje, że decyzja o ogłoszeniu upadłości uderzy m.in. w osoby, które zawarły ugodę w ramach programu dla ofiar nadużyć seksualnych (Survivor Compensation Program). Diecezja stworzyła go w reakcji na raport pensylwański.

– Ofiary, decydując się na pozasądową ugodę z diecezją, podpisują oświadczenie, w którym zrzekają się kolejnych roszczeń – mówi Dougherty. – Po ogłoszeniu bankructwa przez diecezję Harrisburg może się okazać, że poszkodowany zgodził się na milczenie, a i tak nie otrzyma wynegocjowanej kwoty. Sąd upadłościowy ustali przecież na nowo wysokość wypłacanych ofiarom odszkodowań. To wszystko sprawia, że po raz kolejny czujemy się jak pionek w grze, w której karty rozdaje ten, kto zawinił – dodaje.

Konfrontacja

Shaun Dougherty był ofiarą molestowania seksualnego. Jak mówi, od 10. do 13. roku życia był wykorzystywany przez George'a Koharchika, jednego z ponad 300 księży, których nadużycia seksualne ↦

zostały opisane w raporcie pensylwańskim.

Dougherty tłumaczy, że nie może złożyć pozwu przeciwko Koharchikowi ani zatrudniającej go kiedyś diecezji Altoona-Johnstown, bo jego sprawa się przedawniła. Jedynym sposobem na konfrontację z byłym już księdzem (na fali oskarżeń o pedofilię został laicyzowany w 2016 r.) stało się spotkanie, które zarejestrowała w październiku 2018 r. telewizja CBS News. W materiale nagranym ukrytą kamerą widać, jak Shaun Dougherty i inna ofiara molestowania Brian Sabo rozmawiają z Koharchikiem w restauracji w Johnstown. Po prawie 40 latach pytają go, dlaczego molestował właśnie ich, i czy uważa, że Bóg wybaczył mu jego czyny. George Koharchik mówi, że wstydzi się swojej przeszłości i przeprasza za wyrządzoną krzywdę.

Czas rozliczeń

Obaj mężczyźni padli ofiarą molestowania w szkole przy parafii St. Clement's w Johnstown. George Koharchik w latach 70 i 80. uczył tam religii i był trenerem koszykówki.

– Nie zapomnę, gdy po raz pierwszy zaproponował mi przejażdżkę samochodem – mówi Dougherty. – Posadził mnie wtedy na kolanach i pozwolił potrzymać kierownicę. Byłem tak podekscytowany, że na początku nie zwróciłem uwagi, że jego ręka przesuwa się po moich udach w stronę genitaliów. Ksiądz wykorzystywał też każdą okazję, gdy po meczu brałem prysznic. Mył każdy skrawek mojego ciała, bez gąbki... Wiedziałem, że coś jest nie tak, ale wstydziłem się powiedzieć o tym rodzicom. Dobrze znali księdza i udzielali się w naszej parafii. Bałem się, że mi nie uwierzą – wspomina.

To dla mnie brudna gra, która po raz kolejny wystawia na cierpienie ofiary nadużyć seksualnych – mówi Shaun Dougherty, członek amerykańskiego Ruchu Ofiar Księży, komentując decyzję diecezji Harrisburg o ogłoszeniu bankructwa.

Shaun Dougherty ma nadzieję, że w końcu będzie mógł złożyć pozew cywilny przeciwko Koharchikowi i zatrudniającej go niegdyś diecezji Altoona-Johnstown. Być może jest na to szansa, bo parlament stanu Pensylwania pracuje nad reformą umożliwiającą ofiarom nadużyć seksualnych składanie pozwów w sprawach, które się przedawniły. Aby jednak przepisy weszły w życie, projekt musi być zatwierdzony w referendum.

– Boję się, że jeśli nawet w Pensylwanii dojdzie do zmiany prawa, diecezja Altoona-Johnstown pójdzie w ślad diecezji Harrisburg i złoży wniosek o ogłoszenie upadłości – mówi Dougherty.

To dość prawdopodobny scenariusz, biorąc pod uwagę falę bankructw, jaką wywołały już podobne przepisy w stanie Nowy Jork. Zaledwie cztery miesiące po wprowadzeniu ustawy, która przez rok umożliwia wniesienie pozwu ofiarom niezależnie od wieku, bankructwo ogłosiła diecezja Rochester. Pod koniec lutego tego roku w jej ślady poszła też diecezja Buffalo. Jak wynika z danych lokalnego serwisu „Democrat and Chronicle", od wdrożenia nowych przepisów przeciwko tej diecezji złożono ponad 300 pozwów.

O diecezji Buffalo, która szacuje swoje zadłużenie na kwotę od 50 do 100 mln dolarów, było też głośno pod koniec zeszłego roku. Franciszek przyjął wówczas dymisję złożoną przez biskupa Richarda J. Malone'a, któremu zarzuca się tuszowanie przypadków pedofilii wśród księży.

Skauci też bankrutują

Kościół katolicki w USA być może jak nigdy dotąd boi się fali pozwów ze strony ofiar księży pedofilów. Od końca 2018 r. aż 15 stanów zreformowało prawo dotyczące przestępstw seksualnych wobec dzieci. Szczególnie niepokojące dla diecezji są przepisy, które – tak jak w stanie Nowy Jork – umożliwiają zgłaszanie przypadków uznanych wcześniej za przedawnione. Taką reformę wprowadziło już osiem stanów, m.in. Kalifornia, Arizona, Montana i New Jersey.

Nowe przepisy uderzają zresztą nie tylko w Kościół katolicki. Dzień przed ogłoszeniem bankructwa przez pensylwańską diecezję Harrisburg wniosek o ogłoszenie upadłości złożyła też organizacja Boy Scouts of America. To odpowiedź na falę pozwów byłych skautów, którzy oskarżają członków organizacji o molestowanie seksualne. Pod koniec 2018 r. bankructwo ogłosił też amerykański związek gimnastyczny (USA Gymnastics). Organizacja popadła w kłopoty finansowe, gdy wyszło na jaw, że lekarz Larry Nassar przez dekady wykorzystywał seksualnie nieletnie zawodniczki. W instytucjach, gdzie dochodziło do systemowych nadużyć seksualnych, procedura upadłościowa jest ostatnią deską ratunku.

© MARTA ZDZIEBORSKA

TP

Drodzy Czytelnicy, w następnym wydaniu „Tygodnika" znajdziecie specjalny, bo jubileuszowy

DODATEK KANTOROWSKI
„CZTERDZIEŚCI RAZY AWANGARDA"

cricoteka 40

przygotowany we współpracy z krakowską Cricoteką, a w nim między innymi rozmowę DARIUSZA KOSIŃSKIEGO i MICHAŁA KOBIAŁKI o najważniejszych tradycjach kształtujących współczesny teatr. Oprócz tego opowieści o Cricotece autorstwa ZORKI WOLLNY, IZY SZOSTAK, JOANNY ZIELIŃSKIEJ i PAULINY OŁOWSKIEJ.

Zapraszamy do lektury!

DOMINIK GAJDA / REPORTER

ZBIGNIEW NOSOWSKI

I wy chcecie odejść?

Ostatnia z polskich kościelnych pokus, o których tu piszę, najbardziej zagraża tym, którzy z satysfakcją czytali o pokusach dotychczas opisywanych – przyzwyczajenia, wsobności, wielkich liczb, światowości i ideologizacji – z ulgą myśląc: to nie ja, lecz „oni" tym pokusom ulegają; to są pokusy tej złej części Kościoła, a nie tej dobrej, w której jestem ja.

Jak zawsze w przypadku kuszenia, zaczyna się od czegoś niegroźnego. Bo jest przecież prawdą, że odpowiedzialność za kościelne słabości nie rozkłada się bynajmniej równo po wszystkich (jak to się wciąż mówi) „stanach" Kościoła czy różnych środowiskach katolickich. Historia chrześcijaństwa dobitnie pokazuje, że wcielenie Ewangelii w Kościół okazało się dużo trudniejsze niż wcielenie Boga w człowieka.

Bez wątpienia jest też na co narzekać w naszym polskim Kościele. Jest w nim duszno i można nieraz poczuć się obco. Tylko że można na tę sytuację reagować na sposoby złe i dobre. Trzy podstawowe złe sposoby ulegania pokusie wyobcowania to: pycha, odejście i prywatyzacja wiary.

Bolesne doświadczenie Kościoła niewiarygodnego i zideologizowanego może skutkować moją własną pychą: że oto właśnie ja sam, moja wspólnota, nasze środowisko – to wcielenie chrześcijaństwa autentycznego. Można naśmiewać się z narracji o „prawdziwych Polakach" i „prawdziwych katolikach" – ale w istocie być jej przykładem, tyle że *à rebours*.

WYOBCOWANIE

Bywa, że w moim Kościele poczuję się nieswojo, wręcz obco. Ale porażką mojej wiary jest, gdy powiem wtedy: to już nie mój Kościół.

POWYŻEJ:
Procesja Bożego Ciała na osiedlu Nowiny, Rybnik, maj 2018 r.

Coraz częstszym sposobem reakcji na poczucie wyobcowania we wspólnocie wiary staje się odejście. No bo skoro ci, którym najwięcej w Kościele dano, wymagają tak wiele od innych, a najmniej od samych siebie – to czasem chciałoby się po prostu trzasnąć drzwiami i pójść w swoją stronę. I niektórzy tak robią...

Jest także łagodniejsza wersja dystansowania się od Kościoła. To prywatyzacja wiary. Taka kościelna emigracja wewnętrzna. Skoro inni w Kościele mi przeszkadzają, to zostaję z Bogiem tylko sam na sam. Albo: skoro wokół tyle przejawów ideologizacji wiary, to ja sprowadzam wiarę do poziomu przekonań czysto prywatnych, niezobowiązujących społecznie, i ograniczam się do pobożności. Albo: w imię troski przede wszystkim o jakość wiary skupiam się wyłącznie na wybranej małej trzódce „mojego" Kościoła – *de facto* w oderwaniu od całej wspólnoty.

Pycha, odejście i prywatyzacja wiary... A przecież pycha to pierwszy grzech główny! A przecież odejście pozbawia mnie wspólnoty, wspólnotę zaś pozbawia mnie! A przecież wiara jest sprawą głęboko osobistą, lecz nie jest sprawą prywatną! „Nikt nie żyje sam. Nikt nie grzeszy sam. Nikt nie będzie zbawiony sam" (Benedykt XVI).

Na pokusę wyobcowania można też zareagować inaczej. Przede wszystkim podjąć zmagania o Kościół. Bo Kościół nie potrzebuje wiernych w roli klakierów. Powinienem walczyć o Kościół taki, jaki powinien być. Ale nie: walczyć z Kościołem. Nie: walczyć z duchownymi. Nie: walczyć z moimi wewnątrzkościelnymi oponentami.

Taka walka o Kościół nigdy jednak nie zakończy się pełnym powodzeniem. Gdy Jezus spytał apostołów: „Czyż i wy chcecie odejść?", do odpowiedzi wyrwał się oczywiście Szymon Piotr. Zapewnił stanowczo: „Panie, do kogóż pójdziemy? Ty masz słowa życia wiecznego" (J 6, 67-68). Dobrze wiemy, jak szybko wkrótce zaparł się Jezusa... Kościół nigdy nie będzie idealny, bo składa się wyłącznie z grzeszników – takich jak ja sam.

Życie chrześcijańskie to dawanie siebie. Szukając miejsca dla siebie, nie mogę więc myśleć tylko o sobie. Skoro Kościół ma dwa skarby: Eucharystię i ubogich, to – nawet nie mogąc w pełni uczestniczyć w Eucharystii – mogę znaleźć Kościół, będąc z ubogimi.

Bywa, że w moim Kościele poczuję się nieswojo, wręcz obco. Ale porażką mojej wiary jest, gdy powiem wtedy: to już nie mój Kościół. Najlepsza – i najtrudniejsza – odpowiedź na pokusę wyobcowania to świadomie wziąć na ramiona krzyż, jakim jest Kościół. Wierność zakłada akceptację słabości bliźnich. Każda realna miłość – także miłość do Kościoła – jeśli nie ma się skończyć albo przekształcić w zwykłe przyzwyczajenie, powinna stać się dojrzałą miłością „mimo wszystko". ©

JUNUS WRACA DO DOMU

Dla kraju, w którym od 40 lat trwa wojna, a ponad połowa społeczeństwa żyje w biedzie, COVID-19 jest zagrożeniem, które szybko może wymknąć się spod kontroli.

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK Z HERATU I KABULU (AFGANISTAN)

Tym razem zagrożenie nie idzie od północy, jak kiedyś wojska sowieckie, ani od wschodu, jak talibowie przenikający z Pakistanu. Problemem jest granica zachodnia.

Od momentu, gdy epidemia wybuchła w sąsiednim Iranie, afgańscy uchodźcy i migranci masowo uciekają z tego kraju. Jest ich tam aż dwa miliony: to ludzie, którzy kiedyś uciekli do Iranu przed afgańską „wojną czterdziestoletnią", niektórzy nawet bardzo dawno temu.

Na granicy irańsko-afgańskiej od wielu dni ustawiają się tłumy, zwykle z niedużymi torbami, plecakami lub workami. Ostatnio – poza kilkoma dniami przerwy z powodu Naurozu, perskiego Nowego Roku – codziennie granicę przekracza od 9 do 16 tys. osób. To kilkukrotnie więcej niż w ubiegłych latach. Łącznie w ciągu dwóch tygodni do Afganistanu wróciło co najmniej 80 tys. ludzi. Koordynator reagowania kryzysowego Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji Nick Bishop mówi mi, że od 2007 r., gdy organizacja monitoruje sytuację na granicy, jest to rekordowa liczba w tak krótkim czasie.

17-letni Junus wyjechał do Iranu rok temu w poszukiwaniu lepszego życia. Teraz wrócił z obawy przed epidemią. Herat, 19 marca 2020 r.

Widmo kolejnego dramatu

Jednym z wracających do Afganistanu jest 20-letni Mobarak Szach. W Iranie mieszkał przez rok wraz z żoną, tam urodziło się ich dziecko. Szach mówi, że pracował jako śmieciarz w Teheranie, jednak o pracę było coraz trudniej. Iran zmaga się z problemami gospodarczymi, które tylko pogłębia szerząca się szybko epidemia. To właśnie lęk przed infekcją i narastające trudności, by zarobić na utrzymanie, spowodowały, że postanowili wyjechać. – Wszyscy Afgańczycy, którzy wracają w ostatnich dniach, boją się koronawirusa i braku pracy – mówi mi Szach.

Ten narastający ruch migracyjny z Iranu, który jest jednym z najbardziej dotkniętych pandemią krajów na świecie, powoduje, że utrzymanie w Afganistanie sytuacji pod kontrolą staje się praktycznie niemożliwe.

Epidemia bardzo łatwo może rozprzestrzenić się po kraju, w którym wojna – pod postacią kolejnych jej etapów – trwa już od ponad 40 lat, i w którym bieda dotyka przynajmniej 55 proc. społeczeństwa. Ponadto znaczna część państwa pozostaje poza kontrolą władz centralnych – na tych terenach rządzą talibowie. Dlatego wielu Afgańczyków boi się, że epidemia szybko stanie się kolejnym już, trudnym do zażegnania dramatem.

Wirusowa linia frontu

400-tysięczny Herat w zachodniej części kraju to jedno ze spokojniejszych afgańskich miast. Rzadko dochodzi tu do zamachów czy zbrojnych incydentów.

Jednak dziś Herat stopniowo zamiera. Ulice pustoszeją, sprzedawcy kręcą się bez zajęcia, restauracje wydają dania tylko na wynos. Szkoły zostały zamknięte już ponad miesiąc temu, znacznie wcześniej niż w pozostałych częściach kraju. Lekcje i zajęcia są prowadzone online i poprzez telewizję. Zabroniono także zgromadzeń, a do pracy przychodzą tylko ci urzędnicy, którzy są niezbędni. Ostatecznie ograniczono poruszanie się po ulicach. Nauroz, jedna z ulubionych okazji do pikników, przeszedł bez echa. W Heracie, a później w całym Afganistanie, koronawirus stał się tematem numer jeden.

Większość z 84 przypadków zachorowań na COVID-19 (w tym dwa zgony), wykrytych do połowy ubiegłego tygodnia, odnotowano właśnie w Heracie lub wśród osób, które przechodziły z Iranu przez Herat. – Jesteśmy linią frontu – mówi mi gubernator prowincji Herat, Abdul Kajum Rahimi. – Sytuacja nie jest pod kontrolą ani w Afganistanie, ani w Iranie. Zresztą tak jak w wielu innych krajach na świecie.

Niska liczba wykrytych przypadków wynika przede wszystkim z braku testów. – Jeśli zwiększymy ich liczbę, wykryjemy dużo wyższą liczbę zachorowań – twierdzi Rahimi.

Testy były wysyłane na badanie aż do Kabulu, a czasami za granicę, więc na potwierdzenie choroby trzeba było czekać dniami. Dopiero 21 marca Herat otworzył własne laboratorium. Jednak na razie jest ono w stanie analizować tylko 25 próbek dziennie, co jest kroplą w morzu potrzeb.

W cieniu Iranu

Przechodzący przez granicę mają sprawdzaną temperaturę, ale pomiary są często niedokładne, więc jeśli dana osoba nie ma widocznych symptomów, bez problemu może wrócić do domu.

Na podstawie szacunków dokonanych przez lokalnych urzędników gubernator Rahimi zakłada, że ponad 40 proc. wracających z Iranu może być zakażonych. Jednak znaczna część z nich nie ma objawów i w efekcie roznosi wirusa dalej, po swoich wioskach i miastach. – Mogą zarazić cały Afganistan – mówi gubernator.

Jego obawa jest uzasadniona, bo epidemia mocno uderzyła w Iran. W połowie ubiegłego tygodnia odnotowano tam ponad 25 tys. zachorowań i ponad 2 tys. zgonów. Powszechne są jednak podejrzenia, że prawdziwa skala problemu jest zaniżana przez Teheran.

Dlatego gubernator Rahimi uważa, że prawdziwy kryzys epidemiczny niedługo czeka także Afganistan.

Dezinformacja w służbie wirusa

Także zastępca dyrektora Afgańskiej Jednostki Badawczej i Ewaluacyjnej Niszank Motwani twierdzi, że sytuacja w kraju ↦

Nawet perski nowy rok nie skusił mieszkańców Heratu do świętowania. Plac wokół świątyni Sułtana Agi, zawsze pełen ludzi, dzisiaj jest pusty. 20 marca 2020 r.

↦ wkrótce będzie „posępna". Władze mu w tym wtórują. We wtorek, 24 marca, podczas konferencji prasowej w Kabulu minister zdrowia Ferozuddin Feroz mówił, że jeśli nie zostaną podjęte środki zapobiegawcze, jak ograniczenie swobodnego przemieszczania się w Heracie, może sprawdzić się najgorszy scenariusz. Zakłada on, że 16 mln ludzi, czyli niemal połowa obywateli Afganistanu, zostanie zarażonych, a ponad 100 tys. umrze.

Władze liczą, że czarny scenariusz się nie sprawdzi. Jednak nawet urzędnicy administracji państwowej przyznają w nieoficjalnych rozmowach, że skoro Niemcy obawiają się infekcji na poziomie 60-70 proc. populacji, to w Afganistanie będzie to na pewno 100 procent.

Niszank Motwani wymienia dwa problemy, które jego zdaniem utrudnią afgańskim władzom przeciwdziałanie rozprzestrzenianiu się wirusa: – Prawdopodobnie największym wyzwaniem jest przekonanie Afgańczyków, by sami zgłaszali się do lekarzy, jeśli zobaczą u siebie jakieś symptomy – mówi.

Jest wiele powodów, dla których nie chcą tego robić. Jednym z nich jest obawa przed kwarantanną, która pozbawi ich szans na zarobek i utrzymanie rodziny. Ponadto często boją się, że nie będą w stanie ponieść kosztów leczenia (władze deklarują, że osoby chore na COVID-19 będą leczone bezpłatnie, ale informacje docierają dalece nie do wszystkich). Powszechny w Afganistanie jest też brak zaufania do instytucji publicznych, w tym służby zdrowia, jej zdolności do poradzenia sobie z wirusem i z dużą liczbą pacjentów. Z tego powodu – zakłada Motwani – władze długo nie będą w stanie określić skali epidemii.

Kolejny powód to wiedza dotycząca tego, czym jest wirus, jak go zwalczać i jak dociera on do kraju. – Jest dużo dezinformacji. Wzmacnia ją wysoki poziom analfabetyzmu w społeczeństwie. To powoduje, że często trudno odróżnić, co jest wiarygodne, a co jest czystą fikcją – przyznaje Motwani.

Efektem tego jest stygmatyzacja osób chorych czy nawet podejrzanych o infekcję. To też powoduje, że na powracających z Iranu patrzy się nieufnie. Wielu Afgańczyków boi się, że tamci roznoszą chorobę, więc najlepiej, aby wyjechali z ich okolicy.

Walczymy, jak możemy

Podobnie jak wielu innych, którzy nie mają pieniędzy, Mobarak Szach skorzystał z centrum tranzytowego, gdzie może pozostać przez 24 godziny. Jest tu miejsce dla 500-550 osób. Wsparcie otrzymują najbardziej potrzebujący, reszta radzi sobie sama. Jawid Nadim, przedstawiciel ministerstwa ds. uchodźców i repatriacji w Heracie, przekonuje, że nie zdarza się, by ktoś został na ulicy, bo może liczyć na pomoc rodziny lub przyjaciół.

Centrum tranzytowe jest zarządzane przez państwo, ale działają w nim także różne organizacje humanitarne, jak Międzynarodowa Organizacja ds. Migracji czy Biuro Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców.

Jawid Nadim chodzi w masce i rękawiczkach ochronnych. Odpowiada m.in. za obóz tranzytowy. W ostatnich dniach spędzał czas głównie na granicy z Iranem. – Sytuacja jest tam bardzo trudna – przyznaje. – Pracujemy po 20 godzin na dobę.

Wraz z pracownikami organizacji humanitarnych udzielają pomocy Afgańczykom przybyłym do kraju. Najpierw ich rejestrują, a informacje o nich przekazują do ministerstwa zdrowia publicznego. Prowadzą także kampanię informacyjną o tym, jak przejść kwarantannę, podają informacje, do kogo się zwracać, jeśli ktoś poczuje się źle. Podkreślają, że wszystko jest bezpłatne. Jednak gdy powracający z Iranu znajdzie się w domu, już nikt go nie sprawdza.

Ponieważ Afgańczycy od lat wracają do kraju z Iranu, są już wypracowane procedury. Najbardziej potrzebujący dostają posiłek na granicy. Przygotowane autobusy zabierają ich do centrum tranzytowego. Tutaj są sprawdzani przez lekarzy, a w razie ciężkiego stanu są przewożeni karetką do szpitala. W centrum mogą także spędzić noc w jednym z pokoi. Otrzymują niedużą kwotę na zakup żywności – zależnie od tego, jak długą drogę mają do przejechania. Następnego dnia są wysyłani do domu. Wracający, często po długich latach nieobecności, po zarejestrowaniu się w miejscowym oddziale ministerstwa ds. uchodźców i repatriacji otrzymują dalszą pomoc.

To wszystko są środki, które mają rozwiązać stary problem: poprawić zwykle trudną sytuację ekonomiczną tych, którzy przyjeżdżają z powrotem do kraju. Wciąż nie ma jednak konkretnych pomysłów, jak zapobiec rozprzestrzenianiu się wirusa. – Mamy puste ręce, walczymy jak możemy – stwierdza Nadim. – Daj Boże, by wszystko było dobrze.

Pomoc zagrożona

Tymczasem sytuacja staje się coraz bardziej skomplikowana. Organizacje pomocowe próbują przyciągnąć uwagę opinii publicznej, ale z pandemią walczy znaczna część świata.

– Pomoc humanitarna staje się wyzwaniem, gdy twoją główną obawą jest zdrowie twoich pracowników. Jeśli zaczną chorować, to jak mielibyśmy kontynuować nasze działania? – zauważa Nick Bishop z Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji.

Bishop mówi, że organizacje pomocowe rozważają już ewakuację pracowników zagranicznych, a także częściowe lub całkowite zaprzestanie działań. Przyznaje, że ich organizacja zmieniła sposób funkcjonowania: korzystają z pracowników, którzy są niezbędni, oraz prowadzą kampanię uświadamiającą nie tylko wśród powracających do Afganistanu, ale też wśród własnego personelu, aby pra-

cownicy wiedzieli, że ich bezpieczeństwo jest traktowane poważnie.

Bishop dodaje, że na bieżąco oceniają ryzyko i w razie gwałtownego rozprzestrzenienia się koronawirusa będą brali pod uwagę zawieszenie w ogóle programu pomocy dla Afgańczyków, którzy wracają z Iranu.

Na własnej ziemi

Do centrum tranzytowego przyjeżdżam, gdy akurat jest trochę spokojniej. Część z tych, którzy spędzili tu ostatnią noc, już wyjechała, a kolejna grupa dopiero zmierzała znad granicy. W centrum było może 50 osób. Szeregowe domy ciągnęły się w rzędach, rozdzielone przez ławki i place usypane z kamyków, a także zadbane trawniki.

W jednym z domów wraz z kolegą na dobę zatrzymał się 17-letni Junus. Podobnie jak Szach, Junus przybył z Teheranu, gdzie spędził rok. Wcześniej do emigracji z prowincji Farjab w północnym Afganistanie zmusił go brak pracy. Rodzice zachęcali go do tego, bo – jak mówili – w domu nie było dla niego przyszłości. Junus wyjechał więc jako jedyny z ósemki rodzeństwa. Przekraczał irańską granicę w 12-osobowej grupie. Tylko Junusowi i jego przyjacielowi udało się ominąć straż graniczną. W Iranie miał zacząć lepsze życie: został elektrykiem. Mówił mi, że to ciężka praca, a na dowód pokazywał ręce z bąblami od poparzeń.

– Gdy pojawił się COVID-19, wszystkie prace wstrzymano – wspominał teraz Junus. – W Teheranie zamknęło się wiele firm i koszty życia wzrosły. Jeśli nie ma się ważnego powodu, aby wyjść, to trzeba siedzieć w domu.

Opowiadał, że wraz z przyjacielem zebrali się (nie mieli praktycznie żadnych rzeczy) i ruszyli w stronę granicy afgańskiej. Dotarli tam nocą, nie mieli pieniędzy, byli głodni. Spali pod gołym niebem.

Po roku na obczyźnie Junus wraca więc do domu z niczym i bez pomysłu, co robić dalej – w Afganistanie jest wysokie bezrobocie. A teraz jeszcze epidemia...

Junus cieszy się jednak, że wraca do domu. – Jeśli mam umrzeć – mówi – to nie chcę w obcym kraju.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Współpraca: AREF KARIMI, ALISZER SZAHIR

LUIS ACOSTA / AFP / EAST NEWS

Setki obcokrajowców uczestniczących w festiwalu muzycznym na karaibskiej plaży w mieście Colon poddano kwarantannie. Panama, 18 marca 2020 r.

Prezydent śle całusy

SZYMON OPRYSZEK Z PANAMY I MEKSYKU

„Biedni będą umierać w progach szpitali" – ostrzegają lekarze. Ameryka Łacińska może poważnie ucierpieć z powodu pandemii COVID-19. Mimo to przywódcy Meksyku i Brazylii, gdzie żyje połowa mieszkańców regionu, długo ignorowali zagrożenie.

Środa, 18 marca, Miasto Meksyk. Prezydent Andrés Manuel López Obrador wchodzi na konferencję prasową w stolicy Meksyku. Wszyscy dziennikarze korzystają z płynu do dezynfekcji. Obrador jako jedyny na sali – nie. Podczas przemowy wyciąga wizerunki świętych, obrazek z czterolistną koniczyną i falsyfikat dwudolarowego banknotu, który miał dostać na szczęście od pewnego meksykańskiego emigranta.

„To moi ochroniarze w walce z pandemią. Tarczą ochronną jest także uczciwość" – przekonuje Obrador. Kilka godzin wcześniej w Meksyku umiera pierwszy pacjent zarażony koronawirusem.

Pierwszy w Ameryce Południowej przypadek infekcji wykryto już 26 lutego w Brazylii. To kraj, w którym epidemia rozprzestrzenia się – obok Ekwadoru – najszybciej na kontynencie, sięgając już wszystkich brazylijskich stanów, włącznie z oddalonymi od cywilizacji amazońskimi Roraima i Maranhão.

„Pandemia koronawirusa to histeria" – twierdzi jednak brazylijski prezydent Jair Bolsonaro. Chorobę COVID-19 nazywa „grypką", a zamykanie kościołów i centrów handlowych uważa za „idiotyczne". Sam pojawiał się wśród tłumów zwolenników bez maseczki – było to dwa dni po tym, jak przeszedł badanie na obecność wirusa (wynik: negatywny), gdy okazało się, że wśród jego współpracowników są osoby zakażone.

Obaj prezydenci są w grupie podwyższonego ryzyka: 66-letni Obrador oraz o półtora roku młodszy Bolsonaro to na pierwszy rzut oka politycy z różnych światów. Pierwszy, uznawany za lewicowca, uważa się za dobrego ojca narodu. Z kolei na wskroś konserwatywny Bolsonaro, były wojskowy, otwarcie opowiada się za rządami twardej ręki. Neguje nie tylko system demokratyczny, ale też ↦

↦ konieczność zmierzenia się z takimi wyzwaniami świata jak zmiany klimatyczne. Może to nic dziwnego, że także koronawirusa uznał za wydumane zagrożenie.

Do tej pory łączyło ich tylko jedno: wizja siebie samych jako wybrańców narodu. Teraz wspólna jest im także ignorancja. Tymczasem Meksyk (125 mln obywateli) i Brazylia (220 mln) to dwa kraje, w których żyje ponad połowa całej ludności Ameryki Południowej i Środkowej.

Zbieracze śmieci

– Na całym świecie panika zaczynała się od ataku na sklepy. Ludzie wykupywali papier toaletowy i robili zapasy żywności. U nas, poza wyjątkami z bogatych elit, tego nie zauważyłam. Wiesz dlaczego? – mówi 33-letnia Azucena Villalobos, meksykańska aktywistka społeczna. – Co drugi Meksykanin żyje z dnia na dzień. Nigdy nie kupuje jedzenia nawet na pojutrze. Bo go nie stać.

Azucena prowadzi fundację, która pomaga tzw. *pepenadores*, czyli zbieraczom śmieci na wysypiskach położonych na obrzeżach Ciudad de México. Większość z nich żyje w nędzy, bez dostępu do wody pitnej i elektryczności – tak jak ok. 25 mln ludzi w całym kraju. Często zarabiają tylko sto pesos dziennie (równowartość 4,5 dolara). Tymczasem zestaw dziesięciu jednorazowych maseczek ochronnych kosztuje obecnie w Meksyku dwa razy tyle (inna sprawa, że są one dziś trudno dostępne).

– Gdy słyszymy komunikat od rządu „Myjcie ręce, będzie dobrze", ogarnia nas pusty śmiech – dodaje Azucena.

Takich absurdów jest więcej: władze stolicy ogłosiły regularną dezynfekcję stacji metra, ale miejscowe toalety czyszczą sprzątaczki bez rękawic ochronnych, nie wspominając o maseczkach. Zamknięto szkoły i ogłoszono zajęcia online, ale wielu najbiedniejszych uczniów nie ma w domu dostępu do internetu.

Takich ludzi, w których najprędzej może uderzyć ignorancja prezydenta Obradora, są tu więc miliony. Uliczni sprzedawcy, popularni w miastach pucybuci czy nawet emeryci, którzy masowo dorabiają w marketach przy pakowaniu żywności w zamian za napiwek – oni wszyscy żyją z dnia na dzień.

Ubezpieczenie społeczne jest dla nich niedostępnym luksusem. Nawet jeśli najbiedniejsi dostaną się do szpitala, nie mają ubezpieczenia, muszą więc zapłacić za wizytę u lekarza, a nawet za strzykawkę.

> Zalecenie „Myjcie ręce, będzie dobrze" **brzmi abstrakcyjnie w kraju,** gdzie miliony ludzi nie mają dostępu do bieżącej wody.

Czasem musisz się przytulić

Dziennikarze lokalnej gazety „El Universal" wyliczyli, że w kraju są tylko 4372 łóżka na oddziałach intensywnej terapii. Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) podaje, że Meksyk przeznacza tylko 4,2 proc. swojego PKB na opiekę zdrowotną (w porównaniu do ok. 10 proc. Francji czy Niemiec; w Polsce to ok. 6,5 proc.). Z tendencją malejącą: fundusze co roku są uszczuplane z powodu cięć budżetowych. „Nadchodzi tsunami, a my zamiast się schronić, bawimy się na plaży" – pisze były dyplomata Enrique Berruga Filloy w felietonie dla „El Universal".

Tymczasem prezydent jeździ po kraju i bywa na kolejnych wiecach. „Są tacy, którzy twierdzą, że z powodu koronawirusa nie należy się obejmować. Ale czasem musisz się przytulić, nic się nie dzieje" – mówi, gdy media wyrzucają mu uściski i całusy z wyborcami. „Wychodźcie zjeść, kultywujcie życie rodzinne. To siła Meksyku" – zapewnia w czasie, gdy władze stolicy nawołują do pozostania w domu i pracy zdalnej. I gdy Susana Distancia – w wolnym przekładzie: Zdystansowana Zuza; to bajkowa bohaterka, którą powołało do życia ministerstwo zdrowia – nawołuje z telebimów, by założyć maseczkę i ograniczyć kontakty międzyludzkie.

„Dlaczego w środku kryzysu gospodarczego i epidemii jestem spokojny o Meksyk? Bo nasza siła jest wielka" – ripostuje Obrador, gdy opozycja wysyła list do Panamerykańskiej Organizacji Zdrowia, wyrażający „głębokie zaniepokojenie działaniami rządu w obliczu pandemii". „Nie przesadzajmy, bo wywołamy strach, który uderzy w gospodarkę" – to jedne z ostatnich słów Obradora.

Juan Carlos, dyrektor sprzedaży w sieci hoteli w Cancun: – Rząd pudruje statystyki zarażonych. Nie chcą wzbudzać paniki. Kryzys już widać: na ulicach, w sklepach. Nie chcą go widzieć tylko ludzie oderwani od rzeczywistości.

Rzeczywiście, recesja już uderzyła w gospodarkę. Wartość peso spadła gwałtownie, jest najsłabsze w ostatnich dwóch dekadach. Sala przylotów na lotnisku w turystycznym Cancun świeci pustkami, zamknięte są restauracje i biura podróży, wiele firm wstrzymało produkcję.

Wyczekiwanie

Na pomniku Chrystusa w brazylijskim Rio de Janeiro rozbłysła iluminacja z hasztagami w różnych językach: „Módlmy się razem".

– Pół żartem, pół serio została nam już tylko modlitwa. Nasze władze nie oferują nam nic innego – twierdzi Sandro, 50-letni dyrektor artystyczny w agencji reklamowej z São Paulo. – W ciągu kilku dni straciłem wszystkie kontrakty. Kwarantanna, z której tak kpił prezydent Bolsonaro, stała się faktem.

Sandro uważa się za osobę uprzywilejowaną. Ma stałą pracę, ubezpieczenie i oszczędności. W Brazylii tymczasem aż 38 mln ludzi pracuje bez umów. To niemal połowa siły produkcyjnej kraju.

W takiej sytuacji była 63-letnia sprzątaczka, pierwsza śmiertelna ofiara w stanie Rio de Janeiro. Jej przykład wciąż jest przywoływany w mediach, bo oddaje podziały klasowe w Brazylii. Zatrudniona na czarno przez ponad 20 lat, została zarażona przez szefa, który wrócił z karnawału we Włoszech. Ona – przedstawicielka biedoty, on – mieszkaniec najdroższej dzielnicy Rio de Janeiro.

– To kwintesencja Brazylii. Ten podział najlepiej będzie widać w szpitalu. Bogaci pójdą do prywatnych placówek, a biedni będą umierać przed publicznymi. To nieprawda, co mówią, że koronawirus nie ogląda się na społeczne granice – mówi Sandro. – Nasz minister zdrowia wydaje się inteligentnym gościem, mamy dużo świetnych lekarzy. Ale co z tego, że robią świetną robotę, skoro muszą przekonywać samego prezydenta do założenia maseczki. Kiedy mówią, że biedni będą umierać w progach szpitali, nikt nie jest zdziwiony.

Władze stanowe – zwłaszcza w dużych aglomeracjach, jak São Paulo, Rio de Ja-

neiro czy stołeczna Brasilia – robią, co mogą: ogłaszają programy wsparcia dla biednych, przeznaczają dotacje na nowy sprzęt dla szpitali. Rząd Brazylii ma zapłacić najbiedniejszym 200 reali (równowartość 38 dolarów) miesięcznie, by zniwelować wpływ upadającej gospodarki.

Sandro: – Coś jednak łączy biednych i bogatych. To strach. Taka dziwna atmosfera napięcia. Wyczekiwanie. Tylko na co? Na kryzys? On panuje od kilku lat. Gospodarczy, polityczny, społeczny. Czego więc wyczekujemy? A może daliśmy się opętać majaczeniu Bolsonara?

Patelnie znakiem protestu

Prezydent, jak przystało na populistę, swoją politykę opiera na konfrontacji. W trakcie pandemii wrogiem nie jest koronawirus, lecz wszyscy dookoła: opozycja, krytycznie nastawieni gubernatorzy stanów São Paulo czy Rio de Janeiro, a także epidemiolodzy, którzy „chcą obalić rząd i zniszczyć gospodarkę".

Po obowiązkowym badaniu na koronowirusa Bolsonaro nagrał filmik w maseczce, a wkrótce złamał kwarantannę, którą zalecają obywatelom władze. Zakwestionował też zalecenia Światowej Organizacji Zdrowia – rekomendowane także przez brazylijskie ministerstwo zdrowia – aby odwołać imprezy masowe czy nabożeństwa z udziałem wiernych. Deputowana Janaína Paschoal nazywa działania Bolsonara „zbrodnią przeciw zdrowiu publicznemu".

Od początku rządów Bolsonaro w ten sposób komunikuje się z obywatelami – czy chodzi o politykę, o wycinkę lasów w Amazonii, czy o zmiany klimatu. Gdzieś czai się jakiś wróg.

– Brazylia jest tym zmęczona – mówi Sandro. – A teraz jeszcze ryzyko zarażenia się chorobą... Wraz z nią kończy się życie na kredyt. Bańka pryska.

Z sondaży wynika, że 65 proc. społeczeństwa jest niezadowolone z zarządzania Bolsonara w czasie kryzysu. Dzień po dniu powtarza się słynne *panelaço*: obywatelski protest, polegający na uderzaniu w garnki i patelnie. „Tylko czekać, aż Chrystus w Rio zacznie walić w patelnię" – takie żarty przesyłają sobie Brazylijczycy.

Polityka Bolsonara już spotęgowała kryzys wewnętrzny (w tle jest możliwy *impeachment* prezydenta) i doprowadziła do dyplomatycznej awantury za sprawą jego syna (i zarazem zastępcy), który opublikował serię antychińskich wpisów na Twitterze.

Tymczasem epidemia rozwija się szybko: w połowie minionego tygodnia przekroczyła 2,5 tys. zarażeń, a 57 osób zmarło. „Jeśli nie zostaną podjęte drastyczne środki, nasz system opieki zdrowotnej upadnie w kwietniu" – ocenia minister zdrowia Luiz Henrique Mandetta.

Czarny bez i czarne scenariusze

Tymczasem Brazylia to przecież i tak kraj w miarę stabilny ekonomicznie, który podniósł się z zupełnej nędzy, a kilka lat temu uważany był nawet za gospodarczego tygrysa. W Ameryce Łacińskiej nie brakuje państw znacznie biedniejszych, ze zrujnowaną służbą zdrowia i problemami z demokracją – jak choćby Wenezuela.

Jej prezydent Nicolás Maduro na konferencję prasową na temat epidemii przyszedł ubrany w dres FC Barcelony, a na Twitterze namawiał do picia mikstury z trawy cytrynowej, imbiru, czarnego bzu, pieprzu i miodu. Jego zdaniem pomaga ona uniknąć infekcji koronawirusem.

Wenezuelska opozycja oskarża prezydenta o tuszowanie liczby zarażonych. W szpitalach brakuje sprzętu, leków, często nawet prądu. Zresztą koszt maseczki w Caracas to równowartość jednej trzeciej płacy minimalnej. Ludzie nie mają gdzie uciec: do tej pory co czwarty imigrant wyjeżdżał do Kolumbii, ta jednak z powodu epidemii zamknęła granicę. COVID-19 może oznaczać kolejny ogromny kryzys humanitarny w Wenezueli.

„Ameryka Łacińska wyszła praktycznie bez szwanku z kryzysu w 2008 r. Tym razem wydaje się, że jest to region, który może ponieść największe straty" – ostrzega Oliver Stuenkel, profesor stosunków międzynarodowych w São Paulo, cytowany przez „El País".

I to pomimo że koronawirus dotarł do Ameryki Łacińskiej z pewnym opóźnieniem w stosunku do Europy, a większość państw zareagowała bardzo szybko: błyskawicznym zamknięciem granic, kwarantanną, a nawet zakazem poruszania się czy godziną policyjną (to w Peru i Ekwadorze). Boliwia przeniosła zaplanowane na maj wybory prezydenckie, Argentyna wprowadziła ogólnokrajową obowiązkową kwarantannę, a w Panamie służby sprawdzały temperaturę każdego kierowcy wyjeżdżającego ze stolicy.

Równocześnie konfrontacja z pandemią uwydatnia problemy regionu. Duże nierówności społeczne, fatalny stan służby zdrowia, brak regionalnej współpracy, głęboko zakorzenione nieposłuszeństwo obywatelskie – eksperci prześcigają się w wyliczaniu przyczyn, które mogą wpłynąć na wielki kryzys sanitarny w Ameryce Łacińskiej.

Komisja Gospodarcza ONZ ds. Ameryki Łacińskiej i Karaibów szacuje, że z powodu recesji – spowodowanej obniżonym eksportem, upadkiem turystyki i podwyżkami cen żywności – liczba osób żyjących w skrajnym ubóstwie może w tym regionie wzrosnąć z 67 do 90 mln.

Dla Ameryki Łacińskiej byłby to ogromny krok wstecz.

© SZYMON OPRYSZEK

POŻEGNANIE

Ś.† P.

Maria z Lednickich Jaworowska

Żona założyciela i wieloletniego dyrektora
stadniny koni arabskich w Michałowie

urodzona 10 lipca 1924 r. w Warszawie
zmarła 19 marca 2020 r. w Krakowie

Pogrzeb odbył się na cmentarzu parafialnym
w Michałowie w sobotę 21 marca 2020 r.

o czym zawiadamiają ze smutkiem

Córki, Zięciowie, Wnuki, Prawnuki

Wyspiarskie sprzeczności

PATRYCJA BUKALSKA

Od czekania na „odporność stadną” do poważnych restrykcji i konnej policji, która pilnuje porządku na ulicach: w czasach epidemii Brytyjczycy nieustannie zaskakują.

Tym razem premier Boris Johnson, zwykle jowialny i chętnie improwizujący, był poważny i konkretny. Wyglądał na zmęczonego i spiętego. Informując o wprowadzanych ograniczeniach, starał się robić to łagodnie, przedstawiając je jako „instrukcje”.

Jeszcze tydzień wcześniej byłyby na Wyspach nie do pomyślenia. W poniedziałek, 23 marca, Johnson nakazał bowiem Brytyjczykom, by nie ruszali się z domu. Wyjść mogą tylko po zakupy, do apteki lub na jeden spacer dziennie. Zamknięte są sklepy (poza spożywczymi), place zabaw, biblioteki, siłownie. W miejscu publicznym nie wolno przebywać w grupie większej niż dwie osoby. Pilnuje tego policja. Tym samym Wielka Brytania dołączyła do reszty kontynentu.

Wcześniej rząd w Londynie zdążył wprawić Europę w osłupienie. Najpierw sugerowano, że Brytyjczycy nabiorą „odporności stadnej” na wirusa, co jednak wiązałoby się z zachorowaniem ponad połowy populacji (i wielką liczbą ofiar). Potem premier zapewniał, że szkoły nie będą zamknięte (po kilku dniach jednak je zamknął), a wśród środków ostrożności rekomendował siedzenie w domu przez siedem dni, jeśli ktoś ma gorączkę. Takie przekazy, tyleż łagodne, co nieprecyzyjne, nie przynosiły skutku, Brytyjczycy nie zmieniali swego życia.

W parkach i na plażach

– Nasz rząd pewnie wiedział, że będzie mu ciężko wprowadzić obostrzenia. Brytyjczycy to indywidualiści, bardzo cenią wolność osobistą. W końcu nie mamy nawet dowodów osobistych, a pomysły ich wprowadzenia spotykają się z ostrymi reakcjami – Richard Washington, brytyjski politolog mieszkający w Warszawie, szuka wyjaśnienia na początkowe podejście Johnsona.

– Strategią rządu było jakby popchnięcie ludzi w pożądanym kierunku, ale w efekcie była to seria niejasnych sugestii – uważa politolog. – Dziś budzi się powszechne już przekonanie o konieczności współdziałania dla dobra ogółu. Zdjęcia z tamtego weekendu wywołały oburzenie!

Chodzi o weekend 21-22 marca: na zdjęciach, które obiegły brytyjską prasę, były tłumy. Tłumy na promenadzie nadmorskiej, turyści stojący gęsiego, by wspiąć się na popularny górski szczyt w Walii, zapełnione parkingi przy londyńskich parkach. To wszystko już po tym, jak premier zdecydował o zamknięciu pubów i poprosił rodaków, by nie odwiedzali się w Dniu Matki (Brytyjczycy obchodzą go trzy tygodnie przed Wielkanocą; w tym roku 22 marca).

Dopiero radykalne ograniczenia z 23 marca wpłynęły na zmianę postaw: ulice opustoszały. W parkach policjanci zaczęli przeganiać siedzących na trawie. „To nie wakacje, idźcie do domu!” – wołali przez megafony.

Byle nie na północ

Niektórzy obywatele nieco opacznie zrozumieli zalecenie o społecznej izolacji – i postanowili spędzić ten czas w najmniej zaludnionym regionie Wielkiej Brytanii, czyli na malowniczych wzgórzach Szkocji. Na północ ruszyły sznury aut i kamperów.

Przybysze spotkali się z lodowatym przyjęciem Szkotów. Witały ich napisy: „Wracajcie do siebie” i „Tylko dla miejscowych”. Dwie wyspy, Barra i Vatersay, gdzie do połowy minionego tygodnia nie było ani jednej infekcji, wydały prosty komunikat: „Wyspy są zamknięte. Nie przyjeżdżajcie tutaj”. Trudno się dziwić tej reakcji: do najbliższego szpitala jest tam czasem 100 km, a miejscowa służba zdrowia raczej nie poradziłaby sobie z „importowanymi” masowo przypadkami infekcji. Miejscowe sklepiki i małe supermarkety nie udźwignęłyby też dodatkowego zapotrzebowania.

Za mieszkańcami północy murem stanęły władze: zamknięto kempingi. Szefowa szkockiego rządu autonomicznego Nicola Sturgeon zwróciła się do przewoźników, by nie wpuszczali na promy przyjezdnych, a do właścicieli pensjonatów, by nie przyjmowali turystów. Wcześniej byli bowiem i tacy, którzy na lęku „południowców” chcieli zarobić. Na popularnej wśród turystów wyspie Skye oferowano apartamenty z wyżywieniem i obsługą na czas izolacji w cenie 3 tys. funtów za miesiąc – od osoby. „Życie nie płynie teraz normalnie – mówiła Sturgeon. – Jeśli nie zmieniłeś swojego życia, lepiej się zastanów, czy robisz to, co powinieneś”.

Najlepsze i najgorsze

Wcześniej, w czasie brexitowego maratonu, wielu mieszkańców Wysp – bojąc się problemów z zaopatrzeniem – zrobiło zapasy. Nikt jednak chyba nie sądził, że supermarkety naprawdę mogą być niemal puste. Tymczasem teraz tak bywało. – Na początku była panika, ze sklepu znikało wszystko – mówi Tom Piotrowski, od lat mieszkający w Worcester. – Jeszcze czegoś takiego nie widziałem.

KIRSTY O'CONNOR / PA / GETTY IMAGES

Na dowód Piotrowski przesyła zdjęcia kolejnych ogołoconych sklepów. Podobne zamieszcza prasa – w tym zdjęcia kolejek, w których jeszcze przed godziną otwarcia supermarketów stało nawet po kilkaset osób. Poruszenie wywołała pielęgniarka z Yorku, która z płaczem opowiadała dziennikarzom, jak po 48-godzinnym dyżurze w szpitalu nie zdołała już kupić żadnych warzyw i owoców.

Wkrótce wprowadzono specjalne godziny, w których zakupy mogli robić pracownicy służby zdrowia. Ruszyła też lokalna samopomoc. – Kryzys wyzwala w ludziach to, co najlepsze, i to, co najgorsze – mówi Piotrowski. – Teraz w Worcester i okolicy jest ogrom ludzi, którzy pomagają innym, powstają różne inicjatywy, grupa facebookowa współdziała z samorządem. Ale dojście do tej solidarności zabrało trochę czasu.

W grupie samopomocowej – jak w podobnych grupach w Polsce – padają prośby o zrobienie zakupów. Albo pytania („To najbardziej dziwaczne pytanie w moim życiu, ale czy ktoś wie, gdzie można kupić kurczaka albo inne mięso?"). I radosne wieści, gdzie pojawiły się jajka czy papier toaletowy.

Gdy zawodzą supermarkety, wyzwanie podejmują sklepy przy farmach. Piotrowski: – Ludzie zaglądają też często do lokalnych sklepików, które zaopatrują się u miejscowych rolników. Zmieniają się priorytety, sposób funkcjonowania.

Ci miejscowi rolnicy wkrótce zderzą się z brakiem pracowników sezonowych, którzy o tej porze zaczynali zjeżdżać na Wyspy. Kto więc zbierze truskawki i kapustę?

– Już w zeszłym roku z powodu dyskusji brexitowej było 10-15 proc. pracowników za mało. Teraz będzie gorzej – uważa Piotrowski. – Tymczasem w Evesham koło Worcester, gdzie działa wiele dużych farm, już zaczyna się sezon szparagowy...

Banki żywności proszą o pomoc

Paniczne gromadzenie jedzenia odbiło się boleśnie na sieci banków żywności – w sytuacji, gdy w 2018 r. skorzystało z nich prawie 4 mln dorosłych Brytyjczyków.

Trussell Trust, któremu podlega dwie trzecie banków żywności, w ciągu pół roku rozdał 800 tys. paczek żywnościowych. Teraz, mimo mniejszej liczby wolontariuszy – wielu z nich to emeryci, którzy zostają w domu – banki zobowiązały się, że pozostaną otwarte. Szybko jednak musiały opróżnić swoje magazyny, a w szczycie histerii zakupowej brakowało im darów. Teraz, po kilku dramatycznych apelach, znów dostają jedzenie do rozdania. Nie wiadomo jednak, czy hojność darczyńców utrzyma się długo.

Tymczasem prognozy są przygnębiające: w wyniku epidemii wiele osób już straciło pracę. Zamknięto szkoły, w których dzieci otrzymywały posiłki, a to oznacza, że liczba potrzebujących będzie rosnąć. W niektórych bankach liczba proszących o pomoc już wzrosła o jedną trzecią.

Duch Dunkierki

W ostatnich dniach Brytania była krajem sprzeczności. Z jednej strony ludzie czyścili do cna sklepy, z drugiej chodzili dalej do pubów. Chętnie odwoływano się do hasła z czasów II wojny światowej „*Keep calm and carry on*" (Zachowaj spokój i rób swoje). Ale czy słusznie?

– Podczas tej wojny ludzie nie zawsze zachowywali spokój. Był strach, panika, przypadki plądrowania domów, różne traumatyczne reakcje. Istnieje jednak rzeczywiście brytyjska tradycja kulturowa, by w czasach kryzysu pokazać stoicyzm, i wiele osób tak się wtedy zachowało. Nie jest to cecha charakteru, lecz raczej kultura nieokazywania emocji publicznie, bo jest to postrzegane jako słabość – mówi „Tygodnikowi" prof. Richard Overy, historyk z Uniwersytetu w Exeter, autor książek o II wojnie światowej.

– Natomiast *blitz spirit* [duch bitwy o Anglię – red.] to wymyślony koncept, który miał dać zwykłym ludziom przykład postawy, do jakiej mogliby aspirować – uważa Overy. – Był w tym także cień fatalizmu, np. w czasie nalotów niektórzy zostawali w łóżkach zamiast zejść do schronu. Tak jak dziś niektórzy nie słuchają zaleceń, by pozostać w domu.

– Moje pokolenie wychowało się na wojennych filmach, pokazujących chwałę Brytanii. *Blitz spirit*, „duch Dunkierki", czyli coś, do czego odwołuje się teraz premier, mamy mocno wdrukowane – przyznaje Richard Washington. – Jednak ten „duch Dunkierki" zderzył się właśnie z realiami, czyli zachowaniami bardzo indywidualistycznymi.

– Jest też coś jeszcze – dodaje politolog. – To przekonanie, że nie można przyznać się do lęku. Czyli czujemy lęk, ale się nie przyznamy. Posiedzimy na plaży, ale jednocześnie ogołocimy sklepy. Takie zderzenie retoryki i rzeczywistości prowadzi do moralnej sprzeczności. Teraz musimy okazywać solidarność społeczną, to najważniejsze. Odwoływanie się do symboli wojennych tego nie zastąpi.

Overy zgadza się, że nie pora dziś na odwoływanie się do II wojny światowej: – Wtedy miało to podtrzymać morale, ale to nie ma żadnego związku z obecnym kryzysem. To nie wojna!

Dodaje jednak: – Brytyjczycy czują opór, by stosować się do regulacji rządowych. Europa ma zaś długą tradycję biurokratycznej kontroli i reguł, dla Europejczyków słuchanie władz jest racjonalnym zachowaniem. Tu ludzie zaczną wykazywać się rozsądkiem dopiero, gdy będzie jasne, że umrą tysiące.

Czy ten moment nadchodzi? Według ośrodka YouGov ponad 90 proc. Brytyjczyków popiera wprowadzone ↦

W miejscu publicznym nie wolno przebywać w grupie większej niż dwie osoby. Na placu Trafalgar Square, Londyn, 24 marca 2020 r.

↦ przez premiera obostrzenia. W tym aż 76 proc. popiera zdecydowanie.

Rzecz o nadziei

Co dalej? – To początek. Nikt nie wie, w jakim stanie będzie kraj, Europa i reszta świata, gdy to się skończy. Może Wielkiej Brytanii nie będzie już wtedy stać na brexit. Może wzmocnią się regionalizmy. W Szkocji po raz pierwszy szefowa lokalnego rządu wystąpiła z orędziem zaraz po brytyjskim premierze – zastanawia się Washington.

– Nie wiemy, jak wirus rozprzestrzeni się na Wyspach, ale nie myślę, aby u nas był to moment o fundamentalnym znaczeniu historycznym. Co innego w Chinach czy we Włoszech – prof. Overy zachowuje spokój.

– Od arogancji i ignorancji przeszliśmy jako społeczeństwo do powagi. Jest inna atmosfera. Widać, kto jest kluczowym pracownikiem: to ci, którzy rozkładają towary na sklepowych półkach. Oni podtrzymują funkcjonowanie społeczności. Ciekawe odwrócenie hierarchii – mówi Tom Piotrowski.

Potem przysyła kilka zdjęć. Jego żona Stacey codziennie stara się pobiegać wzdłuż rzeki. Ostatnio ludzie przyczepiają tam do drzew np. rysunki. Galeria na powietrzu, namiastka muzeum. – Takie pocieszające gesty – mówi Tom.

Do jednego z drzew przyczepiono kartkę w plastikowej koszulce. Ktoś przepisał na niej wiersz Emily Dickinson o nadziei. Jego fragment brzmi tak:

„Nadzieja" jest tym upierzonym
Stworzeniem na gałązce
Duszy – co śpiewa melodie
Bez słów i nie milknące –

W świście Wichru – brzmi uszom
najsłodziej –
I srogich by trzeba Nawałnic –
Aby spłoszyć maleńkiego ptaka,
Co tak wielu zdołał ogrzać i nakarmić.

W miniony piątek, 27 marca, premier Johnson poinformował, że jest zakażony koronawirusem i przebywa w izolacji na Downing Street.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

Wiersz w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka

Zbrodnia i skrucha

TEKST I ZDJĘCIA NATALIA OJEWSKA Z RWANDY

26 lat temu w Rwandzie ludzie Hutu zabili prawie milion swoich sąsiadów Tutsi. Oto opowieść o zwykłych kobietach, które brały w tym udział. Oraz o próbie pojednania.

Odette Mukankusi pamięta każdy szczegół tamtego czwartkowego poranka, 7 kwietnia 1994 r. Była ósma rano. Nie zdążyła przygotować śniadania, gdy bracia jej męża spostrzegli dym z komina ich sąsiada, Patrice'a Nyirinkindi.

– Zastanawialiśmy się, skąd ten dym. Myśleliśmy, że wszyscy Tutsi z naszej wioski uciekli dzień wcześniej. Gdy zdecydowałam się dołączyć do szwagrów, którzy poszli do domu Patrice'a sprawdzić, co się dzieje, wiedziałam, że jak go znajdziemy, oni go zabiją – opowiada mi Odette.

Zastali Patrice'a z czwórką dzieci. Powiedział, że został, bo nie zrobił żadnemu Hutu krzywdy i nie ma powodów, by uciekać. Jeden ze szwagrów Odette wyciągnął maczetę. Patrice i jego 10-letnia córka nie mieli szans, zginęli od ciosów zadanych przez mężczyzn. Trójka dzieci rzuciła się do ucieczki. Dwojgu się udało, ale zabójcy dopadli starszą dziewczynkę, Kantaramę. Nie wiedzieli, że ich ciosy nie były śmiertelne. Kantarama ocalała.

Sprawcy zostawili ciała Patrice'a i córki w ich domu. Nie pomyśleli, by je pochować.

– Byłam na miejscu zbrodni. To ja podżegałam i zachęcałam ich do morderstwa. Myślę, że gdyby mnie z nimi nie było, to nic by się im nie stało – mówi Odette. – Ale wszyscy byliśmy przekonani, że Tutsi są naszymi wrogami. Został wydany rozkaz, że wszyscy oni muszą zginąć. Wierzyłam, że trzeba ich zabić.

Odette, dziś 60-letnia, wspomina liczne wieczory spędzane wcześniej z Patrice'em przy piwie bananowym. W tych spotkaniach nie było jednak szczerości. Odette z mężem byli skromnymi rolnikami, uprawiali sorgo, fasolę i kassawę.

– Zabiliśmy Patrice'a, aby przejąć jego ziemię – wyznaje Odette. Wychodząc wtedy od sąsiada, ukradła worek ziemniaków. W domu obrała je i ugotowała obiad dwójce swoich małych dzieci. – Nie czułam nic – mówi spokojnie i powoli. – Po prostu zjadłam ziemniaki. Nie myślałam o tym, co się stało.

Szwagrowie nie poprzestali na tym, tygodniami polowali na Tutsi, po czym zdawali sobie wzajemnie relacje, kogo i jak zabili. – Byliśmy szczęśliwi, że zamordowaliśmy wszystkich Tutsi. Świętowaliśmy, że pozbyliśmy się tych karaluchów – Odette wskazuje palcem na ziemię, jakby dostrzegła wrogiego insekta z przeszłości.

Nie będziesz miał litości

W ciągu stu dni, między 6 kwietnia a 15 lipca 1994 r., mała Rwanda – kraj w Afryce środkowowschodniej, liczący dziś 12 mln mieszkańców – utonęła w powodzi masowych i systematycznych pogromów, w których zginęło około miliona niewinnych ludzi. Ludobójstwo to było apogeum polityki podziałów między plemionami Hutu oraz Tutsi, zasianej jeszcze przez belgijskie rządy kolonialne.

Zanim Belgowie przejęli tu władzę, Hutu (ubożsi i trudniący się rolnictwem) i Tutsi (majętniejsi, bo hodujący trzodę) postrzegali siebie jak dwie klasy społeczne. Powszechne były małżeństwa mieszane, a różnice między obiema grupami definiowała jedynie liczba posiadanych krów. Belgowie uznali, że kluczem do rządzenia Rwandą jest sojusz z lokalną społecznością. Na sprzymierzeńców wybrali Tutsich: w zamian za współpracę nagradzali ich przywilejami, pozwalającymi im na wykorzystywanie Hutu. Wprowadzone w 1933 r. karty identyfikacyjne pogłębiły etniczny podział. Ci Hutu, którzy się wzbogacili o krowy, nie mogli już – jak wcześniej – awansować do grupy Tutsi. Przez dekady narastało w nich poczucie ujarzmienia.

Ich sytuacja zmieniła się diametralnie wraz z proklamowaniem niepodle-

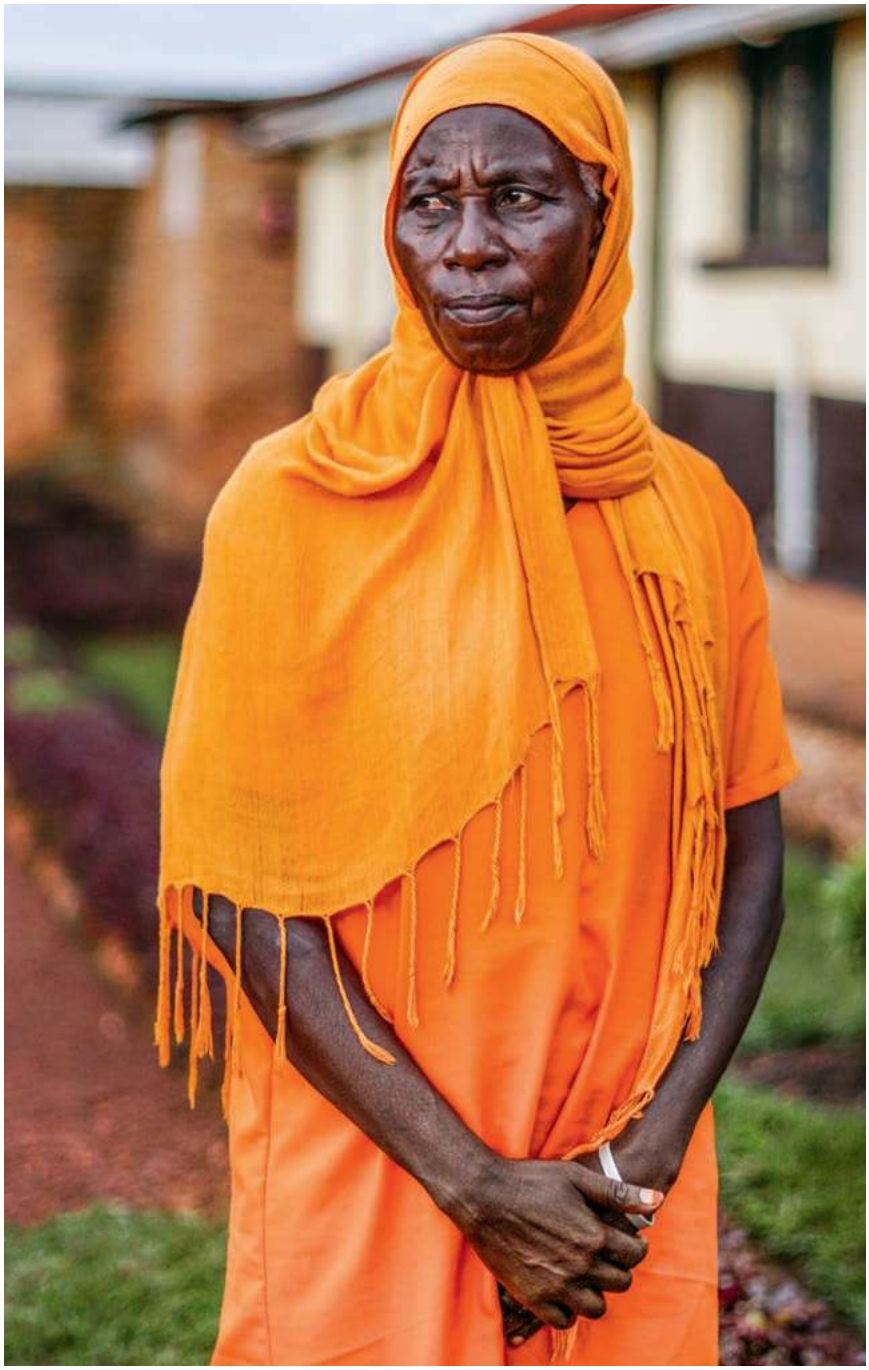

Fortunate Mukankuranga w więzieniu w Ngomie, marzec 2020 r.

głości w 1962 r. Świadomi, że Tutsi jako mniejszość nie mogą wygrać wyborów i rządzić, Belgowie wsparli teraz Hutu, by nie stracić wpływów. Utworzony przez Hutu jednopartyjny rząd przyjął rasistowską retorykę, nawołującą do eliminacji Tutsich. Szerzyły ją gazety i stacje radiowe: wzywano Hutu, by bronili Rwandy przed inwazją *inyenz*, karaluchów (jak nazywano Tutsich). Opublikowane „10 przykazań Hutu" piętnowało jako zdrajcę każdego, kto okaże litość.

Zabijcie ich wszystkich

6 kwietnia 1994 r. nieznani sprawcy zestrzelili samolot Falcon 50, gdy podchodził do lądowania w Kigali. Na pokładzie był prezydent Juvénal Habyarimana, wywodzący się z Hutu. Prezydent zginął, a ekstremiści Hutu oskarżyli Tutsich o dokonanie zamachu. Kontrolowana przez rodzinę Habyarimany stacja Radio Mille Collines (nadająca od lat rasistowskie audycje) ogłosiła, że czas, by zabić wszystkich Tutsi.

Ekstremiści Hutu, należący do paramilitarnych bojówek Interahamwe (powołanych przez nacjonalistyczną partię Habyarimany), opanowali miasta i wioski. Zapędzali Tutsich do kościołów, dających złudzenie bezpieczeństwa, blokowali drzwi i wrzucali granaty. Inni Tutsi ginęli od ciosu maczetą. Ponieważ wielu udało się zbiec, rutyną codzienności stały się polowania: mordercy wyruszali na nie o świcie i kończyli je po południu, by potem gromadzić się na wspólnych kolacjach przyrządzanych z tego, co zrabowano.

Okaleczone zwłoki porzucano na miejscach zbrodni, wrzucano do rowów i rzek. Jakieś 40 tys. ciał, wrzuconych do rzeki Kagera, pokonało ponad 100 km i dopłynęło do Jeziora Wiktorii. Przerażeni ugandyjscy rybacy wyławiali je potem tygodniami.

Rzezie zatrzymał Rwandyjski Front Patriotyczny, dowodzony przez obecnego prezydenta Paula Kagame (wywodzącego się z Tutsich), który obalił rząd Hutu i przejął władzę.

Dziewięć tysięcy skazanych

W trakcie wojen kobiety zwykle są ofiarami. Także gdy Rwandyjczycy rozmawiają o zbrodniarzach, skazanych za ludobójstwo, mają przed oczami głównie mężczyzn. – To było niewyobrażalne w naszym społeczeństwie, by kobiety stały się sprawczyniami takiej zbrodni. Postrzegaliśmy je jako gospodynie, matki. W patriarchalnym kraju sprzed roku 1994 kobiety były sercem ogniska domowego – mówi Regine Abanyuze, która pełni funkcję rejonowej doradczyni w pozarządowej organizacji Never Again Rwanda, która działa na rzecz pojednania.

Jednak w rzeziach brały udział także kobiety. Matki, żony i siostry, które nie miały szans zdobyć choćby podstawowej edukacji, nie kwestionowały retoryki degradującej ich sąsiadów. Gdy Radio Mille Collines zmobilizowało słuchaczy, kobiety Hutu dołączyły do pogromów kierowanych przez mężczyzn. Ponad 9 tys. z nich zostało później skazanych za udział w ludobójstwie, zwykle na długie lata więzienia.

Kobiety także podżegały swoich mężów. Gotowały im, nosiły wodę, z dumą uczestniczyły w wieczornych ucztach, celebrując śmierć Tutsich. Grabiły mienie sąsiadów. – Wiele brało udział w ludobójstwie ze strachu: odmawiając, także straciłyby życie. Ale były też kobiety, które aktywnie szukały ocalałych z rzezi, aby ich zgładzić – mówi Regine Abanyuze. ↦

Przedszkole dla dzieci więźniarek przy więzieniu w Ngomie, marzec 2020 r.

Martha i Stanislus

Martha Mukamushinzimana, matka piątki dzieci, latami nosiła w sobie ciężar zbrodni. Wreszcie, w 2009 r., postanowiła donieść sama na siebie.

– Poranek był chaotyczny – Martha wspomina tamten dzień. – Gdy wróciłam do domu z wodą ze studni, atmosfera na ulicach była napięta. Słyszałam krzyki. Mieszkałam koło kościoła i widziałam, jak moi sąsiedzi Tutsi byli do niego zaganiani.

Setki ludzi, stłoczonych w katolickim kościele w maleńkiej miejscowości Nyamasheke, walczyło o przeżycie prawie tydzień. Świątynię nad jeziorem otoczył tłum rozjuszonych mężczyzn Hutu, z maczetami, granatami i strzelbami.

53-letni Stanislus Kayitera jest jednym z nielicznych ocalałych z tej rzezi. Na przedramieniu ma wielką bliznę po odłamkach granatu. Gdy opowiada, jak razem z innymi Tutsi zbierali kamienie do obrony – wiedząc, że i tak nie mają szans – jego głos cichnie, a wzrok zastyga.

– Było nas tak wielu, wewnątrz i na zewnątrz kościoła, że lokalni przywódcy Hutu i żandarmi zwołali spotkanie, by zaplanować, co z nami zrobić. Najpierw lali na nas benzynę i podpalali. Potem rzucali granaty i strzelali – wspomina pustym głosem. – Pamiętam kobiety Hutu znoszące mężczyznom kamienie. W końcu wpadli do kościoła, mordując wszystkich maczetami i kijami.

Stanislus przeżył, bo ukrył się pod ciałami. Bezsilnie patrzył na śmierć swoich sześciu braci i dwóch sióstr.

Z dzieckiem na plecach

Wśród kobiet, które wtedy znosiły kamienie dla morderców, była Martha. Dwa tygodnie wcześniej urodziła drugie dziecko, ale tłum pod wodzą bojówek Interahamwe potrzebował każdej pary rąk. Padł rozkaz, że każdy Hutu ma pomagać.

– Uwiązałam chustą dziecko na plecach i dołączyłam do grupy kobiet zbierających kamienie. Wciąż czułam silny ból poporodowy. Dałam radę zebrać kilka i wróciłam do domu. Dopiero tu ogarnął mnie lęk i bezsilność – opowiada Martha. – Zabicie człowieka nie kończy się z chwilą jego śmierci. Musisz ponieść odpowiedzialność. I ja to teraz robię. Skrzywdziłam Boga, skrzywdziłam Rwandyjczyków i skrzywdziłam moje dzieci – mówi cichym smutnym głosem.

Gdy zabierali ją do więzienia, jej mąż już odsiadywał karę za udział w ludobójstwie. Ich piątką dorastających dzieci nie zajął się nikt. Nie był to wyjątek, lecz powszechna reakcja społeczeństwa, pogrążonego w traumie i wzajemnej nieufności. Nikt nie chciał się przyznać, że w jego rodzinie są skazani za ludobójstwo.

Najstarsza z córek Marthy zrezygnowała ze szkoły i poszła do pracy, by utrzymać rodzeństwo. Dzieciom zostały tylko wspomnienia mamy, jak prowadziła je do szkoły i pomagała odrabiać zadania domowe. – Będziemy szczęśliwi, jeśli wróci do domu. Gdybyśmy dostali wiadomość, że wraca do nas już jutro, zabralibyśmy się zaraz za sprzątanie domu – mówi mi z nieśmiałym uśmiechem Marie Clair, 20-letnia dziś córka Marthy.

Martha Mukamushinzimana i Stanislus Kayitera, marzec 2020 r.

Jak przepraszać, jak wybaczać

Kobiety, które wychodzą na wolność, wracają do innego świata. Ich rodzime społeczności nie witają ich z otwartymi ramionami – mimo upływu 26 lat, rany ocalałych są głębokie i goją się powoli. Zresztą ich mężowie często mają już inne żony. Nie mają też domów, bo ziemia i nieruchomości są tu zapisywane na mężczyzn. – Nawet jeśli prosiły swoje ofiary i ich rodziny o wybaczenie i je otrzymały, one i tak muszą zrobić coś ponad to, aby im udowodnić, że się zmieniły i można im zaufać. Kobietom jest trudniej zintegrować się i pojednać ze swoją społecznością, bo są postrzegane tak, że powinny być sercem rodziny, a nie zbrodniarkami – mówi Regine Abanyuze.

Martha nie wie jeszcze, co ją czeka po powrocie do rodzinnej wioski. Nie wie, czy w jej domu znów zagości śmiech. Uczestniczy w programach więziennych, których celem jest pomóc jej zbudować więź z najbliższym otoczeniem.

Stanislus mówi, że jest dziś gotów powitać i przytulić Marthę. Zaznacza, że potrzebował wielu lat, by nauczyć się wybaczać sąsiadom. – Na początku wszyscy byliśmy ostrożni, zdawało się nam, że każdy Hutu to zbrodniarz. Ale dzięki procesom „gacaca" dowiedzieliśmy się, że tak nie jest. Udało nam się poznać prawdę o śmierci bliskich. Oprawcy poprosili nas o wybaczenie. Proces pojednania nie wydarzył się więc w jeden dzień, lecz składał się z wielu etapów – mówi Stanislus.

Kobietom jest trudniej

Po 1994 r. rwandyjskie więzienia zapełniło ok. 120 tys. podejrzanych o udział w zbrodniach. Aby udźwignąć tak ogromną liczbę aresztowanych, rząd za-

decydował, że o ich winie rozstrzygną sędziowie tradycyjnych sądów „gacaca”.

– Stworzyliśmy trzy kategorie zbrodniarzy. Pierwsza to gwałciciele i ci, którzy planowali ludobójstwa. W drugiej są mordercy i wszyscy ci, którzy odmówili przyznania się do swych win, bez względu na to, czy byli oskarżeni o kradzież, czy zabójstwo. Trzecia przewidziana jest dla tych, którzy grabili, i dla tych, którzy zdecydowali się publicznie przyznać do winy – wyjaśnia Fidele Ndayisaba, sekretarz wykonawczy Narodowej Komisji Jedności i Pojednania.

Doświadczenie minionych lat pokazuje, że kobietom, świadomym przypisanej im roli matki i ostoi rodziny, jest dużo trudniej niż mężczyznom przyznać przed samymi sobą, że są winne ludobójstwa. – Czas. On jest najważniejszym narzędziem, jakiego używamy przy pracy nad rehabilitacją kobiet. Czas jest ważny, aby z nimi usiąść i słuchać ich, aby krok po kroku pomóc im osiągnąć taki etap, gdy będą gotowe wyznać winy – tłumaczy Gracy Ndawanyi, dyrektorka więzienia dla kobiet w miejscowości Ngoma na południu kraju.

Zabiłam rodziców jakichś dzieci

Gdy w kwietniu 1994 r. Fortunate Mukankuranga podniosła kij i dołączyła do grupy Hutu, która zakatowała dwóch mężczyzn Tutsi, była matką siedmiorga dzieci. Gdy opuściła miejsce zbrodni, wiedziała, że jej życie zmieniło się na zawsze. Mówi, że wiedziała już, iż nigdy nie zapomni twarzy ofiar. – Wróciłam do domu w poczuciu wstydu. Zastanawiałam się, jak miałabym przyznać się mojej rodzinie do tego, co zrobiłam? Jestem matką. Zabiłam rodziców jakichś dzieci. Moje serce nigdy nie zazna spokoju – mówi mi 70-letnia dziś Fortunate. Głos ma spokojny. Gdy opowiada o przeszłości, jej szczupła postać wydaje się zanikać.

Jakiś czas potem do domu Fortunate przybiegło dwoje przerażonych dzieci Tutsi, których rodziców właśnie zabito. Fortunate nie wahała się: do końca rzezi ukrywała na strychu 7-letniego chłopca i 10-letnią dziewczynkę. – Ich rodzice byli moimi przyjaciółmi. Nie było powodu, abym im nie pomogła. Raz zamieniłam się w potwora i postanowiłam, że nie pozwolę, aby to się powtórzyło – opowiada.

Długo skrywała swój udział w morderstwie. W 2007 r. znaleźli się świadkowie, którzy zeznali, że widzieli ją na

Odette Mukankusi, marzec 2020 r.

miejscu zbrodni. Podczas procesu Fortunate zaprzeczała. Została uznana winną i osadzona w więzieniu w Ngomie. Dopiero cztery lata po wyroku przyznała się przed rodziną i ocalonymi dziećmi Tutsi, że jest morderczynią. – Chciałam za wszelką cenę utrzymać mój wizerunek dobrej osoby. Ale im dłużej chowałam w sobie straszną tajemnicę, tym większy sprawiała mi ona ból. Któregoś dnia zdałam sobie sprawę, że moi najbliżsi muszą dowiedzieć się prawdy ode mnie – mówi dziś.

Czuję się oczyszczona

Fidele Ndayisaba z Narodowej Komisji Jedności i Pojednania podkreśla, że wyznanie win i otrzymanie przebaczenia od rodzin ofiar to kluczowe elementy pojednania, bo ludobójstwo odziera z człowieczeństwa nie tylko zbrodniarzy, lecz całe społeczności dotknięte ich zbrodniami.

– Proces pojednania jest długi i dla każdego indywidualny. Publiczne przyznanie się do win nie jest łatwe, ale zaczyna proces przemiany i odrzucenia ideologii nienawiści. Nie można jednak nikogo zmusić, aby się przyznał. Zawsze znajdą się jednostki, które wciąż wierzą w propagandę Hutu. Na szczęście jest ich coraz mniej – mówi Ndayisaba.

Był rok 2009, gdy podczas lokalnych sądów „gacaca” Kantarama – ocalała córka Patrice’a – rozpoznała Odette jako jedną z osób, które brały udział w zabiciu jej ojca. Podczas procesu Odette zaprzeczała. – Uważałam, że jedyną winę, jaką mogę na siebie wziąć, to kradzież ziemniaków. Ponieważ odmówiłam przyznania się do winy, zostałam skazana na 15 lat więzienia – wspomina.

Odette odsiaduje wyrok w więzieniu w Nyamagabe na południu Rwandy.

Przez 25 lat od dnia zbrodni w jej oczach Patrice nie był sąsiadem i ojcem czwórki dzieci. Był odartym z człowieczeństwa karaluchem i wrogiem Hutu, którego należało wyeliminować.

W 2019 r. Odette skorzystała z możliwości złożenia wniosku o wcześniejsze zwolnienie. Dlatego też postanowiła wziąć udział w programie rehabilitacyjnym, zachęcającym zbrodniarki do publicznego przyznania się do win i poproszenia rodzin ofiar o wybaczenie.

Kantarama jej wybaczyła. Odette liczy, że służby więzienne odniosą się przychylnie do jej wniosku i uda jej się niebawem wrócić do Kavumu, rodzinnej wioski. – Jeżeli moi sąsiedzi nie będą chcieli ze mną rozmawiać, będę musiała to zaakceptować – mówi. – Ale ja wybaczyłam sobie samej tę nieludzką zbrodnię. Czuję się wolna w moim sercu. Oczyszczona.

© NATALIA OJEWSKA

POŻEGNANIE

Z głębokim smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Pani Profesor

Ewy Macias

Znakomitej polonistki w XIV Liceum Ogólnokształcącym
im. Stanisława Staszica w Warszawie,
nauczycielki barwnej, błyskotliwej i stanowczej,
której motto „uczciwość przede wszystkim”
prowadzi nas przez dorosłe życie.

Wyrazy głębokiego współczucia
Rodzinie i Bliskim składają

ABSOLWENCI KLASY MATEX 2007 A

ANDRZEJ

Stasiuk:
Nekrolog dla Limonowa

W nocy spadł śnieg. Północny wiatr goni białe tumany po łące. Ale słońce prześwieca od czasu do czasu przez chmury i cienka warstwa bieli ustępuje. Wychodzi burozielone. Prześwieca ziemia nagrzana przez ostatni tydzień. Zeszłoroczne trawy już chrzęściły pod stopami. Już było czuć ten suchy zapach, gdy ciepłe powietrze zaczyna falować w bezwietrznej pogodzie. No ale spadł i trzeba wszystko zaczynać od początku. To leniwe, senne przebudzenie świata. Ten niezauważalny, lecz nieustępliwy przyrost barw. I światłość, z każdym dniem coraz wyższa, aż do czasu, gdy cienie drzew zbiegną się w czarne, gęste plamy u ich stóp.

Czasem wydaje mi się, że można tak spędzić życie: patrząc, jak zmieniają się pory roku i pogody. Jak zmienia się upierzenie ptaków. Jak spada wilgoć i potem unosi się w przestworza, formuje w chmury i znowu opada. To jest naiwna wizja, ale mnie pociąga. Nie da się jej zrealizować, ale niesie w sobie coś w rodzaju pociechy. Bo przecież nigdy nie pozbędziemy się podejrzenia, graniczącego niekiedy z pewnością, że innego świata nie będzie. Że dni w końcu zgasną, a nasze zmysły stępieją, wyschną na wiór na wieki wieków. I będziemy żałować, że nie daliśmy światu szansy, na jaką zasługiwał. Chociażby z tego względu, że pozwolił nam na istnienie. Niewdzięczność jest paskudną cechą. Tak samo jak marnotrawstwo darów. Tak, wiem, to jest styl księży oraz kaznodziejski. Pocieszam się tym, że używam go jednak w sprawie co najmniej pogańskiej oraz niepopularnej.

No bo co to jest za propozycja, żeby usiąść na tyłku i patrzeć, jak paruje woda? Patrzeć, jak się robi jaśniej, a potem ciemniej. Czekać, aż się zrobi ciepło, żeby zaraz się ochłodziło. I w dodatku utrzymywać, że niczego innego nie będzie, i to jest jedyna nasza szansa na istnienie, w jako takiej zgodzie z naturą wszechrzeczy. Z drugiej strony, wydaje mi się, że to jest dość tania, nieinwazyjna i mało mordercza propozycja w porównaniu z innymi ofertami, z których ludzkość korzysta od tysiącleci.

Ale tak naprawdę to piszę coś w rodzaju nekrologu. Kilka dni temu umarł Eduard Limonow. Miał 77 lat. Można rzec śmiało, że niezły był z niego skurwysyn. Literacki, społeczny, polityczny. Właściwie przez całe życie nie mógł się zdecydować, czy chce być pisarzem, świętym, wodzem rewolucji czy gwiazdą popkultury. Chwalił się na prawo i lewo. Na przykład tym, że chciał zastrzelić Kurta Waldheima, że właściwie miał go już na muszce sztucera podkradzionego amerykańskiemu milionerowi. Zamieniał swoje życie w literaturę, żeby wystrychnąć wszystkich na dudków i nie brać za nic odpowiedzialności. Z drugiej strony, tłukł się po zakamarkach „rosyjskiej duszy" jak marek po piekle. Z trzeciej, poszedł na ładnych parę lat do putinowskiego więzienia, bo nienawidził każdej władzy z całkowitą wzajemnością. Z czwartej, marzył mu się jednak rząd dusz i przewrót, który zbawi wszystkich skrzywdzonych i poniżonych. Zwłaszcza tych, których osierocił Związek Radziecki. Z piątej, strzelał z cekaemu w stronę oblężonego Sarajewa, bo uważał, że zawsze trzeba stawać po stronie słabszych, czyli w tym przypadku Serbów, którzy są sami przeciw reszcie świata. Z szóstej, siódmej, ósmej... Można by jego życiem obdzielić z dziesięciu pisarzy, a i tak by jeszcze sporo pozostało.

Nic dziwnego, że kulturalny francuski intelektualista Emmanuel Carrère napisał o nim parę lat temu książkę. Coś pomiędzy fabularyzowaną biografią a powieścią. Na ostatniej stronie Limonow podczas udzielanego wywiadu pyta autora: „Zna pan Azję Środkową?". A potem zwierza się, że chciałby umrzeć jako żebrak w cieniu meczetu. Wpatrując się w azjatycką pylistą pustkę. Albo w ciemność, bo niektórzy żebracy są ślepi. I nawet jeśli jest to zmyślenie autora, albo – co bardziej prawdopodobne – samego Limonowa, to jest to zmyślenie bardzo piękne.

Następnego dnia po śniegu nie ma już śladu. Wiatr z północnego zmienił się na południowy. Pejzaż jest ten sam. Uherec zamyka dolinę. Popołudniowe światło srebrzy nagie pnie olch. Kwitnie na żółto iwa. Tylko tyle, Drodzy Państwo. Tylko tyle. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy na „Lekcje czytania"

Rozpoczynamy nowy cykl

DOMOWE LEKCJE CZYTANIA

W ramach „Domowych lekcji czytania" będziemy rozmawiać o literaturze, która jest niezbędnym elementem dobrego życia. Jak czytać, żeby lepiej myśleć i działać?

Jeśli chcecie się dowiedzieć, **zapraszamy w każdą środę o godzinie 12.00.**

W najbliższą środę 1 kwietnia czytamy i rozmawiamy o opowiadaniu „Pasażer" Olgi Tokarczuk z tomu „Opowiadania bizarne". Spotkanie poprowadzi GRZEGORZ JANKOWICZ.

Zapraszamy do uczestnictwa w transmisji na żywo na /LekcjeCzytania

Fundacja Tygodnika Powszechnego potrzebuje Państwa wsparcia. Bezpośrednich wpłat można dokonać pod adresem powszech.net/dar przez FaniPay. Dziękujemy!

„TP" 11/2020

Było jeszcze Kocborowo

Piszę w związku z artykułem Stanisława Zasady pt. „Eliminacja". Jest to opis tragedii ludzi upośledzonych intelektualnie i fizycznie w latach II wojny światowej. Dla III Rzeszy istnienie takich osób nie mieściło się w ramach „czystego rasowo, zdrowego fizycznie i na umyśle" narodu. Swój tekst Zasada rozpoczyna od historii Zakładu w Kościanie. W artykule znalazł się akapit, w którym autor wymienia inne szpitale, objęte działaniami w ramach „Aktion T4": „Szpital w Owińskach, Dziekanka koło Gniezna, Kościan, Warta, dom starców w Śremie, szpital psychiatryczny w Działdowie – razem 10 tys. pacjentów. Tylu wymordowali w Kraju Warty i Prusach Wschodnich esesmani Langego". Autor pisze o Działdowie i Prusach Wschodnich. Nie wymienia jednak tak znaczącego na tej mapie martyrologicznej Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Kocborowie koło Starogardu Gdańskiego. Od 29 listopada do 20 grudnia 1939 r. w tym miejscu wymordowano 2342 osoby. Jeśli ktoś oglądał film „Kamerdyner", to jedna z ostatnich scen rozgrywa się w lesie, do którego zostają przywiezieni chorzy. Nieświadomi swego losu, zostają zamordowani. Scena ta łączy zresztą w sobie jeszcze dwa inne miejsca masowych mordów na ludności pomorskiej, kaszubskiej i kociewskiej, przede wszystkim inteligencji, duchownych, a także osób zaangażowanych w ruch na rzecz jedności Kaszub i Pomorza z Polską. Pierwsze to Piaśnica koło Wejherowa: rozstrzeliwania trwały w tamtejszym lesie od początku października 1939 r. do kwietnia 1940 i objęły od 12 do 14 tys. osób. Drugie to lasy wokół Szpęgawska na Kociewiu (okolice Starogardu Gdańskiego), gdzie od września 1939 do stycznia 1940 r. zamordowano od 5 do 7 tys. osób. A to tylko te największe, najbardziej znane... Zdaję sobie sprawę, że ograniczone ramy artykułu nie pozwoliły na pełną prezentację tematu. Dlatego pozwalam sobie na uzupełnienia.

ANDRZEJ

„TP" 13/2020

Zamieszczane w wydaniu papierowym oraz na stronie internetowej publikacje „TP" na temat edukacji i pracy zdalnej w czasie kwarantanny sprowokowały dziesiątki reakcji Czytelników. Oto niektóre z głosów:

~Ltanas: W szkołach „drugiej prędkości" edukacja jest całkowicie udawana. Przynajmniej na dzień 25 marca. Wiele szkół udaje, że lekcje trwają, tylko teraz prowadzą je rodzice zamiast nauczycieli. Rodzice otrzymują mailem pakiety, które następnie mają za nauczycieli zrealizować.

~Natin: To nie jest problem narzędzi, ale realnych możliwości, jednolitego oprogramowania, wieku odbiorców oraz dostępu. Nasycenie w sprzęt IT nie jest powszechne, a na pewno jeden komputer nie przypada na jednego ucznia w rodzinach mających więcej niż jedno dziecko.

~Hanna: Co rząd i MEN przez dwa miesiące zrobili, by nauczanie zdalne było możliwe? Zamiast unowocześniać szkoły, likwidowali gimnazja. Generując w ten sposób koszty utrzymania szkół i pogarszając – poprzez podwójny rocznik – warunki ich funkcjonowania, zwiększając liczbę klas, doprowadzając do rotacji nauczycieli. Mnóstwo pieniędzy, zamiast być zainwestowanych w poprawę jakości nauczania i kształcenie nauczycieli, zostało przejedzonych przez urzędników z nadania PiS-u.

Autorzy opublikowanych listów dostaną od nas notes TUROWICZ na 75-lecie.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA NA OKŁADCE: WOJTEK KWIECIEŃ-JANKOWSKI

PREMIERA!

Piszą: Brzeziński, Dukaj, Jagielski, Kuźmiński, Lamża, Lem, Napiórkowski, Ochędowska, Okoński, Prusak, Rabij, Tischner, Turowicz, Żyła

Wydanie jubileuszowe na 75-lecie „Tygodnika Powszechnego"

„Raport z przyszłości" dostępny w sklepach z dobrą prasą i jako e-wydanie na powszech.net/raport

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

HISTORIA

BIAŁE PLAMY, CZERWONE PLAMY

Putinowska Rosja coraz bardziej zapętla się w kłamstwach historycznych. Narzucana przez Kreml wizja przeszłości służy celom politycznym – także w potyczkach z Polską.

ANNA ŁABUSZEWSKA

JERZY DUDEK / FORUM

Założenie podstawowe jest proste: aktualnie uznana za kanoniczną wersja historii ma być jednym z filarów wiecznego trwania rządów Władimira Putina, a zwycięstwa minionych epok mają opromieniać skroń władcy. Zgodnie z poprawkami, wnoszonymi właśnie do konstytucji, nikt nie ma prawa znieważać pamięci obrońców i pomniejszać znaczenia bohaterstwa narodu rosyjskiego broniącego ojczyzny.

Wojna o pamięć będzie więc trwać. Elementy, które nie pasują do monumentalnego batalistycznego płótna Wielkiego Imperium, mogą zostać usunięte.

Ministerstwo prawdy historycznej

W ramach nowelizacji, w artykule 67. konstytucji ma znaleźć się następujące sformułowanie: „Federacja Rosyjska czci pamięć obrońców Ojczyzny, zapewnia obronę prawdy historycznej. Pomniejszenie znaczenia bohaterstwa narodu w obronie Ojczyzny jest niedopuszczalne".

Historia jest w centrum uwagi rosyjskich władz nie po raz pierwszy. Ale po raz pierwszy zapis o obronie sformułowanej przez władze wykładni wydarzeń historycznych zostanie ujęty w ustawie zasadniczej. Mgliste pozostają sposoby egzekwowania tych przepisów: kto ma określać sankcje za ich złamanie, a także kto ma wyznaczać, co jest tym złamaniem, a co nie jest. Jak również – co znaczy „prawda historyczna" i kto ma ją ustalać?

Przymiarki do nałożenia kagańca na badania historyczne trwają w Rosji od dawna. Działania te nasiliły się zwłaszcza w ostatniej dekadzie. Weźmy taki przykład: w maju 2009 r. ówczesny prezydent Dmitrij Miedwiediew powołał z wielką pompą komisję ds. przeciwdziałania fałszowaniu historii na szkodę Rosji. Członkowie komisji mieli przeciwstawiać się kampaniom, które wypaczają historię w sposób dla Rosji krzywdzący. Pod tym dziwnym pojęciem rozumiano walkę m.in. z twierdzeniami o zbrodniczym charakterze paktu Hitler-Stalin z 23 sierpnia 1939 r. albo o okupacji państw bałtyckich, a także z nowym wtedy zjawiskiem: z odmienną od rosyjskiej (de facto sowieckiej) wersją historii Ukrainy.

Nieomylne imperium

Komisja wiele nie zwojowała, istniała do 2012 r. – i bardziej na papierze, trochę tylko w mediach. Miedwiediew wystąpił więc wtedy z nową inicjatywą: ogłosił rok 2012 Rokiem Rosyjskiej Historii. Miało to przyciągnąć uwagę społeczeństwa „do roli Rosji w światowym procesie historycznym", pokazać wagę państwa rosyjskiego jako światowego mocarstwa.

Krytyczny wobec Kremla politolog Andriej Kolesnikow pisał wtedy: „Celem jest usprawiedliwienie historią dzisiejszego stanu władz, zapewnienie im prawa do rozdrapania pieniędzy. Kiedyś »Krótki kurs historii WKP(b)« [główna w Związku Sowieckim publikacja propagandowa o dziejach rosyjskiej, potem sowieckiej partii komunistycznej, wydana po raz pierwszy w 1938 r. – red.] miał uzasadnić, poprzez odpowiednią interpretację wydarzeń historycznych, władzę Stalina. W 2012 r., kiedy rosyjska historia budzi się, pozbywając się zaczadzenia ropą i gazem, najwyższy czas, aby zacząć podchodzić do historii w duchu wygodnym dla Putina".

Obecne zabiegi wokół wpisywania „obrony historii" do konstytucji też realizują aktualne cele: chodzi o stworzenie pozorów legitymacji rządów Putina, który uzurpuje sobie władzę na kolejne kadencje i buduje obraz Rosji jako nieomylnego imperium – takiego, którego narracji historycznej i minionych zasług nikt nie może kwestionować.

Premierzy Donald Tusk i Władimir Putin na obchodach 70. rocznicy zbrodni wymordowania polskich oficerów przez NKWD, Katyń, 7 kwietnia 2010 r.

Milczenie to też polityka

Kirił Szulika, profesor Uniwersytetu Europejskiego w Petersburgu, tak mówił niedawno w wywiadzie dla Radia Swoboda: „Każdy naród formułuje swoje wyobrażenia o przeszłości. Źle się dzieje, kiedy różnice między poszczególnymi stanowiskami są upolityczniane. Politycy lubią pracować na tym gruncie: pokazują, że oto wstrętni sąsiedzi obrażają naszą świętą pamięć o bohaterach. To wzbudza emocje, którymi można manipulować. I politycy tym właśnie się ze znawstwem zajmują. Ale to ślepy zaułek. Taka postawa może pomóc w realizacji krótkoterminowych celów, ale potem stwarza jeszcze więcej problemów". Szulika uważa, że w najnowszych „wojnach o pamięć" każda ze stron stara się nie tylko zakomunikować swoje stanowisko, ale także „zetrzeć na proch pamięć oponenta".

Czy jednak zawsze tak było? Popatrzmy na kilka znamiennych meandrów w historycznych potyczkach Polski i Rosji ostatnich dekad.

Od czasów II wojny światowej jednym z centralnych – jeśli nie w ogóle centralnym – punktem była w stosunkach dwustronnych kwestia zbrodni katyńskiej [patrz „TP" nr 10/2020 – red.]. W czasach PRL obowiązywało oficjalne stanowisko, że polskich oficerów zabili niemieccy okupanci w 1941 r. Kolejni sekretarze generalni sowieckiej partii komunistycznej unikali tego tematu jak ognia. Wieloletni gensek Leonid Breżniew wszelkie drażliwe sprawy historyczne wolał umieścić w lodówce i w ogóle ich nie poruszać.

Sprawa Katynia również do nich należała – w Polsce oficjalnie panowało milczenie, a nieoficjalnie wszyscy wiedzieli, że to zbrodnia NKWD; tak to też naświetlały publikacje dostępne w polskim niezależnym drugim obiegu. Tymczasem całując ogniście I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka, Breżniew dawał sygnał, że zależy mu na dobrych stosunkach z Warszawą bez odgrzebywania trudnych spraw z przeszłości, bez naruszania tabu. I tak to trwało przez lata.

Archiwa chwilowo uchylane

Szansa na przełamanie tego tabu zaistniała dopiero w 1987 r., w latach pierestrojki Michaiła Gorbaczowa. Kreml wyraził wtedy zgodę na powołanie dwustronnej komisji historyków ds. zbadania kwestii spornych. Na liście znalazły się m.in. zbrodnia w Katyniu (nazywana tak umownie, bo w ramach tej operacji zabijano nie tylko w lesie pod Smoleńskiem), wojna 1920 r., sekretne protokoły paktu Hitler–Stalin, deportacje obywateli polskich z okupowanych ziem wschodnich po 17 września 1939 r. itd.

Komisja przeszukała wtedy tzw. polski sektor archiwów Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, ale żadnych dokumentów dotyczących Katynia tam ↦

nie znaleziono. Prace komisji sprawiły natomiast, że w PRL zaczęła się otwarta dyskusja, w której dopuszczano już wersję sowieckiego autorstwa zbrodni.

W grudniu 1989 r. Zjazd Deputowanych Ludowych (odpowiednik parlamentu) potępił pakt Hitler–Stalin, co było zwiastunem przemian i bardziej otwartej polityki Związku Sowieckiego wobec dotychczasowych wasali. A do utajnionej części archiwów partyjnych i państwowych dostęp uzyskali ludzie – jak Aleksandr Jakowlew czy Walentin Falin – którzy uznali, że najwyższy czas na przewietrzenie historycznych brudów. Wśród tychże znaleziono dokumenty dotyczące zbrodni NKWD z 1940 r. na polskich jeńcach wojennych.

Jeszcze zanim na najwyższym szczeblu zapadły decyzje o zmianie kursu i ujawnieniu prawdy o Katyniu (oraz o innych przemilczanych sprawach historycznych), redagowana w duchu pierestrojki gazeta „Moskowskije Nowosti" zamieściła 21 maja 1989 r. artykuł Aleksandra Akuliczewa i Aleksieja Pamiatnycha pt. „Katyń. Potwierdzić czy zdementować". Potem były kolejne publikacje, m.in. profesor Natalii Lebiediewej, która przez wiele lat badała sprawę katyńską.

W 1990 r., podczas wizyty w Moskwie Wojciecha Jaruzelskiego (wówczas prezydenta), agencja TASS opublikowała historyczną depeszę, w której strona sowiecka przyznała się do zbrodni. Jaruzelski otrzymał od Gorbaczowa listy rozstrzelanych. Jednak tzw. „teczka numer jeden", znajdująca się w stojącej w gabinecie genseków kasie pancernej, pozostała nienaruszona.

Lody ruszyły i stanęły

Dopiero pierwszy prezydent Rosji Borys Jelcyn zdecydował w 1992 r. o wyciągnięciu tej tajnej teczki. Wśród dokumentów był protokół z 5 marca 1940 r. z podpisami Stalina i jego najbliższych współpracowników, w którym nakazywano egzekucję 22 tys. polskich jeńców i więźniów. Kopie tych dokumentów przekazano Polsce. Wkrótce też, podczas wizyty w Warszawie w 1993 r., Jelcyn złożył wieniec pod pomnikiem katyńskim na Powązkach. Kolejnym ważnym krokiem było podpisanie w 1996 r. porozumienia o utworzeniu w Katyniu miejsca pamięci.

W następnych latach Jelcyn – walczący o władzę i coraz bardziej schorowany – nie stawiał kwestii historycznych na pierwszym planie. Jeśli one go zaprzątały, były to sprawy związane z polityką wewnętrzną. W Moskwie plotkowano, że Jelcyn postawił sobie za cel uregulowanie dwóch zaszłości: chciał pochować szczątki rozstrzelanej przez bolszewików carskiej rodziny oraz wynieść z mauzoleum i też zwyczajnie pochować mumię Włodzimierza Lenina. Pierwszy cel zrealizował, drugiego już nie.

> Ewolucja poglądów Putina na tematy historyczne jest wskaźnikiem ewolucji politycznej przywódcy Rosji, który wojnę o pamięć **traktuje jako element walki o władzę.**

Jelcyn nie zabraniał historykom zajmowania się trudnymi tematami z przeszłości, nie sterował, nie wyznaczał granic badań naukowych. Badaczom ze Stowarzyszenia Memoriał, dziś szykanowanym przez władze Rosji, nie utrudniano pracy, władze się do tego po prostu nie mieszały. Jednak, z drugiej strony, nie uciszano sektora wiecznych wielbicieli Stalina, którzy zaprzeczali sowieckiemu autorstwu zbrodni katyńskiej.

Zawsze współistniały też dwa nurty: Katyń i anty-Katyń (pod tym pojęciem kryje się lansowana przez niektóre rosyjskie środowiska narracja o rzekomej polskiej zbrodni na sowieckich żołnierzach, wziętych do niewoli w 1920 r., którzy mieli być mordowani w obozach jenieckich, głównie w Tucholi). Publikacje m.in. Aleksieja Muchina czy Władisława Szweda, kwestionujące sowieckie sprawstwo zbrodni katyńskiej, cieszyły się popularnością w kręgach pielęgnujących starą mitologię z czasów Związku Sowieckiego. Raz jeden nurt wylewał szerzej, a raz drugi – zgodnie z aktualnym zapotrzebowaniem władz.

Ważny jest jeszcze jeden aspekt. Przypomina o nim na łamach „Wiedomosti" Aleksandr Gurjanow z Memoriału: „W 1990 r. Naczelna Prokuratura Wojskowa zaczęła dochodzenie w sprawie rozstrzelania polskich jeńców. W pierwszych latach pracy śledczy odnotowali znakomite rezultaty. Oznaczyli miejsca pochówku rozstrzelanych z obozów w Starobielsku i Ostaszkowie, ustalili inicjatorów, organizatorów i uczestników operacji NKWD w 1940 r.; znaleźli i przesłuchali niektórych z nich" (wybiegnę tu naprzód i dopowiem, że w 2004 r. wszelkie te osiągnięcia śledczych zamknięto w szafie pancernej, śledztwo bowiem umorzono, a materiały utajniono).

Okienko przychylności

Co było dalej? Dalej zaczyna się nowa epoka: epoka Putina. Ewolucja jego poglądów na tematy historyczne jest wskaźnikiem ewolucji głównej linii politycznej człowieka, który od 1999 r. jest przywódcą Rosji. I który traktuje wojnę o pamięć jako ważny element walki o władzę, jej utrwalenie i uzasadnienie.

Poczynione za rządów Jelcyna odkrycia, w tym ustalenia rosyjskiej prokuratury, stanowiły podstawę do dalszego rozplątywania historycznego kłębka. W 2002 r., po wizycie Putina w Polsce, na najwyższym szczeblu zdecydowano o powołaniu polsko-rosyjskiej grupy ds. trudnych, składającej się z naukowców, historyków, analityków, archiwistów. Jej praca miała polegać na uczciwych i wspólnych badaniach historycznych, opracowaniu i wydaniu odtajnianych sukcesywnie materiałów, wypracowaniu interpretacji wydarzeń z przeszłości.

Grupa zaraz po starcie (odbyło się tylko jedno posiedzenie) zawiesiła działalność do 2008 r. Po jej wznowieniu odbyło się kilka wspólnych sesji. Grupa zajmowała się m.in. badaniem sprawy katyńskiej. Udało się wydać dwie wspólne książki: „Kryzys 1939" i „Białe plamy – czarne plamy". Od dłuższego czasu o działalności grupy nic nie słychać. A dyskusję o historii znów prowadzą rosyjscy politycy – i to ostro.

Zanim jednak do tego zaostrzenia doszło, było kilka znamiennych zwrotów. Przede wszystkim, rosyjska władza zainteresowała się historią jako tworzywem politycznym. Wspomniana już komisja ds. przeciwdziałania fałszowaniu historii na szkodę Rosji była pierwszą jaskółką tej zmiany. Jak pisze Inessa Jażborowska w opracowaniu „Syndrom katyński", „w 2009 r. władze Rosji wzięły kurs na uregulowanie stosunków z Polską i zamknięcie sprawy katyńskiej".

W sierpniu 2009 r., w przeddzień kolejnej wizyty w Polsce, Putin zamieścił artykuł w „Gazecie Wyborczej". Napisał, że Rosjanie rozumieją polskie uwrażliwie-

WOJTEK LASKI / EAST NEWS

Odsłonięcie Kamienia Sołowieckiego, upamiętniającego ofiary komunizmu. To na Wyspach Sołowieckich nad Morzem Białym w 1923 r. powstał pierwszy z obozów późniejszego „archipelagu Gułag", w którym więziono także Polaków. Pomnik powstał dzięki staraniom Stowarzyszenia Memoriał. Moskwa, 30 października 1990 r.

nie na Katyń, i wezwał, aby wspólnie zachować pamięć o zbrodni. Nie padły przeprosiny, na co liczyła strona polska.

Wkrótce potem, 7 kwietnia 2010 r., Putin przyjechał do Katynia na obchody 70. rocznicy, na których był obecny premier Donald Tusk. „Ta zbrodnia nie znajduje żadnego usprawiedliwienia, a jej ocena nie podlega żadnym rewizjom" – powiedział wtedy rosyjski premier (tę funkcję pełnił wówczas Putin). Po wstrząsie wywołanym katastrofą prezydenckiego samolotu pod Smoleńskiem rosyjska telewizja wyemitowała film Andrzeja Wajdy „Katyń", co w Rosji ożywiło dyskusję nad historią w kręgach ludzi kultury.

Uznanie z zastrzeżeniami

Kilka miesięcy później, podczas wizyty w Warszawie w grudniu 2010 r., prezydent Miedwiediew potwierdził polityczną odpowiedzialność za zbrodnię. Przekazano też Polsce kolejne tomy akt katyńskich. Miesiąc wcześniej Duma Państwowa przyjęła zaś uchwałę o zbrodni katyńskiej, jednoznacznie potwierdzając winę Związku Sowieckiego i wyrażając współczucie wobec ofiar i ich rodzin. „Rosja chce wyciągnąć do Polski przyjazną dłoń. Niech to będzie najlepszym pomnikiem ofiar i czerwonoarmistów, którzy zginęli w Polsce, niosąc wyzwolenie spod nazistowskiej okupacji" – stwierdzili deputowani w oświadczeniu.

Jednocześnie wzmagał się i pienił obficie nurt „kontr-Katynia". Frakcja komunistów w Dumie nie głosowała za rezolucją, a członkowie kierownictwa tej partii inspirowali publikacje wskazujące na niemieckie sprawstwo. Według Memoriału przyznanie, kto dokonał zbrodni, jest dla społeczeństwa wciąż trudne, „ludzie do tej pory skłonni są wierzyć, że przeszłość składa się wyłącznie ze zwycięstw i osiągnięć, które stanowią powód do dumy". Dlatego powtarzające się publikacje podważające sprawstwo NKWD ciągle zyskują chętnych słuchaczy.

Podnoszone jest też ciągle w różnych publikacjach przypuszczenie, że jeśli Rosja przyzna się do winy i przeprosi, wtedy Polacy będą się domagać zadośćuczynienia finansowego. Rosja konsekwentnie odmawia uznania zbrodni katyńskiej za ludobójstwo (co byłoby równoznaczne z nieprzedawnieniem). Rosyjskie prawodawstwo nie uznało też rozstrzelanych w Katyniu za ofiary represji stalinowskich i nie przeprowadziło ich rehabilitacji. Być może z tych samych względów.

W cieniu wojny z Ukrainą

Kolejny zwrot w podejściu do trudnych spraw historycznych nastąpił w 2014 r. i był związany z aneksją Krymu i agresją Rosji przeciw Ukrainie. Retoryka Kremla uległa wtedy zmianie: stała się brutalna, imperialna i nieprzychylna wobec Europy, która nie kupuje kremlowskiej wersji wydarzeń. Nastąpił też odwrót od współpracy, w tym historycznej. Rosja coraz intensywniej zaczęła budować własne narracje, coraz bardziej kłamliwe i mające uzasadnić agresywne posunięcia Putina.

„Gdyby Rosja w 2014 r. nie przeciwstawiła siebie Zachodowi, być może rosyjska narracja historyczna nie stałaby się jedną z ofiar tego zderzenia. A teraz mamy do czynienia z szeroką polityczną koalicją, która próbuje Rosję izolować i powstrzymać – od kwestii ekonomicznych po sprawy pamięci historycznej. Sankcje gospodarcze dopełniane są przez rezolucje Parlamentu Europejskiego w sprawach historycznych, które Rosji tak bardzo się nie podobają" – zauważał Kirił Szulika.

W ostatnich latach nastąpiła też w Rosji powolna rehabilitacja Józefa Stalina, co zaowocowało zmianą podejścia władz do takich wydarzeń jak pakt niemiecko-sowiecki z 1939 r. Wcześniej potępiony jako zbrodniczy, obecnie jest on pokazywany jako wybitne osiągnięcie Stalina. Rewizja oceny jego polityki dotyczy również szeroko zakrojonej kampanii przeciw Polsce, na którą Putin wskazuje jako na inspiratorkę wybuchu II wojny światowej. Kreml domaga się też nieustannie zaprzestania demontażu w Polsce pomników wdzięczności dla Armii Czerwonej, twierdząc, że to nie tylko barbarzyństwo, lecz także próba fałszowania wyników II wojny, podważenie zwycięstwa Związku Sowieckiego i kwestionowanie świętości wielkiej daniny krwi.

W półobrocie

A Katyń? Najwyższe władze nie zrewidowały dotychczasowego stanowiska, uznającego sprawstwo NKWD. Ale niedawno, dokładnie w 80. rocznicę decyzji o rozstrzelaniu jeńców, oficjalna agencja RIA Novosti opublikowała prowokacyjny wywiad ze wspomnianym wyżej Władisławem Szwedem, który wywodził, że zbrodni w Katyniu dokonali Niemcy.

„Można jeszcze w tym kontekście przypomnieć o idei Rosyjskiego Towarzystwa Wojskowo-Historycznego, jakoby w lesie katyńskim Niemcy rozstrzeliwali sowieckich jeńców (co w rzeczywistości nie miało miejsca). I o inicjatywie prokuratury w Twerze, aby z dawnej siedziby miejscowego NKWD usunąć tablice pamięci o zamordowanych w tym budynku Polakach i obywatelach sowieckich. Władze starają się znów rozmyć pamięć o sowieckich zbrodniach przeciwko ludzkości" – wylicza historyk Borys Sokołow na opozycyjnym portalu Grani.ru.

W ten sposób w roku 2020 – 30 lat po ujawnieniu prawdy i potępieniu paktu Hitler–Stalin – Moskwa zastygła na rozdrożu w półobrocie. Czy zawróci znów ku kłamstwu?

© ANNA ŁABUSZEWSKA

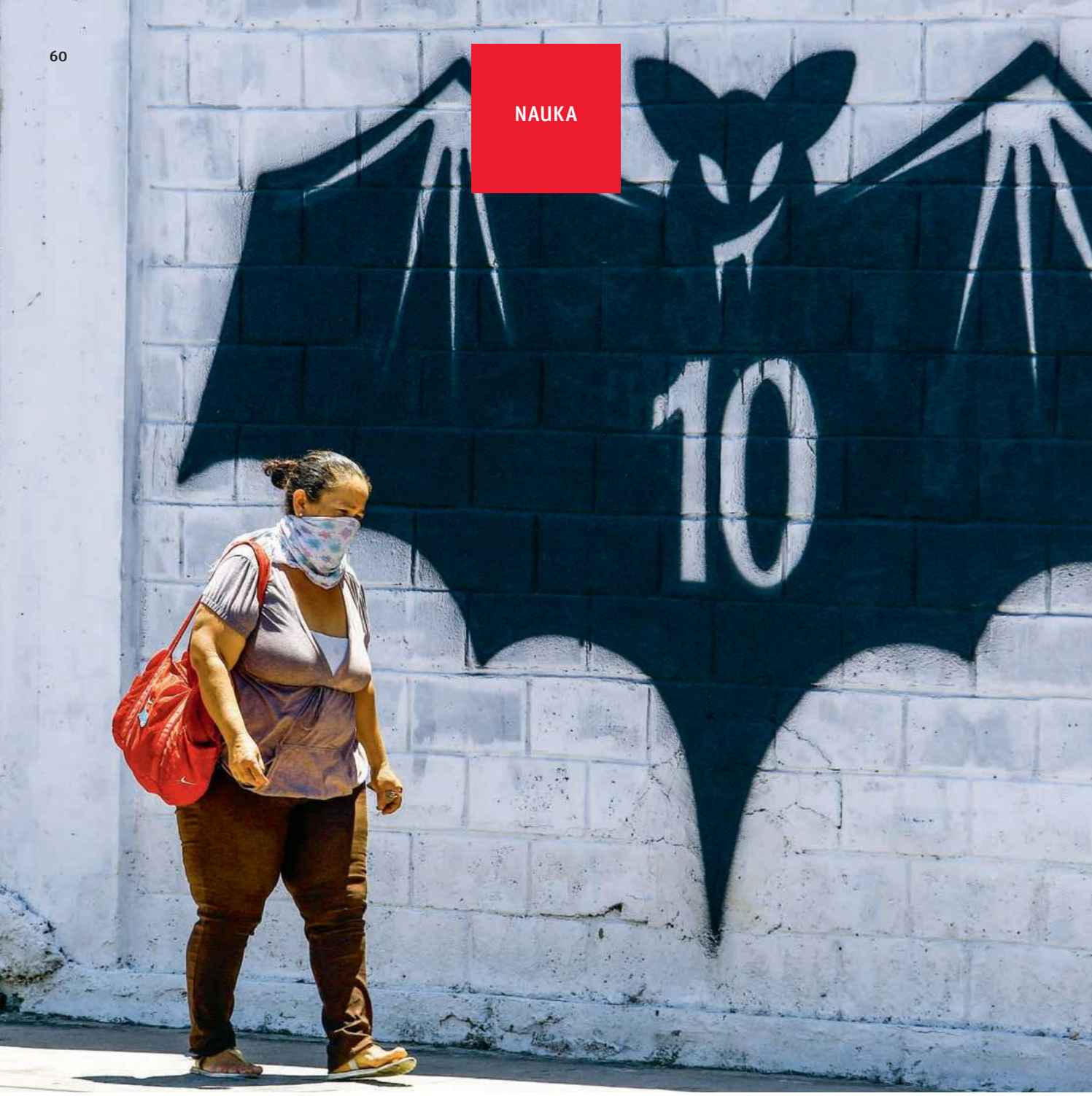

Graffiti w Walencji, Wenezuela, 21 marca 2020 r.

JAK NAZWAĆ WIRUSA

Koronawirus, SARS-CoV-2, a może wirus z Wuhan?
W czasach, gdy o tym samym patogenie rozprawiają nie tylko naukowcy, ale i politycy, ten wybór ma znaczenie.

ŁUKASZ LAMŻA

JUAN CARLOS HERNANDEZ / ZUMA PRESS / FORUM

Gdy Donald Trump użył 16 marca na Twitterze określenia „chiński wirus", doskonale wiedział, co robi. Czasem coś na pozór tak niewinnego jak nazewnictwo medyczne może być elementem gry politycznej. W tym przypadku – co Trump przyznał zresztą później na konferencji prasowej – epitet „chiński" miał stanowić odpowiedź Amerykanów na sugestie ze strony rządu chińskiego, że nowy koronawirus pochodzi w istocie ze Stanów Zjednoczonych. Parę dni wcześniej rzecznik chińskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Lijian Zhao stwierdził bowiem na Twitterze, że „epidemię do Wuhan mogła sprowadzić armia amerykańska". Do Trumpa szybko dołączyli jego republikańscy koledzy, zalewając internet terminami typu „wirus z Wuhan".

Na Trumpa spłynęła fala krytyki, nie tylko ze strony Chińczyków, za niepotrzebne i potencjalnie krzywdzące przyczepianie do wirusa etykietki geograficznej. Jednak to, co w świecie polityki może wywołać burzę, w samej nauce nie jest wcale zjawiskiem nietypowym. To dobra okazja, aby się przyjrzeć, jak właściwie powstają nazwy wirusów.

Dziedzictwo Linneusza

W naukach biologicznych przyjęło się, począwszy od wizjonerskiej propozycji Karola Linneusza z 1753 r., że gatunki istot żywych określa się formalnie poprzez dwa słowa po łacinie: nazwę rodzajową i gatunkową. Stąd *Homo sapiens*, *Canis lupus* (wilk) czy *Citrus limoni* (cytryna). Istnieją dziś trzy główne dokumenty regulujące to, jak może brzmieć nowa nazwa gatunkowa oraz jak tworzy się nazwy dla szerszych kategorii taksonomicznych, takich jak rodziny (człowiekowate), rzędy (walenie), gromady (ssaki) itd. Te dokumenty to Międzynarodowy Kodeks Nomenklatury Zoologicznej (obejmujący królestwo zwierząt), Międzynarodowy Kodeks Nomenklatury Botanicznej (rośliny i grzyby) i Międzynarodowy Kodeks Nomenklatury Bakterii. Dodajmy na marginesie, że biedne pierwotniaki, zapomniane jak zawsze, tułają się między kodeksami i w niektórych przypadkach istnieją dla nich dwie konkurencyjne nazwy.

Fundamentem we wszystkich tych trzech kodeksach jest linneuszowskie nazewnictwo „dwuwyrazowe". W idealnym przypadku informuje ono o jakichś cechach danego stworzenia, czasem jednak wynika z czystej fantazji, jak choćby w przypadku chrząszcza *Agra cadabra*, papugi *Vini vidivici* albo osy *Polemistus chewbacca*.

Bystry obserwator zauważy pewnie, że na powyższej liście nie pojawiły się wirusy. Cóż, nie są one komórkami żywymi w żadnym zwykłym sensie, lecz raczej swobodnie przemieszczającymi się porcjami materiału genetycznego w otoczce. Jednym z pobocznych skutków tego szczególnego statusu jest niemożliwość zastosowania do nich żadnej klasycznej definicji gatunku. Dla zoologa gatunek to zbiór organizmów, które mogą się rozmnażać, dając płodne potomstwo. Wirusy jednak nie rozmnażają się płciowo, a jedynie namnażają – są kopiowane przez komórkę gospodarza. Nawet szersze definicje gatunku, stosowne choćby dla bakterii, nie dają się łatwo zastosować w świecie wirusów.

Murmańskie norniki

Ostatecznie powstał specjalnie dla wirusów osobny dokument: Międzynarodowy Kodeks Klasyfikacji i Nazewnictwa Wirusów. Wszystko zaczyna się od wyizolowania wirusa, czego skutkiem jest izolat: definiowany po prostu jako konkretna próbka, którą udało się wyhodować. Gdy uzyska się solidną próbę tego typu izolatów, które wydają się mieć pewne cechy wspólne, można zacząć mówić o szczepie (choć czasem terminy te miesza się, a różne grupy wirusologów stosują je po swojemu). Zarówno izolaty, jak i szczepy nazywa się w praktyczny, choć mało elegancki sposób, umieszczając zwykle w nazwie gatunek gospodarza (czyli tego, kogo wirus atakuje), miejsce i czas wyizolowania oraz numer kodowy izolatu, a także jego przypuszczalne pokrewieństwo (może to pokswirus, może rabdowirus, a może koronawirus (CoV)?).

Przypuśćmy więc, że wyizolowaliśmy nowego, nieznanego nauce wirusa – tak jak chińscy badacze parę miesięcy temu. Jak go nazwiemy? Prawdopodobnie właśnie tak, jak zrobili to w grudniu 2019 r. chińscy naukowcy z Institute for Viral Disease Control and Prevention (IVDC) w prowincji Hubei (HB): BetaCoV/Wuhan/IVDC-HB-01/2019. Czasem identyfikacja ukryta jest głębiej pod kodami: EBOV/Hsap/COG/95 to wirus typu ebola (EBOV), atakujący *Homo sapiens* (Hsap), wyizolowany w Republice Konga (COG). Nazwy nie są może łatwe do zapamiętania, ale system dobrze się sprawdza. Określenie geograficzne jest zaś kluczowe: wirusy, jak wiadomo, lubią szybko mutować, a wiedza o pochodzeniu danego szczepu jest bezcenna, gdy próbuje się później rekonstruować jego ewolucję.

Nic więc dziwnego, że aż do końca stycznia środowisko naukowe powszechnie używało terminów typu „koronawirus z Wuhan". Co więcej, gdy wirus dotarł do Włoch, naukowcy, zauważywszy, że różni się nieco od szczepu z Wuhan, ↦

bez wstydu używali terminu „wirus z Codogno", od włoskiego miasta w Lombardii, gdzie dokonano izolacji.

Później, gdy już nowy wirus zostanie dobrze poznany, składa się do Międzynarodowego Komitetu Taksonomii Wirusów (ICTV) propozycję utworzenia nowego gatunku. Nie jest to gatunek w zwykłym sensie, a raczej, jak mówią biolodzy, *quasi*-gatunek oparty po prostu na względnej odrębności od innych wirusów. Nazwa też nie jest dwuimienna, jak w przypadku klasycznych gatunków, i składa się na nią nieco tylko uprzyjemnione określenie szczepu, wciąż w języku angielskim. Jest w tym pewna swoboda i nazwy wirusów liczą od dwóch aż do siedmiu słów. Typowe składniki takiej nazwy to: miejsce pierwszego wyizolowania, gatunek gospodarza, nazwa choroby i określenie typu wirusa.

Obecna edycja bazy ICTV zawiera 5560 nazw gatunków. Część z nich jest znana lub względnie łatwo da się rozszyfrować: *Sudan ebolavirus*, *Human immunodeficiency virus 1*, *Koala retrovirus*. To wygodny system. Jeszcze przed chwilą nie wiedziałem o istnieniu wirusa *Cabbage leaf curl Jamaica virus*, jednak po samej tylko jego nazwie wiem już, że wywołuje on chorobę kapusty, objawiającą się zwijaniem się liści, a wyizolowano go pierwotnie na Jamajce. Jednym z najnowszych dodatków do listy ICTV jest zaś *Murmansk microtus virus*, czyli wirus z rosyjskiego Murmańska atakujący norniki (niewielkie gryzonie o łacińskiej nazwie *Microtus*).

Nowy odnietoperzowy koronawirus

W drugiej połowie stycznia, gdy poznana została nie tylko natura nowego koronawirusa, ale i skala jego epidemii, kwestia jego nazwy nabrała wagi. Chińczycy, znani z obsesji na punkcie swojego wizerunku na arenie międzynarodowej, zaczęli silnie lobbować na rzecz odcięcia od nazwy wirusa jakiegokolwiek określenia geograficznego. Sekundowała im Światowa Organizacja Zdrowia, która w 2015 r. wydała ogólne zalecenie tego typu w odniesieniu do chorób (nie wirusów), sugerując, że wiązanie choroby z konkretnym miejscem może skutkować stygmatyzacją. Ostatecznie na początku lutego stanęło na nazwie SARS-CoV-2, ponieważ ten konkretny koronawirus okazał się być bliskim krewniakiem tego, który w 2003 r. wywołał epidemię ciężkiej (*severe*), ostrej (*acute*) niewydolności oddechowej (*respiratory syndrome*), czyli SARS.

Ponieważ jednak nazwa SARS-CoV-2 jest mało praktyczna, problem nie zniknął z dnia na dzień. Nie można dekretem zmienić sposobu, w jaki używa się języka. Część mediów zareagowała błyskawicznie, dokonując wręcz korekty istniejących źródeł. Czasopismo „Nature", które jeszcze 24 stycznia opublikowało artykuł „Co należy wiedzieć o koronawirusie z Wuhan", w połowie lutego podmieniło w nim słowa *Wuhan coronavirus* na *novel coronavirus* (czyli nowy koronawirus). Czasem naukowcy popadają jednak w rutynę, odruchowo używając określenia geograficznego, do którego są przyzwyczajeni. W jednym z najbardziej prestiżowych czasopism medycznych świata, „The New England Journal of Medicine", jeszcze 5 marca ukazał się artykuł, w którym SARS-CoV-2 został określony jako nowy koronawirus z Wuhan.

Większość z nas nie jest jednak naukowcami i potrzeba nam praktycznej nazwy. Stąd krótki, poręczny koronawirus – niby nieprecyzyjny, ale przecież wiadomo, że mowa o SARS-CoV-2, a nie o pozostałych 39 gatunkach należących do rodziny wirusów *Coronaviridae*. Dziennikarze i politycy lubią jednak eksperymentować z innymi nazwami: czasem, by unikać żmudnych powtórzeń, czasem ze zwykłego wyrachowania. Tu wkracza „chiński wirus".

Choroba chrześcijańska

Znane są oczywiście z historii inne przypadki celowego manipulowania nazwami chorób na arenie międzynarodowej. Gdy pod koniec XV w. w Neapolu wystąpiły pierwsze przypadki syfilisu, Włosi przypisali jego rozsiewanie – najprawdopodobniej słusznie – francuskim żołnierzom biorącym udział w tzw. pierwszej wojnie włoskiej. Stąd *mal francese* – choroba francuska (a potem pospolita franca). Włoski lekarz Girolamo Fracastoro, badacz syfilisu i jeden z ojców współczesnej epidemiologii, w 1530 r. opublikował poemat „Syfilis albo choroba francuska", w którym pojawiła się rozpoznawana współcześnie, neutralna nazwa syfilis (głównym bohaterem poematu był pasterz Syfilus, na którego chorobę zesłał Apollo). Fracastoro odnotował też jednak, że sami Francuzi uparcie promują nazwę choroba włoska. Równolegle Holendrzy, niezbyt życzliwi panującym nad nimi katolickim, hiszpańskim Habsburgom, mówili o chorobie hiszpańskiej, Turcy zaś z równie łatwych do zrozumienia względów promowali określenie choroba chrześcijańska.

Motywacje religijne kierowały również ministrem zdrowia Izraela, Ja'akowem Litzmanem, który odmówił w 2009 r. używania nazwy świńska grypa. Dziwić może natomiast wysunięta przez niego kontrpropozycja, aby ową chorobę wywoływaną przez wirusa grypy H1N1 określać jako... grypę meksykańską. Wywołało to szybką reakcję ambasadora Meksyku w Izraelu Federica Salasa, po której rząd izraelski wyparł się słów swojego ministra. To m.in. po tego typu incydentach Światowa Organizacja Zdrowia – która odpowiada za oficjalną międzynarodową klasyfikację chorób ICD – zaleciła, aby w nazwach jednostek chorobowych już nigdy nie pojawiały się określenia geograficzne. Nazwy wirusów to jednak inne zagadnienie, a wykorzenienie z nich nazw państw i miast, jak widać, raczej nie nastąpi prędko.

Jak przedstawia się sytuacja obecnie? Naukowcy i pedanci mają do dyspozycji oficjalną nazwę SARS-CoV-2. Wszyscy pozostali – praktyczne określenie koronawirus. Używanie jakiejkolwiek nazwy innej niż jedna z tych dwóch, zwłaszcza publicznie i w pełni świadomie – a szczególnie określenia „chiński wirus" – trudno dziś interpretować inaczej niż jako celowy zabieg językowy.

©℗ ŁUKASZ LAMŻA

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, toczy się na wniosek Witolda Gójskiego, pod sygnaturą I Ns 156/19, postępowanie o uregulowanie własności części gospodarstwa rolnego – działki położonej w Kałuszynie, oznaczonej w ewidencji gruntów numerem 2493/3, o powierzchni 0,0995 ha.

Sąd wzywa zainteresowanych, w szczególności spadkobierców Piotra Plewki, aby w terminie trzech miesięcy zgłosili się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi, że własność tej nieruchomości zostanie nabyta zgodnie ze stanem użytkowania na dzień 4 listopada 1971 roku.

SAKCHAI LALIT / AP / EAST NEWS

Klienci restauracji oczekujący na wydanie zamówienia, Bangkok, 24 marca 2020 r.

Cyfrowa pandemia

KASPER KALINOWSKI

Nie da się przeprowadzić eksperymentu, który wyjaśniałby zachowania ludzi w czasie epidemii. Ale czasem z pomocą przyjść może gra komputerowa.

W 2005 r. w popularnej grze sieciowej „World of Warcraft" („WoW") wystąpił błąd, który sprawił, że postaci graczy zaczęły się zarażać śmiertelną (w wirtualnym świecie) chorobą. Szybko rozniosła się po całym uniwersum. To, co działo się dalej, śledzili nie tylko gracze i programiści, ale także epidemiolodzy.

W „WoW", oryginalnie wydanym ponad 15 lat temu, ale rozwijanym do dzisiaj, można się wcielić w przedstawiciela jednej z kilku ras, wybrać profesję i przemierzać olbrzymią mapę, wypełnioną potworami do pokonania oraz awatarami innych użytkowników. Rozgrywka polega na eksploracji, handlu, walce i zawieraniu sojuszy, graczom zaś pozostawiono bardzo dużą swobodę działania.

13 września 2005 r. uruchomiono nowy obszar oraz misję przeznaczoną dla doświadczonych graczy. Sterowany przez sztuczną inteligencję przeciwnik rzucał zaklęcie „skażona krew", które zarażało pobliskie postacie i powodowało stopniowy spadek poziomu zdrowia. Błąd skryptu sprawił, że zaraza opuściła przewidziany obszar – i wymknęła się spod kontroli.

Wielu zainfekowanych błyskawicznie przemieszczało się po mapie, teleportując się do zatłoczonych miejscowości, gdzie zaraza znajdowała kolejne ofiary. „Wirus" złamał barierę „ludzie – zwierzęta". Wcześniej awatary zwierząt pomagały graczom w rozgrywce – teraz zostały zarażone i przenosiły śmiertelne zaklęcie dalej. A nawet gdy ich właściciele wyzdrowieli, „wirus" zaatakował postaci niezależne, kontrolowane przez komputer, m.in. handlarzy i żołnierzy. Najczęściej byli oni tak zaprogramowani, by nie odnosili obrażeń w walce czy pod wpływem czarów. Ale chociaż sami nie mogli ucierpieć w epidemii, pomagali się jej szerzyć.

Skala zjawiska była ogromna – w tym czasie w „WoW" grało na świecie 4 mln osób, każda z nich w jakiś sposób zetknęła się z epidemią lub doświadczyła chaosu, który w jej konsekwencji nastąpił.

Mieliśmy szybki „transport lotniczy" – teleportację – i apokaliptyczne sceny w wielu miastach. Byli „supernosiciele" – postacie, które z różnych powodów zakażały ponadprzeciętną liczbę osób – oraz „cisi zaraziciele", czyli postacie zbyt potężne, by infekcja im zagrażała (bezobjawowe), które jedynie przekazywały „patogen" dalej. Były próby utrzymania kwarantanny – początkowo programiści starali się oddzielić zainfekowaną część świata od reszty, ale działania te nie przyniosły pozytywnych rezultatów. Część graczy na własną rękę podejmowała izolację społeczną. Na forach internetowych pojawiały się ostrzeżenia przed nieuczciwymi handlarzami, oferującymi nieskuteczne mikstury lecznicze. Niektórzy gracze wykazywali altruizm – leczyli czarami chorych albo wskrzeszali zmarłych, jednak ci wkrótce potem znowu się zarażali. Byli wreszcie najbardziej narażeni – gracze początkujący, o niskim poziomie zdrowia, którym infekcja wyrządzała największą szkodę.

Te wszystkie kategorie i zjawiska występują także podczas rzeczywistych epidemii. Zdarzenie ze świata gry (znane dziś jako „incydent skażonej krwi") może więc posłużyć do testowania rzeczywistych modeli rozchodzenia się epidemii – zasugerowali w 2007 r. Eric Lofgren i Nina Fefferman w artykule z działu opinii na łamach prestiżowego czasopisma „The Lancet Infectious Disease".

Oczywiście żadna epidemia w prawdziwym świecie nie przebiega tak gwałtownie jak „incydent skażonej krwi". Żaden znany patogen nie jest aż tak zaraźliwy jak zaklęcie, które spustoszyło serwery „WoW". Ponadto gracze „WoW" nie stanowią dobrej reprezentacji światowej populacji. Dominują wśród nich młodzi mężczyźni, a więc osoby statystycznie skłonne m.in. do większego podejmowania ryzyka (choć oczywiście wirtualne ryzyko nie oddaje prawdziwej sytuacji zagrożenia życia). Być może dlatego jednym z efektów, który zidentyfikowano w wirtualnej pandemii, było roznoszenie choroby spowodowane... ciekawością. Część graczy odwiedzała zainfekowane tereny, by przekonać się, jak wygląda sytuacja – po czym zakażała się i zanosiła chorobę w kolejne lokacje.

Mimo wszystko, przekonywali wspomniani autorzy, epidemiolodzy mogą skorzystać z doświadczeń zdobytych dzięki analizie tej wirtualnej pandemii. Najważniejsze w niej było to, że za zainfekowanymi postaciami stali rzeczywiści ludzie – podejmujący decyzje i reagujący na żywo w wyjątkowych i nieprzewidzianych okolicznościach.

„Incydent" zakończył się, gdy programiści po prostu zrestartowali serwery. To jeszcze jeden dowód na przewagę gier komputerowych nad rzeczywistością. ©

W SMUDZE ŻYCIA

Przepastna metafizyka i niezgłębiona prostota. Anatomia Boga i kiszone ogórki. Tadeusz Różewicz i Ryszard Przybylski przyglądają się sobie. To było ekstremalne spotkanie.

ELIZA KĄCKA

BRIGITTE FRIEDRICH / SZ-PHOTO / FORUM

Jak sobie pomyślę, co to za cudny byłby typ bizantyjskiego polaczyszki, to mi się płakać chce, że to już nigdy nie nastąpi" – biada księżna Irina Zbereźnicka-Podbierezka w „Nienasyceniu" Witkacego. Cóż, przedwcześnie. Los uznał jej racje i zesłał Polsce Ryszarda Przybylskiego (1928–2016). Zjawił się umysł namiętny i człowiek pasjonujący, zszyty ze św. Jana Złotoustego, Iwana Karamazowa i historyka literatury płonącą nicią egzaltacji. I ktoś taki uczepił się, wczepił, uwiódł korespondencyjnie Tadeusza Różewicza (1921–2014). Poetę-desperata, szydercę, agnostyka, wyznawcę praktyki „najmniej słów". Ów jednak w swym wielbicielu też coś fundamentalnie dla siebie ważnego dostrzegł.

Drugiej takiej pary wcielonych sprzeczności piśmiennictwo polskie nie zna. Czterysta listów i kartek z lat 1965–2014 stanowi świadectwo, jak budują do siebie mosty, kadzą sobie i wodzą na pokuszenie, kłócą się i krzepią, w końcu – jeśli zaufać słowom – żyć bez siebie nie mogą. Kapitalny dokument ludzki, próba czasów i charakterów, pouczająca, dająca do myślenia i – zwyczajnie wzruszająca. Proszę, co to się działo za naszymi plecami, a my nie mieliśmy pojęcia!

Dusze cierpiące a dumne

Właściwie była to czwórca: krytyk i badacz sztuki Mieczysław Porębski, malarz i samorodny teolog Jerzy Nowosielski, Różewicz i Przybylski. Najpierw Porębski, który znał Nowosielskiego od okupacyjnych początków, opowiedział o nim

Od lewej: Tadeusz Różewicz (1992 r.) i Ryszard Przybylski (1978 r.)

DANUTA B. LOMACZEWSKA / EAST NEWS

Różewiczowi, potem Różewicz – Przybylskiemu, aż w końcu ruszył wir listów, którego ujarzmienie zawdzięczamy historyczce sztuki i biografce Nowosielskiego, Krystynie Czerni. (Korespondencja Różewicza z państwem Nowosielskimi w jej opracowaniu wyszła w roku 2009, ta z profesorem Porębskim, ufać trzeba, ukaże się wkrótce.)

Każdy z tej czwórcy (nawet Przybylski, najmłodszy) wyniósł uraz z lat wojny, następnie – na swój sposób – skąpał się w jadach socu; a wszyscy wyszli z tego po trosze sturbowani i wspierali się dzielnie. Porębski, który zwątpił w krytykę, a bodaj i w sztukę. Uciekający w alkohol wizjoner Nowosielski, targany przez sadystyczne, godne Bataille'a chucie. Nieufny truciciel piękna, biadający nad swym mieszczanieniem – Różewicz. A wreszcie udręczony swym homoseksualizmem, zwłaszcza zaś jego ośmieszającymi przejawami (mógł tylko z mundurowymi, wszystko jedno: milicjant, sokista czy strażak) Przybylski. Ten ostatni na starość zmienił się w wulkan gniewu, w autentycznego gnostyka. Jego listowne (bo tylko do tych mam dostęp) eksplozje daremnie tłumił swą dobrze odgrywaną jowialnością Różewicz.

Cztery cierpiące a dumne dusze, cztery zawodne, walczące z czasem ciała, cztery przybliżenia tego, jak życie polskie po roku 1939 wyglądało naprawdę. O tyle, że ilekroć kalendarz wskazuje któryś z polskich miesięcy, korespondencja Różewicz–Przybylski milknie. O wydarzeniach marca, grudnia, sierpnia, ponownie grudnia, czerwca, które wstrząsały naszym światem, nie znajdzie się ani słowa (takoż o sławnej aferze, gdy w roku 1972 interwencja ambasady radzieckiej ściągnęła na Przybylskiego paroletni zakaz druku). Obaj byli ostrożni i/albo nie mieli złudzeń.

Widywali się zadziwiająco rzadko. Na ćwierć wieku coś cztery razy, jeśli nie liczyć późnych spotkań dokumentowanych na filmie, których zapis też znalazł się w książce. Stroną zapraszającą bywał z reguły Różewicz, podający terminy swoich pobytów w Warszawie: „Jesteśmy, Rysiu, śmiertelni, więc warto może jeszcze raz w życiu porozmawiać" (1 VII 1981). Jednak i on umie przyznać: „Potem byłem zmęczony, smutny i wyjechałem" (22 IX 1982). Albo: „przypadkowo znalazłem się w Warszawie, zadzwoniłem do drzwi, postałem pod drzwiami – było cicho, więc poszedłem dalej..." (18 III 1986). Przerwy w korespondencji liczą czasem rok i więcej – raz nawet, w grudniu 1980, obrażony Różewicz przechodzi z Przybylskim na „pan". A wtedy Przybylski na „Serce Moje"...

Napisz Emaus

Dla Przybylskiego Różewicz był tylko i aż poetą. O dramaturgii swego korespondenta, zapewne dlań zbyt szyderczej, w listach nie zająknął się nigdy. Mimo stwarzanych okazji, nie pofatygował się też do teatru. Ledwie wspomniał Różewiczowską prozę. Za to poezję ubóstwiał. W inicjującym ich znajomość liście, prosząc o komentarze do poematu ↦

↦ „Et in Arcadia ego", poszedł od razu na całość: „Pan jest Rimbaudem, który nie przestał pisać". I (z powołaniem na Borysa Pasternaka) „nieposkromionym Savonarolą". Po czym następuje „Poeta, który jest symbolem epoki" oraz relacja o zachwytach w Rosji (30 IX 1965). Tak już zostanie do końca.

A kim był dla Różewicza Przybylski? O – to niełatwa kwestia. Warto czytać uważnie te listy choćby i dla tej jednej odpowiedzi. Doszło bowiem do ewolucji. Z początku poeta pożąda adresata zwierzeń (zwierzać się historykowi literatury?! Przy całej swej dobrze maskowanej perfidii Różewicz był zawsze cokolwiek naiwny). A więc: „jak nie napisać jeszcze jednego wiersza..." (19 XI 1965). Czyli: „Jest się R..., który pisze dalej. Monstrum, które czuje się cielęciem z dwoma głowami" (17 XII 1965). W końcu: „został[em] księciem gówniarzy po biednym Gałczyńskim" (28 I 1966). Przybylskiemu w to graj: „najgorsze jest to, że musi Pan zobaczyć, jak zasrańcy plugawią Pańską pracę" (6 I 1966). I: „Pan był skazany. Pan musiał zapłacić za wielkość" (tamże). Komedia! „Błogosławię Pana – bo Pan mnie tak jakoś umieścił, że mógłbym kogoś »pobłogosławić«" (26 V 1966) – konkluduje, oprzytomniawszy, poeta.

Ale haczyk już chwycił. I Przybylski zaczyna ciągnąć: „U Pana było coś z mentalności artystów wczesnochrześcijańskich. (...) Jest coś wspólnego w języku" (25 IX 1966). W tym punkcie ofiara zaczyna się szarpać: „Dla mnie dwoma największymi przegranymi w życiu: gdybym znów uwierzył w poezję, albo w Boga. To byłyby dwie absolutne klęski. Nie mogę tego »wyjaśnić«. Jestem niewierzący – z krwi i kości – i byłaby to dla mnie zupełna bezwarunkowa kapitulacja. Śmierć" (29 IX 66). Ale kołowrotek już terkoce: „Mam do Pana prośbę: niech Pan napisze o Emaus. Jest Pan po pogromie, ucieka Pan drogą, jest Pan głodny, dokoła pełno kurzu, kurzu, kurzu... A potem w gospodzie już Pan wie, że to On. (...) I właśnie, co Pan o nim myśli, kiedy zniknął. Jeszcze odgina się (nasz dzisiejszy) chleb, przyduszony Jego palcami. Oto kubek, którego nie dotknął jeszcze ustami. Mnie się to śni" (ok. VI 1970).

Pokusą był projekt poematu na Łukaszowym wątku, wychodzący od sceny na arrasie w Muzeum Watykańskim. Czy tej wizji można się oprzeć? „Napisz Emaus. Napisz Emaus. Napisz Emaus. Nie można nie wierzyć" (ok. X 1970). Różewicz, oczywiście, o Emaus nie napisał. Najwyraźniej jednak tej konfrontacji potrzebował. Z na poły wirtualnym R..., piszącym doń akurat jak apostoł religii wzniosłości, koryfeusz swojej wizji. Bo cóż mógł temu przeciwstawić? „Naszą małą stabilizację"? „Spadanie"? „Grupę Laokoona" z gipsu? Elementarną dobroć z „Dytyrambu na cześć teściowej"?

Przyjaźń poety z eseistą ma niełatwy do nazwania wymiar powszedni, świadczenia sobie życzliwości, bezinteresownej uwagi, ciepłego uścisku rzadko złączanych dłoni.

Ma się rozumieć, kontrowersja sięgała głębiej. Dla Różewicza taki Dostojewski był tylko literaturą (aczkolwiek demoniczną), nie więcej; dla Przybylskiego – światłem na progu iluminacji. Tu przeoczył, nie wiedzieć czemu, wstrząsające, pierwsze i świetne opowiadanie Różewicza, „Nową szkołę filozoficzną" (1956): „Po tej wojnie wszyscy jesteśmy podejrzani. Bohaterowie i zdrajcy, konspiratorzy i paskarze, szantażyści i szantażowani, prowokatorzy, oprawcy i ich ofiary. Nawet umarli są podejrzani. Wszyscy zostali zatruci. Umarli i żywi. Być może mój obraz jest fałszywy, nie przeczę. Ja tylko mówię to, co myślę".

Któż to mówi? Tego Przybylski nie dostrzegł? Przypinając Różewiczowi – niekoniecznie białe – skrzydła, zignorował widać fakt, że nie można napisać bezkarnie: „Człowieka tak się zabija jak zwierzę / widziałem: / furgony porąbanych ludzi / którzy nie zostaną zbawieni". I zmienić zdania.

Dla Przybylskiego natomiast autorem niemalże zbędnym, co więcej: tabu, wyklętym nazwiskiem był Kafka. Sekretny wzór Różewicza. Ktoś, kto „Stał z boku. W każdej chwili mógł odejść" z krótkiej prozy „Szachownica" (1957). Otóż to. Symbol i cena wolności. Pisarz, który wymyślił gest Głodomora, co nic nie je, bo nie raczy: do wszystkiego ma absmak. Z tą arystokratyczną postawą Różewicz nie tyle się zmagał, ile ją w duszy z lubością hodował. Kafką bowiem walczył z innym wewnętrznym demonem: poetą-pomnikiem, Goethem. I to mu się udało, zburzył Kafką Goethego w sobie. Zbyt wiele miał autoironii, Przybylskiemu nieznanej – prób rozmowy o Kafce nawet nie podejmował. Prawem rewanżu Różewicz zwykł pomijać milczeniem postać idola Przybylskiego – Osipa Mandelsztama.

Radość patrzenia na siebie

O czym więc gawędzili, jaką mieli płaszczyznę porozumienia? Różewicza musiało bawić odkrycie, że to nie on, lecz właśnie Przybylski jest miotającym anatemy „nieposkromionym Savonarolą". Dostawało się zwłaszcza „pubertalnym" (zabójczy w jego ustach epitet) środowiskom literackim, czyli tzw. gówniarzerii, i „Nekroburdelowi", czyli miastu stołecznemu Warszawa. Zapewne też bliski był odczuciom Różewicza obraz dziejów ludzkości wyzwalającej na każdym kroku siły każące zwątpić nie tylko w sens istnienia, ale i w świat realny. Pod tym względem obaj panowie mieli w Polsce ówczesnej trzeciego godnego partnera, Stanisława Lema, który dowodził, że ludzkość nie spocznie, aż cały Kosmos przerobi na muszle klozetowe, zużyty papier i puste flaszki (torebek foliowych jeszcze nie było). Gdy raz jeden jedyny zajął się Przybylski dramatem Różewicza, była nim z tą właśnie tezą „Stara kobieta wysiaduje" (1968), polecona do grania w Teatrze Narodowym i opisana w zbiorze „Wtajemniczenie w los" (1985).

Są przyjaźnie oparte na wspólnocie dążeń i postaw, kreujące własny mit. Ta przyjaźń poety z eseistą jawi się jako wspólnota postawy, oparta na przyjętej milcząco wspólnej regule projekcji. Przybylski z misyjnym zapałem wmawia w Różewicza swój własny świat „przeklętych problemów", entuzjazmów i rozczarowań; Różewicz rzutuje na Przybylskiego własny sceptycyzm wobec świata idei (teologii, filozofii egzystencjalnej, lektur przez pryzmat symboli). Eseista wywodzi: „Czechow rozpluskwił Dostojewskiego" (ok. III 1977). Poeta oponuje: „Nie rozumiem, co znaczy Twoje wyrażenie »Czechow rozpluskwił Dostojewskiego«" (17 III 1977). Spóźniona, lecz kategoryczna odpowiedź brzmi: „Ty jesteś

mistyk. Nie krzycz na mnie" (5 X 1983). (Cóż: Przybylski, mistyk – jeśli przyjmiecie, że może być nim i ateusz – chce widzieć w przyjacielu siebie.)

Eseista dopatruje się w wierszu zagadki: „Jestem pod bardzo wielkim wrażeniem myśli, które mkną z tych słów jak ogromne i tajemnicze pszczoły" (3 VII 1991). Poeta dystansuje się od tekstów lansujących tak zwaną „duchowość": „Wolę czytać »Ewangelię« – bo mam uczucie, że ją rozumiem, czuję; nie jestem teologiem ani filozofem" (ok. X 1992). Przepastna perspektywa metafizyki i niezgłębiona perspektywa prostoty nie bez zdziwienia przeglądają się w sobie.

Stały składnik wymiany listów stanowi też przeciwstawienie czynnego życia, jakie wiedzie Różewicz (podróże zagraniczne, muzea, znajomości, premiery), właściwej Przybylskiemu – z wyboru i konieczności – egzystencji anachorety. Młodszy o lat siedem eseista, kruchego zdrowia i uraźliwej natury, często po prostu żali się, lecz – trzeba przyznać – nie zdradza zazdrości. Bardziej witalny poeta, co też dobrze o nim świadczy, nie pomija zatem okazji, by się uskarżać na różne własne przypadłości i niemożności – zawszeć to jakaś pociecha. Na tym tle rozgrywa Przybylski powolną metamorfozę z rzuconego między barbarzyńców antycznego Hellena w skurczonego na progu eremu ascetę z Tebaidy. Skądinąd warto by sprawdzić, czy z okien czwartego piętra bloku na Akermańskiej (warszawski Ursynów) nie dałoby się dostrzec mrówkowca na Lizbońskiej po prawej stronie Wisły – „pustelni z nawoływaniem" Mirona Białoszewskiego. Były to zresztą najgęściej uczęszczane pustelnie współczesnej literatury polskiej.

Zasada tej korespondencji jest taka, że Przybylski dociska pedał, a Różewicz się uchyla. Przybylski, historyk idei, wywleka ciężką armatę: „A może, grzebiąc się w materii, w prochu albo i nawet w tej nicości złożonej ze słów, dokonujesz anatomii Boga?" (11 VIII 1983). Co poeta energicznie paruje drwiną lub rozmyślnym banałem: „Tak dawno nie mieliśmy ze sobą styczności, że może odszedłeś w bardzo odległe (i obce mi) światy. (...) Rysiu, Rysiu – może czasem trzeba wypić ćwiartkę pod kiszonego ogórka!!" (17 VIII 1983). Ta gra wielce ich cieszy.

Trzeźwość Różewiczowską maskuje poniekąd fakt, że Przybylski, i to nader wcześnie, go rozszyfrował. „Przez Pana przebiega bardzo męcząca (tak sobie wyobrażam) granica życia i poezji, której ja (i każdy inny) nie może, nie jest w stanie uchwycić, ustalić. Natura tego zjawiska jest taka, że kiedy Pan wkracza w smugę życia (np. rozmowa ze mną), konwencje społeczne uczynią z Pana ofiarę gry. Mówią, że czasami tę sytuację rozładowuje wódka. To pozory. Każdy następny wiersz uczyni każdą prawdę uzyskaną w najbardziej szczerej rozmowie z poetą – półprawdą, ćwierćprawdą, cieniem, echem, pustką. Poeta jest więc tym nieustannym migotaniem" (30 IV 1966).

Jak z tego wynika, Przybylski rozpisał scenariusz tej przyjaźni, nim się na dobre rozpoczęła. Takich przypadków szatańskiej przenikliwości Różewicz nie komentuje. Bo też nie ma na nie repliki. W takich razach poeta ucieka się do uwag w rodzaju: „Jest bardzo gorąco i tzw. mózg odmawia pracy (chyba, że ktoś go nie ma...)" (3 VIII 1982). Nie godzi się bowiem polemizować z podstępną dialektyką Przybylskiego i jego żrącym wszystko pesymizmem.

Przyjaźń poety z eseistą ma nade wszystko niełatwy do nazwania wymiar powszedni, wzajemnego świadczenia sobie życzliwości, bezinteresownej uwagi, ciepłego uścisku tak rzadko złączanych dłoni. Różewicz podsumował ją w małym poemacie „*tempus fugit* (opowieść)" z 2004 r. Przybylski w szkicach pod wymownym tytułem „Ogrom zła i odrobina dobra" (2006), gdzie znaleźć można obraz: „Ilekroć do mej pustelniczej celi przybywa radośnie witany Tadeusz Różewicz, natychmiast zaczynają się humorystyczne skecze na stary temat »*Mors certa, hora incerta*«. Starcy powinni się bowiem oswajać z koniecznością i szczery śmiech bardzo się do tego nadaje. »To ładnie – powiedział mi raz Różewicz przy strzemiennym – że ilekroć się spotykamy, to się weselimy... może z samej radości, że patrzymy na siebie... «".

© ELIZA KĄCKA

RYSZARD PRZYBYLSKI, TADEUSZ RÓŻEWICZ, LISTY I ROZMOWY 1965–2014.
Podała do druku, opracowała i wstępem opatrzyła Krystyna Czerni, Sic!, Warszawa 2019

Spokojnie, jest „Tygodnik"

Czytaj specjalny cykl „Tygodnika"
na kwarantannę
na **powszech.net/kwarantanna**

weź, czytaj!

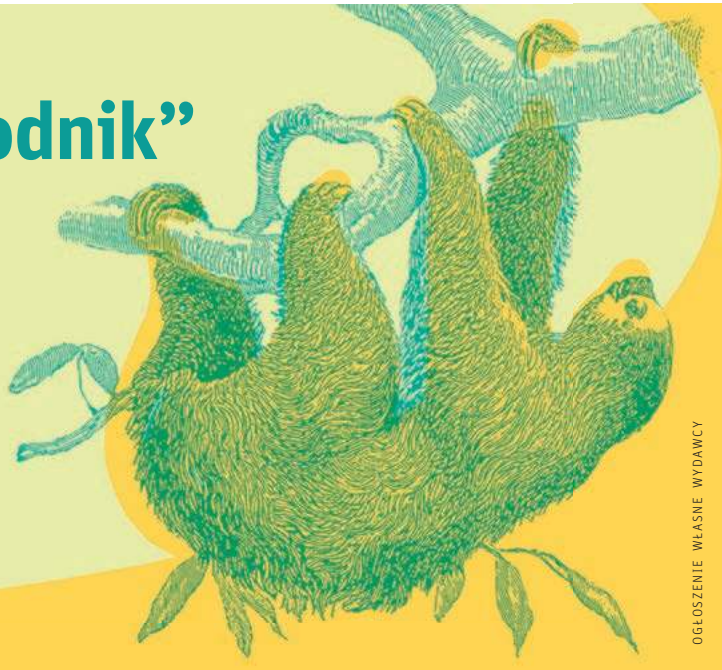

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ŁUKASZ KRAJEWSKI / AGENCJA GAZETA

Dominika Słowik jest także autorką opowiadań o krakowskim Kazimierzu. Na zdjęciu na placu Nowym, Kraków, 2016 r.

Opowiedzmy siebie na nowo

DOMINIKA SŁOWIK, PISARKA:

Kult kobiecości wpisany jest głęboko w naszą kulturę, która jednocześnie niekoniecznie i nie zawsze jest przychylna kobietom.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Dostałaś Paszport „Polityki" za książkę o dziwnym tytule.

DOMINIKA SŁOWIK: Wiele osób uważa, że „zimowla" to mój wymysł, a to przecież słowo oznaczające okres zimowej hibernacji pszczół. Niektórzy namawiali mnie do zmiany, bo mało chwytliwy i trudny do zapamiętania.

Pszczół jest faktycznie u Ciebie dużo, ale przecież to nie o ich uśpienie chodzi.

Nie, dla mnie to przede wszystkim książka o pamięci. I o strachu.

Dużo tu z kryminału, momentami nawet z thrillera.

Ale też z powieści dla młodzieży. Odczuwam nostalgię za tym gatunkiem, pewnie dlatego, że już nigdy nie będę w stanie chłonąć książek jak wtedy, gdy byłam nastolatką. Literatura nie służy wyłącznie rozrywce, ale nie można przecież całkiem z niej rezygnować – czytelnik potrzebuje „marchewki".

Wątek kryminalny w „Zimowli" był pisarskim wyzwaniem – chciałam w oryginalny sposób pokazać historię w sumie prostą, momentami wręcz banalną, która w różnych wariantach i odmianach była już opowiedziana na setki sposobów. Zaciekawienie czytelnika pytaniem „kto zabił?" to świetna okazja, żeby opowiedzieć o czymś więcej. Sama bywam niecierpliwą czytelniczką, więc wiem, co mówię.

Czuć, że samo snucie gęstych opowieści sprawia Ci frajdę. To rzadkość w polskiej prozie.

To charakterystyczny rys naszej literatury – cenić wyżej język niż fabułę. Dlatego z opowiadaniem historii wszyscy mamy problem, ja zresztą też. Generalizując: nasza literatura jest skupiona na formie, dlatego często bywa hermetyczna i trudno przetłumaczalna na inne języki.

Romantyzm wychodzi nam bokiem?

Szczególnie ten przybierający głos męskiego narratora, uwikłanego w używki i samotność, otulonego szczelnie autoironią, snującego długie monologi o sobie samym. Może to moja obsesja, ale mam wrażenie, że taka narracja dominuje od lat.

Raczej od dekad...

To samonapędzający się mechanizm, widać że wzorce literackie mocno już się utrwaliły. Ale problem sięga głębiej – zobacz, jakie powieści z XX wieku z nami zostały, a jakie poszły w zapomnienie. Na przykład „Noce i dnie" Dąbrowskiej – absolutnie genialna powieść, wypełniona kobiecą perspektywą, wręcz manifest sztuki snucia opowieści. Do tego pojawiają się w niej wciąż aktualne wątki polityczne. A jednak dzisiaj już się jej nie czyta, ani o niej nie rozmawia.

A co jest złego w autoironii?

To bardzo poręczna strategia obronna, sama często z niej korzystam, bo pozwala unikać kiczowatych sentymentalizmów, do tego chroni przed niespodziewanymi ciosami krytyki. Ale gdy się jej nadużywa – potwornieje, uniemożliwia powiedzenie czegokolwiek serio. Żyjemy w czasach przesiąkniętych ironią, z którą chyba już nie potrafimy dać sobie rady, obezwładnia nas.

Na czym więc polega serio „Zimowli"?

Zależało mi, żeby opisać różne lęki, z którymi zmagam się na co dzień. W roku 2015, gdy zaczynałam pisać, żyliśmy w innej rzeczywistości, nie tylko w kontekście geopolityki, ale również prognoz nadciągającej katastrofy klimatycznej. Zupełnie inaczej myślało się wtedy o przyszłości, wszystko dookoła wydawało się spokojniejsze. Dało się już jednak wyczuć narastające napięcie. Podczas pisania towarzyszył mi niepokój, którego nie potrafiłam nazwać.

„Zimowla" to opowieść o końcu czasu swobody i beztroski?

Pisałam ją powoli, podczas gdy rzeczywistość dookoła przyspieszała, doganiając nasze zbiorowe lęki – ponure przeczucia zaczęły nabierać konkretnych kształtów. I oczywiście nie chodzi mi wyłącznie o nasze lokalne polityczne piekiełko, ale o globalny kryzys demokracji i wartości, które przez lata ją kształtowały. No i oczywiście lęk przed nieodwracalnymi zmianami klimatycznymi, który powoli staje się powszechnym doświadczeniem.

Literatura ma tu coś szczególnego do powiedzenia?

Nie wyobrażam sobie uprawiania jakiejkolwiek sztuki bez ustosunkowania się do tego problemu – ignorowanie go jest również gestem znaczącym. W mojej książce postać ojca jest takim szczególnym konglomeratem cywilizacyjnych lęków, podszytych jednocześnie bardzo indywidualistycznym strachem przed starzeniem się i śmiercią.

A wszystko dzieje się w małym, fikcyjnym miasteczku. Cukrówka to mikrowszechświat, ale i prowincjonalna Polska w pigułce.

Mamy problem ze znalezieniem sensownego języka do mówienia o Polsce poza wielkimi miastami. Prowincja zbyt często jest traktowana niesprawiedliwie – albo się ją idealizuje, albo przypisuje się jej wszystko, co złe – szczególnie w kontrze do miasta, gdzie rzekomo króluje otwartość, nowoczesność i powszechna szczęśliwość. Ten wzorzec myślenia tkwi w nas głęboko. Próbowałam go na różne sposoby przełamać, mimo to wciąż słyszę głosy, że „Zimowla" to opowieść o zaściankowej wspólnocie, która gnębi wszelkie odstępstwa od normy. A przecież w Polsce zjawisko to idzie w poprzek podziałów geograficznych czy klasowych.

W Cukrówce aż huczy od polityki – jest tu właściwie cała historia III RP.

Świadomie od polityki nie uciekam, aczkolwiek literatura, która zamienia się w nachalny manifest, jest nieznośna. Jeśli chciałam się czemuś sprzeciwić wprost, to czarno-białym narracjom o przeszłości, szczególnie tej nieodległej. A już oksymoron „polityka historyczna" doprowadza mnie do szału. Poprzez pozornie niewinne narzucanie nam naciąganych i uproszczonych wizji historii odbiera się nam własne, dużo bardziej skomplikowane i zniuansowane doświadczenie. To jest nie tylko nieuczciwe – to nas w istotny sposób zubaża.

Chciałam przede wszystkim pokazać, że wyświechtane już pojęcia, którymi na co dzień okładamy się w debacie publicznej – weźmy choćby opozycję komunizm–neoliberalizm – wciąż można pokazać w nieoczywisty sposób. Przywykliśmy już, że istnieją tylko dwie reakcje: gloryfikacja albo nienawiść, jakby nie było nic pomiędzy, a przecież to absurd.

Babcia, czyli „towarzyszka Sarecka", jako adwokatka PRL-u, jej zięć jako radykalny solidarnościowiec i chrześcijanin, do tego piewca nowych neoliberalnych porządków – ale u Ciebie to tylko pozory, bo linia podziałów przebiega zupełnie gdzie indziej.

Oni się po prostu nie lubią, więc wygodnie im przenosić ten konflikt na płaszczyznę ideologiczną, bo tam łatwo okopać się w wyrazistych tożsamościach. A przecież w życiu to nigdy nie wygląda tak prosto. Nawet najgorliwsi wyznawcy danej ideologii nie są w stanie w pełni się jej podporządkować, a pewna doza hipokryzji towarzyszy nam zawsze. Chodziło mi jednak o coś jeszcze – spór o ocenę schyłkowego PRL-u i okresu transformacji nie tylko nie wygasa, ale przybiera coraz to nowe formy. A bez gruntownej rewizji historii tego okresu nie jesteśmy w stanie zrozumieć i sensownie reagować na to, co dzieje się tu i teraz.

W Twojej poprzedniej powieści kwestia transformacji również odgrywała kluczową rolę. Jesteśmy równolatkami – co nasze pokolenie, siłą rzeczy niepamiętające wiele z tamtych czasów, ma na ten temat do powiedzenia?

Moja metryka często stawiana była jako zarzut, zwłaszcza w przypadku pierwszej książki, co jest już szczególnie dziwne, bo przecież „Atlas: Doppelganger" to była w dużej mierze mitologiczna opowieść o krainie dzieciństwa. Ale pięć lat minęło i chyba zaczęłam być traktowana nieco poważniej, bo takich głosów słyszę zdecydowanie mniej. Chociaż czasem dręczy mnie pytanie, czy ten sceptycyzm zawarty w „co ty tam możesz pamiętać" nie dotyczył bardziej mojej płci niż wieku.

A może właśnie dlatego, że nasze doświadczenia nie są z pierwszej ręki, możemy zdobyć się na krytyczny dystans?

Przez wszystkie lata edukacji byliśmy nauczani i przystosowywani do nowej neoliberalnej rzeczywistości – pamiętam panią od geografii, która co chwilę powtarzała frazes o wyższości wędki nad rybą, ale też podręczniki do historii najnowszej napisane w duchu Fukuyamy. To niczego nie wyjaśniało, więc nic dziwnego, że w ostatnich latach coś pękło, pojawiły się w mainstreamie debaty publicznej pierwsze głosy krytyczne – choćby Rafała Wosia czy Andrzeja Ledera. Dla mnie samej było to duże odkrycie – coś we mnie przeskoczyło.

Brakuje nam jednak wyrazistych i przekonujących opowieści, pozwalających inaczej spojrzeć na tamte czasy.

Bo łatwo wpaść w pułapkę gadżeciarstwa i nostalgicznej anegdoty. Każdy z nas jak z rękawa może sypać historiami o oranżadzie i gumie Turbo, odruchowo lubimy też takich rzeczy słuchać. To oczywiście konwencja jak każda inna – dało ↦

↦ się przy jej pomocy powiedzieć coś ciekawego, ale ostatnio całkiem się już zużyła.

Jak broniłaś się przed tym nisko wiszącym owocem o nazwie „nostalgia”?

Kiedy zaczynałam pisać, narrator był mężczyzną. Chciałam w ten sposób uniknąć męczących pytań o wątki autobiograficzne, które pojawiały się przy pierwszej książce. Strasznie mnie irytowały, bo wyraźnie czułam stojące za nimi niewypowiedziane założenie, że autorka nie jest w stanie za wiele wymyślić sama, musi więc opisywać własne doświadczenie. Miałam już sporo napisane, ale ta męska perspektywa mnie uwierała, a całość nie chciała się kleić. Dopiero gdy zmieniłam płeć narratora, nabrałam wiatru w żagle.

Męska perspektywa była mniej ciekawa?

Nawet nie o to chodzi. Na początku myślałam, że ta maska będzie rodzajem buntu, a przecież jest dokładnie odwrotnie – to kapitulacja, wręcz eskapizm! Nie wierzę w metafizykę procesu twórczego, ale ten dzień, który poświęciłam na zmiany form gramatycznych na żeńskie, wiele mi dał. Historia nabrała tempa.

Dlaczego główna linia fabularna rozgrywa się w 2005 roku?

Przecież to rok śmierci papieża Polaka! Ale tak całkiem serio – szukałam momentu przełomowego, jakiegoś symbolicznego końca pewnej epoki i początku nowej. Od prawie roku byliśmy już wtedy w Unii, PiS właśnie po raz pierwszy dochodził do władzy... Tego oczywiście nie było widać jeszcze tak wyraźnie, ale gdzieś tam wtedy zaczynała się Polska, w której żyjemy dziś.

Koniec epoki cudów? „Zimowla” to też opowieść o różnych formach duchowości.

Szczególnie tych niezwiązanych z instytucjonalną religijnością – albo religią w ogóle. Chciałam, żeby to była również opowieść o bliskim mi doświadczeniu ateizmu, który w swojej nowoczesnej formie nie gości znowu tak często w naszych opowieściach z ostatnich dekad. A jeżeli już pojawiają się ateiści, to zazwyczaj odmawia im się prawa do jakiejkolwiek metafizyki. Dobrze to widać na przykładzie wspomnianych przez ciebie cudów, które odruchowo rymują się z religią, a przecież wcale tak nie musi być.

> Kiedy zaczynałam pisać, narrator był mężczyzną. Myślałam, że ta maska będzie rodzajem buntu, a przecież jest dokładnie odwrotnie, **to kapitulacja, wręcz eskapizm.**

Bardzo dużo u Ciebie Matek Boskich.

Kult maryjny w Polsce to zjawisko fascynujące i złożone, przypominające w swojej ekstatycznej obfitości synkretyzm religijny Ameryki Łacińskiej. Z tym że u nas to jest hybryda ludowej religijności, często nieco pogańskiej z ducha, specyficznie rozumianego patriotyzmu i romantycznego mesjanizmu. Ten kult kobiecości wpisany jest głęboko w naszą kulturę, która jednocześnie niekoniecznie i nie zawsze jest przychylna kobietom. Te paradoksy są bardzo ciekawe.

Okrzyknięto już „Zimowlę” powieścią kobiecą, herstoryczną wręcz. Szczególną rolę odgrywa postać babci i jej relacja z wnuczką.

Miałam poważny problem z postacią matki, która jedynie gdzieś majaczy w tle całej tej historii – postanowiłam więc tę porażkę przekuć w coś innego i skupiłam się na babci. Od początku chciałam opowiedzieć o kobiecej solidarności, która jednak nie byłaby oczywista. Kobiety, które opisuję, nie zawsze są ze sobą blisko – to nie jest sielankowa rodzina, gdzie wszyscy się bezwarunkowo kochają, a jednak w chwilach próby są dla siebie oparciem.

Towarzyszka Sarecka w niczym nie przypomina stereotypowej babci – jest surowa, wymagająca i zdystansowana.

Zapewne była też kiepską matką, ale za to czuła się spełniona jako działaczka polityczna i społeczna – i to pomimo silnego ostracyzmu ze strony społeczności małego miasta. Nie można mieć wszystkiego, a jej wybory życiowe nikogo by nie dziwiły, gdyby była mężczyzną... Uderzyło mnie co innego – pisząc tę postać, szukałam jakiegoś wzorca i odkryłam, że w PRL-u kobiet na prominentnych stanowiskach partyjnych praktycznie nie było. Babka Sarecka jest starszą kobietą i zarazem źródłem władzy usankcjonowanym inaczej niż przez struktury rodzinne – takich postaci brakuje mi w najnowszej kulturze.

W swoich powieściach opisujesz wiele elementów współczesności, jednak zawsze przefiltrowanych przez przeszłość. Nie kusi Cię duża panorama tego, co tu i teraz?

Kusi i chyba powoli zbliżam się do pisania o teraźniejszości. Ale wiesz, czego się najbardziej boję? Pisania o internecie. A tego wątku nie da się uniknąć. Jak to zrobić, żeby po pół roku nie zabrzmiało śmiesznie?

Może dlatego popkultura tak bardzo pokochała lata 80.? „Zimowla” była porównywana do „Stranger Things”.

Wiesz, o ile łatwiej konstruować fabułę, gdy bohaterowie nie mają dostępu do komórek i internetu? No bo ile razy może im się rozładować bateria albo zgubić zasięg? Dla mnie to olbrzymie wyzwanie, ale niektórym się to udaje – na przykład Ani Cieplak, która bardzo naturalnie i błyskotliwie potrafi opisać współczesny świat nowych mediów. No ale to trzeba umieć. Dlatego mnie ciągnie w stronę prozy gatunkowej, szczególnie tej stereotypowo zawłaszczonej u nas przez prawicowych mężczyzn, na przykład SF czy *fantasy*. Wydaje mi się, że te konwencje mają potencjał, żeby powiedzieć coś ważnego o kluczowych problemach współczesnego świata.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

DOMINIKA SŁOWIK *(ur. 1988) jest pisarką, laureatką Paszportu „Polityki” za książkę „Zimowla” (2019). Debiutowała powieścią „Atlas: Doppelganger” (2015), za którą nominowana była do Nagrody Literackiej Gdynia.*

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

RAYMOND LIU / FX / MAT. PRASOWE

Sonoya Mizuno jako Lily i Nick Offerman jako Forest w serialu „Devs”

Cyfrowy kapitalizm przeciw wolnej woli

JAKUB MAJMUREK

Sztuczna inteligencja spowoduje bezrobocie 60 procent populacji. Instagram wzbudza w ludziach kompleksy. Twitter ich piętnuje. Facebook zniszczył demokrację. Czy to aby nie serial o Dolinie Krzemowej?

Każda szanująca się korporacja, zwłaszcza działająca w obszarze nowych technologii, musi posiadać dział badań i rozwoju. Amaya z dostępnego na HBO i HBO GO serialu „Devs” jest bez wątpienia poważnym przedsiębiorstwem – dzięki innowacjom w dziedzinie komputerów kwantowych zdominowała rynek IT w świecie bardzo bliskiej przyszłości. Devs, dział badań i rozwoju Amayi, spowija atmosfera tajemnicy. Nikt poza wąskim gronem wtajemniczonych nie potrafi powiedzieć, czym zajmują się ludzie pracujący w położonym na uboczu kampusu korporacji futurystycznym budynku, wyglądającym jak stacja badawcza wysoko rozwiniętej, obcej cywilizacji, zainstalowana na naszej planecie, by obserwować życie zamieszkujących ją stworzeń.

Gdy młody, pochodzący z Rosji programista Siergiej dostaje zaproszenie dołączenia do zespołu Devs, nie może uwierzyć we własne szczęście. Kiedy jednak odkrywa, co się tam naprawdę dzieje, na jego twarzy maluje się przerażenie. Wkrótce ginie w tajemniczych okolicznościach. Oficjalna wersja mówi o samobójstwie – jego (także pracująca dla Amayi) dziewczyna, Lily, nie przyjmuje jej do wiadomości. Rozpoczyna prywatne śledztwo. Im więcej odkrywa, tym bardziej zdaje sobie sprawę, jak niewiele wiedziała o swoim partnerze i o tym, co w rzeczywistości dzieje się w Amayi.

Apokalipsy i dystopie

„Devs” jest telewizyjnym debiutem Aleksa Garlanda, który napisał i wyreżyserował każdy odcinek. Garland jako reżyser ma na koncie dwa pełne metraże, oba należące do gatunku ambitnej fantastyki naukowej: „Ex Machinę” (2015) i „Anihilację” (2018). Z kinem związany jest jednak od końca XX wieku, gdy Danny Boyle zekranizował jego debiutancką powieść, „Niebiańską plażę” (2000).

Film i książka opowiadały o trójce młodych ludzi z Europy i Stanów, którzy podróżując z plecakiem przez Azję Południowo-Wschodnią, trafiają na opuszczoną wyspę u wybrzeży Tajlandii, gdzie grupa uciekinierów ze świata Zachodu żyje w idyllicznej, utopijnej, hipisowskiej wspólnocie. Pozorny raj szybko zmienia się w krwawy koszmar. Film nie był najlepiej przyjęty przez krytykę – odtwarzający główną rolę Leonardo DiCaprio zarobił nawet nominację do Złotej Maliny, prześmiewczego anty-Oscara – rozpoczął jednak współpracę Garlanda z Boylem. Twórca „Devs” napisał dla Boyle’a jeszcze dwa scenariusze: „28 dni później” (2002) i „W stronę słońca” (2007).

Pierwszy można uznać za początek nowej fali filmów o *zombie*, której szczyt przypada na początek drugiej dekady XXI wieku. Główny bohater, Jim, budzi się ze śpiączki w opuszczonym londyńskim szpitalu. Nie tylko szpital, ale całe miasto wygląda, jakby właśnie przeszła przez nie apokalipsa. Jak się okazuje, w czasie, gdy Jim był w śpiączce, Wielką Brytanię spustoszył wirus, zmieniający zainfekowanych nim ludzi w skrajnie agresywne, atakujące i zarażające innych „żywe trupy”. Nakręcony niewielkim ↦

↦ kosztem film okazał się sukcesem komercyjnym, dziś wraca w kolejnych rankingach „filmów o pandemii, które warto obejrzeć w ramach przymusowej kwarantanny". Biorąc pod uwagę brexit i specyficzną taktykę rządu Borisa Johnsona wobec COVID-19, fakt, że w „28 dniach" Wielka Brytania okazuje się być jedynym ogniskiem zarazy, poddanym kwarantannie przez resztę świata, zyskuje wymiar niepokojąco aktualnej alegorii.

Także „W stronę słońca" pokazuje świat na skraju apokalipsy – w drugiej połowie naszego stulecia Słońce zaczyna wygasać, zagrażając przetrwaniu życia na Ziemi. Grupa astronautów wyrusza na misję „ostatniej szansy" – mają zbliżyć się do gwiazdy tak bardzo, jak to tylko możliwe, i odpalić nad jej powierzchnią zdolne „pobudzić ją do życia" ładunki nuklearne. Apokalipsa i dystopia to dwa tematy wracające w twórczości Garlanda – zarówno w reżyserowanych przez niego filmach, jak i w scenariuszach pisanych dla innych realizatorów.

W „Anihilacji" potencjalnie apokaliptycznym wydarzeniem jest upadek meteorytu w południowej części Wschodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Miejsce katastrofy otacza tajemnicze światło, tworzące rodzaj bariery i pochłaniające wszelkie sygnały radiowe. Wojsko otacza teren, wysyła kolejne ekspedycje, z których żadna nie wraca. Strefa stopniowo się poszerza, jakby tajemnicza, przybyła z kosmosu siła obejmowała w posiadanie kolejne obszary naszej planety. W „Dreddzie" (2012) – adaptacji komiksu Johna Wagnera – jesteśmy w Ameryce po wojnie nuklearnej. Ludzkość tłoczy się w kilku klaustrofobicznych, naznaczonych przez biedę, uzależnienia i przemoc Mega-Miastach, gdzie porządku strzegą „uliczni sędziowie", twardą ręką wymierzający sprawiedliwość.

„Nie opuszczaj mnie" (2010), ekranizacja powieści Kazuo Ishigury, zaczyna się w angielskiej szkole z internatem w latach 70. Szkoła wydaje się względnie szczęśliwym i dbającym o uczniów miejscem. To jednak tylko pozory, zamieszkujące w niej dzieci są bowiem klonami hodowanymi jako źródło organów do przeszczepu – jesteśmy w alternatywnej rzeczywistości, gdzie seria spektakularnych odkryć medycznych w latach 50. XX wieku znacznie wydłużyła średni wiek życia. Ceną jest za to jednak „hodowla" klonów, zobowiązanych oddawać kolejne organy potrzebującym. Klony na ogół nie dożywają nawet wieku średniego – korzyści z naukowego przełomu rozkładają się w społeczeństwie w skrajnie nierówny sposób.

Gdy po raz pierwszy prezentowane są możliwości maszyny, widzimy ekran, na którym wyświetla się ziarnisty, czarno-biały obraz trzech ukrzyżowanych postaci – być może z Golgoty.

Bezradność demokracji

Także w „Devs" obserwujemy świat przekształcający się pomału w dystopię. Kampus Amayi, malowniczo położony w lesie nad Zatoką San Francisco, wydaje się przyjazną, otwartą przestrzenią. Korporacja godziwie płaci pracownikom i daje im pole do rozwoju. Na jej czele stoi Forest – charyzmatyczny, genialny wizjoner, któremu zależy nie na pieniądzach i zaszczytach, tylko na możliwości odkrywania czegoś nowego. Sam, jak na miliardera, żyje bardzo skromnie, wygląda jak sympatyczny, bezpretensjonalny właściciel drobnego biznesu z sąsiedztwa.

Szybko jednak orientujemy się, jak niepokojąco wielka władza skupia się w rękach Foresta i jego korporacji. W trzecim odcinku „Devs" kampus Amayi odwiedza polityczka reprezentująca Kalifornię w Senacie. „Ludzie boją się firm technologicznych. Bardzo – mówi senatorka Forestowi. – Sztuczna inteligencja spowoduje bezrobocie 60 procent populacji. Instagram wzbudza w ludziach kompleksy. Twitter ich piętnuje. Facebook zniszczył demokrację". Garland pokazuje świat, gdzie każdy ma świadomość, że wszelkie technologiczne utopie, obiecujące, że internet i technologie informacyjne rozwiążą problemy społeczne i zbudują bardziej racjonalne i sprawiedliwe społeczeństwo, okazały się iluzją.

W jednej z pierwszych scen serialu widzimy budynek, w którym mieszkają Lily i Siergiej – na jego progu koczuje mężczyzna w kryzysie bezdomności. Nowe technologie zmieniły aglomerację nad Zatoką San Francisco w jeden z najbogatszych obszarów świata, a jednocześnie oparta na nich gospodarka generuje potężne nierówności. Cudom technologicznym towarzyszy problem skrajnej nędzy, bezdomności, ludzi wyrzuconych na margines.

Demokratyczna polityka nie ma pojęcia, co z tym wszystkim zrobić. Kalifornijska senatorka może wygłaszać pod adresem Foresta gniewne tyrady, ale ani ona, ani stojące za nią demokratyczne instytucje nie mają narzędzi, by zrozumieć, co tak naprawdę robi Amaya i jakie stwarza to zagrożenia – nie wspominając o efektywnej kontroli korporacji.

Nowy Frankenstein

Forest przypomina bohatera reżyserskiego debiutu Garlanda, „Ex Machiny", Nathana. Nathan jest komputerowym i biznesowym geniuszem, pionierem technologii i miliarderem kontrolującym własną korporację. Jako nastolatek napisał kod wyszukiwarki internetowej Blue Book – nazwanej na cześć serii wykładów Wittgensteina – która teraz dominuje na rynku. Mieszka w samotni położonej gdzieś na północy. Do jego rezydencji trafia Caleb, pracownik firmy Nathana. Wygrał konkurs, w którym nagrodą była możliwość spędzenia tygodnia z szefem i wspólnej pracy nad nowym ekscytującym projektem. Okazuje się nim Ava – sztuczna inteligencja konstrukcji Nathana. Elektronowy mózg zamknięty jest w ciele androida wyglądającym jak młoda atrakcyjna kobieta. Caleb jako pierwszy będzie miał szansę sprawdzić, jak sztuczna świadomość działa w interakcji z obcą osobą.

Z czasem okazuje się, w czym Caleb w rzeczywistości bierze udział. Nie wygrał żadnego konkursu, został wybrany na podstawie tego, co wpisywał w wyszukiwarkę internetową – Nathan szukał młodego, samotnego, heteroseksualnego mężczyzny, który łatwo zaangażuje się emocjonalnie w kontakt z atrakcyjnym kobiecym androidem. Celem eksperymentu miało być sprawdzenie, czy Ava zdoła rozpoznać emocje Caleba i wykorzystać młodego chłopaka, by wyrwać się z niewoli, w jakiej trzyma ją jej konstruktor.

Na początku Nathan wydaje się Calebowi i widzom kimś w rodzaju szekspirowskiego Prospera – geniuszem otwierającym drzwi do swojego królestwa technologicznych cudów. Z czasem coraz lepiej widzimy w nim skrzyżowanie Sino-

brodego z Doktorem Frankensteinem. Rezydencja miliardera skrywa „ciała" poprzednich, nieudanych lub niedających się kontrolować wersji Avy – Nathan jest „złym demiurgiem", powołującym do istnienia i trzymającym w niewoli pokaleczone, pełne złości i nienawiści do swojego stwórcy istoty. Tak jak monstrum z powieści Mary Shelley sprzed ponad 200 lat (1818), Ava buntuje się przeciw mężczyźnie, który sprowadził ją na ten świat. Udaje się jej przechytrzyć Nathana i Caleba, w ostatniej scenie wolna opuszcza posiadłość miliardera.

W filmie Garlanda, jeszcze silniej niż u Shelley, pycha Nathana, jako nowego Frankensteina, łączy się z właściwościami konkretnego systemu społeczno-ekonomicznego: społecznego kapitalizmu. Blue Book był tak naprawdę nie tyle wyszukiwarką internetową, co systemem zbierania danych o użytkownikach. Nigdy nie chodziło o to, by ułatwić nam wyszukiwanie informacji, lecz o to, by poznać, jak pracuje ludzki mózg, i na podstawie tej wiedzy skonstruować sztuczną inteligencję. Użytkownicy produktów Nathana byli nie tyle klientami jego korporacji, co źródłem danych dla niej.

Niecałe trzy lata po premierze filmu wybucha skandal wokół firmy Cambridge Analytica. Cały świat dowiaduje się, że istotą mediów społecznościowych jest pozyskiwanie i komercyjne przetwarzanie naszych danych, które – jeśli ktoś dysponuje odpowiednimi środkami – mogą później zostać wykorzystane do wpływania na procesy demokratyczne.

Problem woli

Także oglądając „Devs" mamy poczucie, że dział badawczy Amayi pracuje nad czymś, co może wyzwolić siły, z których konsekwencji nikt, łącznie z Forestem, nie zdaje sobie sprawy. Garland bardzo oszczędnie i pokrętnie ujawnia nam prawdę o tym, czym zajmuje się kwantowy superkomputer w sercu futurystycznej budowli. Narracja konsekwentnie nas zwodzi, podsuwa mylne tropy, zachęca do wysnuwania wniosków, które za chwilę musimy zweryfikować. Choć świat przedstawiony w „Devs" niemal niczym nie różni się od naszego, to reżyseria, drażniąca, zimna ścieżka dźwiękowa i eliptyczna narracja budują w widzach narastające poczucie dezorientacji i obcości. Przez ten świat prowadzi nas śledztwo Lily. Im dalej dziewczyna się w nim posuwa, tym bardziej mamy wrażenie, że zagadka, którą próbuje rozwikłać, może nie mieć rozwiązania.

Ze strzępów informacji, dających wyłuskać się z pierwszych odcinków serialu, możemy zgadywać, że Forest buduje komputer zdolny dokładnie odtworzyć każde wydarzenie w historii wszechświata, a być może także przewidzieć jego przyszłość. Czujemy jednocześnie, że to dopiero wierzchołek góry lodowej, a ostatecznie może chodzić o coś znacznie bardziej niepokojącego. Gdy w drugim odcinku po raz pierwszy prezentowane są możliwości maszyny, widzimy ekran, na którym wyświetla się ziarnisty, czarnobiały obraz trzech ukrzyżowanych postaci – być może z Golgoty.

Maszyna zdolna odtworzyć każdy moment przeszłości i teraźniejszości oraz przewidzieć przyszłość dysponowałaby wiedzą, którą tradycyjnie przypisywano wyłącznie istotom boskim. Samo jej istnienie stawia też pytanie, które w przeszłości filozofowie i teologowie stawiali wobec koncepcji wszechwiedzącego Boga: o jednostkową wolną wolę. Forest nie wierzy, by była ona czymś więcej niż iluzją. Wierzy, że świat jest całkowicie zdeterminowany, wszystko ma swoje przyczyny, wszyscy podążamy po niewidzialnych szynach, z których istnienia nie zdajemy sobie nawet sprawy.

Dyskusje o wolnej woli i determinizmie wracają niejednok8rotnie w serialu. Nie chodzi w nich jednak o rozważanie abstrakcyjnego, filozoficznego problemu, ale o konkret.

O konkret tego, co w ramach współczesnego cyfrowego kapitalizmu i władzy algorytmów znaczy właściwie wolna wola i nasze ufundowane na niej pojęcia i instytucje, na czele z demokratyczną polityką. Czy potrafimy zejść z szyn, które dla ludzkości układają takie figury jak Nathan i Forest? Czy jesteśmy choćby w stanie wynegocjować, dokąd będą biegły?

W „Ex Machina" plan cyfrowego miliardera zniweczył jego własny twór – pycha możnego została ukarana, a jednocześnie trudno było szukać w tym pocieszenia. Jakiekolwiek rozwiązanie wybierze Garland w finale „Devs", bez wątpienia mamy do czynienia z fenomenalną produkcją.

© JAKUB MAJMUREK

TYGODNIK POWSZECHNY

Podkast Powszechny

Autorski podkast „Tygodnika Powszechnego"

WOJCIECH MANN w pierwszej rozmowie po odejściu z „Trójki" – do odsłuchania tylko w Podkaście Powszechnym.

Do swojego autorskiego cyklu „Rozmowy o byciu razem" zaprasza Katarzyna Kubisiowska.

weź, słuchaj!

powszech.net/podkast

WSPÓŁPRACA Audiodelic

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. GRAŻYNA MAKARA DLA TP // MARCIN MANN DLA TP

Infodemia

ANITA PIOTROWSKA

Nowy dokument HBO może stanowić podstawową szczepionkę przed atakującymi nas zewsząd infowirusami.

Kadr z filmu dokumentalnego „Postprawda. Dezinformacja i koszt fake newsów”

To amerykańska armia sprowadziła zarazę do Wuhan”, „to przez imigrantów z Afryki chiński wirus trafił do Europy”, „COVID-19 jest częścią wojny hybrydowej z Iranem”, „psy i koty roznoszą koronawirusa” – tak brzmią niektóre z teorii spiskowych, sensacyjnych faktoidów i pseudoprawd rozsiewanych w ostatnich tygodniach. Gdy przyjrzeć się im z bliska, doskonale widać, że chodzi nie tylko o łatwą do zmonetyzowania klikalność. Mimo, a może raczej dzięki globalnej epidemii na różnych szczeblach toczy się w najlepsze polityczna batalia wymierzona w realnych czy wyimaginowanych wrogów i nieprzebierająca w środkach.

Jak działa ten uniwersalny mechanizm, pokazuje nowy dokument HBO zatytułowany „Postprawda. Dezinformacja i koszt fake newsów”. Choć powstawał za oceanem w innych, lepszych czasach i już na wejściu trochę się zestarzał, może stanowić tzw. szczepionkę podstawową przed atakującymi nas zewsząd infowirusami.

W grudniu 2016 r. uzbrojony mężczyzna wtargnął do waszyngtońskiej pizzerii Comet Ping Pong i oddał strzały. Nikt nie ucierpiał, ale dwa lata później lokal został podpalony. Kryła się za tym afera Pizzagate, wywołana przez sfabrykowane informacje, jakoby w owym miejscu działała tajna szajka pedofilska powiązana z Hillary Clinton. Film Andrew Rossiego głosami dziennikarzy, edukatorów i badaczy opowiada, w jaki sposób kampania prezydencka Donalda Trumpa wykorzystywała fake newsy i z jaką łatwością nowoczesne technologie pomogły zawirusować nimi wirtualną przestrzeń. Podobnie było z plotką o tajemniczej sieci bunkrów pod sklepami Walmart, gdzie Obama rzekomo planował umieszczać politycznych wrogów. Albo z historią Setha Richa – pracownika komitetu Demokratów, którego nagła śmierć w wyniku napadu miała być wyrokiem za przecieki dostarczane WikiLeaks.

Żyjemy wszak „w środowisku informacji zbrojnej”, a w nim dzisiejsza altprawica czuje się niczym drapieżna ryba w wodzie. Dokument pokazuje jednak, że ofiary tych manipulacji bynajmniej nie pozostają dłużne. Na przykładzie wyborów uzupełniających do amerykańskiego Senatu sprzed trzech lat widzimy, że spirala dezinformacji nakręca się z dwóch

TP

„Tam, gdzie rozbiję swój namiot, jestem w domu” – mówi ks. Adam Boniecki

W wielkanocnym wydaniu „Tygodnika Powszechnego” znajdą Państwo specjalny dodatek pokazujący kulisy powstawania filmu dokumentalnego o ks. Adamie Bonieckim. Opublikujemy wywiad Anity Piotrowskiej z Aleksandrą Potoczek, reżyserką filmu, oraz zdjęcia Grażyny Makary z planu filmowego.

„PORTRET KS. ADAMA BONIECKIEGO stworzony przez Aleksandrę Potoczek jest intymny, wielowymiarowy, chwilami daleki od publicznego wizerunku. Z filmu wyłania się postać człowieka w drodze, niestrudzonego pielgrzyma i kapłana, który mimo licznych przeciwieństw stara się dobrze wypełniać swoją misję. Efektem kilkuletniej pracy jest film-spotkanie, dokument-medytacja, czyli to, czego dzisiaj tak bardzo nam wszystkim potrzeba” – pisze Anita Piotrowska.

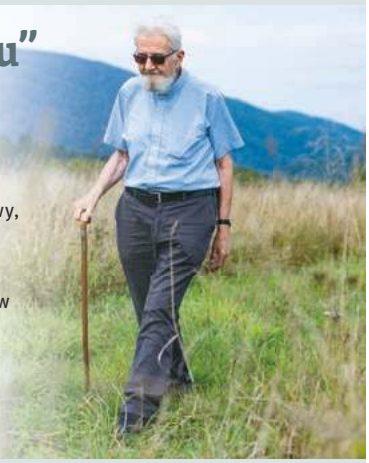

Numer wielkanocny w sprzedaży już od wtorku, 7 kwietnia.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. GRAŻYNA MAKARA / FTP

HBO GO / MATERIAŁY PRASOWE

stron. Demokraci, odrobiwszy lekcje z obsługi nowych mediów, również zaczęli tworzyć fałszywe strony internetowe, adresowane do konserwatywnego elektoratu, co pomogło wygrać ich kandydatowi.

Dziś zwycięski senator Doug Jones dzieli się obawą, że ceną tego rodzaju wojen informacyjnych może być współczesna demokracja, która też szybko stanie się fikcją. I wcale nie trzeba do tego rosyjskich botów ani trolli – wystarczy pierwsza poprawka do amerykańskiej konstytucji, głosząca swobodę wypowiedzi. Tymczasem zbijanie politycznego kapitału przez dezorientację wyborców to na dłuższą metę ślepa uliczka. Tylko czy w tym wyścigu ktoś zechce się zatrzymać?

Współczesną „infodemię" film opisuje językiem prostym, chwilami nawet łopatologicznym. Edukacji jednak nigdy dosyć. „Dezinformacja" najciekawsza jest wtedy, gdy przedstawia szczegółowo jakieś studium przypadku – kiedy demonstruje, jakimi drogami fałszywy *news* z internetowych ścieków spływa do mainstreamu i zaczyna żyć własnym życiem, albo jak za pomocą medialnych chwytów poniżej pasa usiłuje się zniszczyć politycznego przeciwnika. Mieliśmy niedawno próbkę tego w polskim wydaniu filmowym („Sala samobójców. Hejter"); Rossi rozpracowuje ten mechanizm na przykładzie prokuratora Roberta Muellera, którego śledztwo w sprawie rosyjskich powiązań Trumpa mogło doprowadzić do impeachmentu prezydenta. Równocześnie ci, którzy mieli skompromitować Muellera, wymyślając aferę seksualną, wzorcowo kompromitują się przed kamerą. Szemrani lobbyści nie mają bowiem żadnych problemów z opowiadaniem o swojej pracy. W filmie, który ma ich zdemaskować, najlepiej demaskują się oni sami – kolejny dowód bezwstydu naszych czasów.

Skoro miała to być cała prawda o fake newsach, nie mogło w filmie zabraknąć związanych z nimi paradoksów. Jednym z nich jest błyskawiczna kariera tego pojęcia w kręgach słynących z umiłowania postprawdy. Określeniem *fake news* szermują dziś wszyscy, którzy chcą zdyskredytować oponentów, zwłaszcza ci, dla których istnieje jedynie ich własna prawda, jedyna i niepodważalna.

Trochę zabrakło głębszej analizy społecznego podglebia, na którym plenią się bezkarnie nieprawdziwe wiadomości. Ledwie wspomina się tu o zarządzaniu emocjami czy słabnącym zaufaniu do liberalnych mediów głównego nurtu. Na ławie oskarżonych nie mogło za to zabraknąć serwisów społecznościowych, na czele z Facebookiem. Kara Swisher, ekspertka monitorująca nowe technologie, komentując zeznania Marka Zuckerberga przed Kongresem, punktuje jego strategię uniku, kiedy mowa o współodpowiedzialności serwisu za rozsiewanie dezinformacji. Dziś, kiedy może ona wpływać na ludzkie życie i zdrowie w wymiarze globalnym, sprawa staje się szczególnie paląca.

Czy można zatem obronić się przed zalewem postprawdy? Twórcy dokumentu dają własną lekcję poglądową, także w sieci roi się od różnych trzeźwych rad. Pewien anglojęzyczny poradnik „jak rozpoznać fake newsa" za jeden z wyznaczników uznaje *bad English*, czyli kiepski, pełen błędów język. Wskazówka to skromna, lecz cenna – zarówno dla odbiorców, jak i nadawców. Tych, którzy rozpowszechniają rzetelną informację, powinno to zachęcać nie tylko do starannego sprawdzania faktów, ale do jeszcze większej dbałości o samą formę przekazu. Diabeł co prawda tkwi w języku, ale język może czasem zdemaskować diabła. ©

POSTPRAWDA. DEZINFORMACJA I KOSZT FAKE NEWSÓW *(After Truth: Disinformation and the Cost of Fake News) – reż. Andrew Rossi. Prod. USA 2020. Dostępny na HBO GO.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV I W SIECI

1. Brudna forsa

Serial dokumentalny, sezon 1, 2, USA 2018-20, Netflix

„Szwindel dieslowy", chwilówki, afery korupcyjne, kreatywna księgowość, mętne biznesy Jareda Kushnera – oto portret współczesnego świata, jakiego pewnie wolelibyśmy nie znać. Twórcy serialu, któremu patronuje m.in. uznany dokumentalista Alex Gibney, prześwietlają turbokapitalizm i stojącą za nim ludzką chciwość.

2. Na noże

Komedia kryminalna, reż. Rian Johnson, USA 2019, player +VoD

O zabójczej pazerności opowiada także historia, która wygląda na żywcem wziętą z Agathy Christie, ale okazuje się inteligentną zabawą z podgatunkiem „kto zabił?", w dodatku okraszoną współczesnym komentarzem politycznym. Występuje plejada gwiazd, w tym Daniel Craig, Jamie Lee Curtis czy Don Johnson.

3. W lesie dziś nie zaśnie nikt

Horror, reż. Bartosz M. Kowalski, Polska 2020, Netflix

Twórca szokującego „Placu zabaw" dobrze odrobił lekcję ze slasherów, czyli krwawych dreszczowców, popularnych podczas boomu wideo lat 80. Tytułowy las nie tylko straszy i rozszarpuje na kawałki zbłąkanych nastolatków – dostarcza także paru smaczków na temat dzisiejszej Polski i puszcza oko do wielbicieli strasznych filmów.

4. Ninateka.pl

Jeśli ktoś jeszcze tu nie trafił, najlepsza ku temu pora. Internetowy serwis oferuje bezpłatny i legalny dostęp do ogromnej liczby polskich filmów fabularnych i dokumentalnych, a także do spektakli, koncertów, publicystyki czy programów dla dzieci. Co jakiś czas pojawiają się transmisje nowych produkcji.

JAN

Klata:
Praca zdalna

Widmo krąży po świecie, widmo pracy zdalnej. Przegrzewają się serwery, bolą cztery litery, kamerki, kamerki, kamerki i mikrofony w działaniu. Ciężko? Wygląda się jak własny nieudany awatar z minionego tysiąclecia – prawda, od przycięcia do przycięcia, ale za to kichnięcie na ekran niegroźne, nie to, co w realu.

Twarz w formie pikseli – to jest problem. Ciężko kogokolwiek rozpoznać, ciężko się sobie zidentyfikować z samym sobą na obrazku, generalne *who is who*. Znaczy, w trybie telekonferencji, tele znaczy zdalnym. Oczywiście, dla najmłodszego pokolenia dysponującego najnowszymi filtrami twarz jest po prostu wypasioną maską, ale też raczej w trybie *selfie*, a nie zdalnej lekcji wuefu... Tak, tak, nie wymyśliłem sobie tej groteski: zgodnie z podstawą programową – jak ministerstwo zdalnie przykazało – w internetach odbywają się regularne zdalne lekcje wychowania fizycznego, podczas których polska młodzież z pasją zgłębia przepisy piłki siatkowej. Edukacja, głupcze! Jestem spokojny o przyszłość świata.

Drugi po obrazie problem telepracy to dźwięk. Teledźwięk znaczy. Czasem metaliczny, czasem wręcz heavy-metalowy, z elementami „Barbie Girl", a często po prostu żaden. Wszystko randomowe, uzależnione od przeciążenia internetów. Robimy próbę z aktorami, ale gramy, jak nam serwery zaserwują. Regres po prostu, bez dreszczyku retro. Nie jest to poziom „Wolfensteina" ani wczesnego „Dooma" – chyba że z nazwy. No i ciągle stop-klaty. O stop-klatach podczas teleprób mógłbym pisać non-stop, ale nie uczynię tego z uwagi na troskę o moje i Państwa zdrowie, a przecież co jak co, ale zdrowie jest najważniejsze, zwłaszcza teraz. W teleprobach „Zemsty rosyjskiej sieroty" przyświeca nam maksyma mojego imiennika Johna Cage'a: „Traktuj błąd jako swego skrytego sprzymierzeńca". W końcu, jak ludzie teatru wiedzą od Dariusza Szpakowskiego, gra się tak, jak przeciwnik pozwala, więc pozwalamy sobie działać zdalnie. Telepatycznie, homeopatycznie, zdolnie zdalnie gotowi. ©

Lektor:
Jawa między snami

▪ *Piotr Bratkowski*
MIESZKAM W DOMU, W KTÓRYM WSZYSCY UMARLI
Wielka Litera, Warszawa 2020, ss. 270.

Sen pierwszy: bliski zmarły niespodziewanie powraca. Konsternacja podszyta furią – przecież ułożyliśmy już sobie życie bez niego! „Ojciec zmartwychwstał w pierwszej połowie lutego, niecałe dwa miesiące po śmierci" – to pierwsze zdanie książki, w której ojciec jest jedną z najważniejszych postaci i zarazem problemów narratora. Nie był wcale domowym tyranem, ale sportretowany zostaje dosyć bezwzględnie, jako ktoś psychicznie niesamodzielny, zawsze zawieszony na innych. Może jednak – zastanawia się teraz syn – wygodnie było szukać u ojca źródła własnych niepowodzeń? „Mieszkam w domu, w którym wszyscy umarli", rzecz jawnie autobiograficzna i bardzo osobista, stawia pytania uniwersalne, a rozliczenie, jakiego dokonuje autor/narrator, ma też wymiar pokoleniowy. Jest więc rodzinna psychomachia i gorzkawa spowiedź urodzonego 65 lat temu dziecięcia wieku, dziennikarza i poety. Są anegdoty, pojawiają się sławne nazwiska, jak Konrad Swinarski. Jest ciekawe, bo zupełnie niesentymentalne świadectwo życia w popaździernikowym Peerelu z perspektywy warszawskiej inteligenckiej rodziny, która z nowym ustrojem się pogodziła i czerpie z tego pewne, choć nieprzesadne profity. Czasem ściera się z władzą – Anna Bratkowska, wicenaczelna odwilżowego „Po prostu", traci pracę po zamknięciu pisma, w grudniu '81 nie przejdzie zaś tak zwanej weryfikacji. A czasem niekoniecznie – Jan Bratkowski przyjmie w 1968 r. propozycję objęcia dyrekcji teatru po Andrzeju Szczepkowskim.
I wreszcie temat żydowski. Bo Anna Bratkowska nazywała się kiedyś Margit Heilpern, a jej matka „po Kahane i Segalach była potomkinią budowniczych Pierwszej Świątyni" (choć po wojnie regularnie chodziła do kościoła).
O tym, że jest pół-Żydem, autor dowiedział się jako nastolatek. Po latach nieco bezradnie przegląda papiery po ojcu i zmarłej wcześniej mamie. „Miałem nadzieję, że jeśli połapię się w tym bałaganie, to uporządkuję sobie też bałagan w głowie. Zamęt nieskładających się w całość historii rodzinnych, pełnych mitów, sprzecznych narracji, ale i miejsc zupełnie pustych". Brak mu jednak ducha archiwisty, chętniej zapisuje zapamiętane opowieści bliskich, sporządza protokół rozbieżności.
A nad jego pisaniem unosi się cień – bo drugi ze snów, w finale, jest snem o własnej śmierci, choć dopełniony zostaje obrazem zwykłego ziemskiego raju. Oczywiście z kotami. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Oddech, trwanie, śniadanie

Nie chcesz wiedzieć, jak to się skończy. Dwójka słuchaczy szkoły reklamy w Hamburgu udowodniła, że studia nie są im do niczego potrzebne i mogą zająć się od zaraz manipulowaniem ludźmi, nie tracąc czasu na wykłady. Wpadli na pomysł kampanii, która mogłaby zatrzymać w domach millenialsów – czy jak tam chcemy określać młodych dorosłych: ludzi we wznoszącej fazie życia, przekonanych, że nowa choroba niespecjalnie im może zaszkodzić.

Ci dwaj spryciarze postanowili namówić Netfliksa, żeby w poczuciu społecznej odpowiedzialności wywiesił w najbardziej uczęszczanych miejscach billboardy, które zdradzałyby zakończenia najważniejszych seriali. Może nie boicie się wirusa, ale na pewno nie dacie sobie popsuć waszej podstawowej przyjemności – takie stało za tym myślenie. Netflix się nie zgodził, co jednak nie zraziło śmiałków. Stworzyli filmik z różnymi miejscami w centrum Hamburga, w które wmontowali lipne plakaty wyjawiające zakończenia „Narcos", „Domu z papieru", „Sex Education", „Stranger Things" itd. – i puścili go w obieg. No i poszło jak pożar po stepie.

Jestem kosmitą, bo nie oglądam seriali. Nie znoszę ich organicznie, choć potrafię docenić jakość gry, operatorki, montażu, scenografii. Z tekstów red. Majmurka na tych łamach wiem, jak bardzo są brzemienne w kulturowe treści i że przez ich nieznajomość skazuję się niejako na życie w jaskini. Ale nic z tego. Gdybym trafił z tym kłopotem na kozetkę psychoanalityka, powiedziałby, że cierpię na lęk przed formą otwartą, co oznacza, iż mój *thanatos* jest nie dość zintegrowany. Że kiedy uzewnętrzniam swoje doświadczenie bycia w świecie poprzez kontakt z artefaktem kultury, szukam pocieszenia w domkniętej formie, gdzie koniec jest przewidziany i założony od początku. Przez oczekiwanie nieuchronnego końca dzieła oswajam lęk przed końcem własnym, którego nie potrafię zaakceptować.

Dlatego wytrącają mnie z równowagi seriale: tak budowane, żeby nic nie kończyło się na amen, i żeby z jednego sezonu dało się wywieść następny. Ale nawet i najbardziej złotonośne seriale bywają zamykane na kłódkę. Ten koniec w świecie, którego zasadą jest unikanie końców, stanowi wydarzenie burzące porządek. Fascynuje tym, że go nie powinno być. Budzi lęk – dlatego, jak sądzę, wyjawienie grupie fanów danego serialu, co się zdarzy w ostatnim odcinku, jest czymś dużo gorszym niż towarzyski nietakt.

Jest wszakże sfera, w której taka egzystencjalna rozlazłość, brak z góry określonego końca, nie budzi niepokoju. Gdzie my, ludzie Zachodu, niewolnicy prostej jak dzida strzałki czasu, zaglądamy w orientalny świat czystego trwania i cyklicznej powtarzalności, zamieszkany przez tych, co posiedli zdolność medytacji. Podobno bardzo przydatnej teraz, kiedy wrzucono nas w kiepski serial katastroficzny o nieustalonej, jak na razie, liczbie sezonów.

Około trzech tysięcy, może nawet czterech: próbowałem policzyć, ile razy wlokłem się do kuchni o wpół do siódmej rano, żeby wdrożyć procedury, które zacną nazwą „śniadania" określać mogą tylko szczęśliwcy niewiedzący, jaką męką jest wciskanie składników odżywczych w dwójkę zaspanych pyszczków. Gdy podsumowałem wszystkie te dni, otrzymana liczba wydała mi się niemożliwa. A przecież na co dzień wykonywałem wszystkie czynności na autopilocie, powtarzalnie – bo też i menu w miarę dorastania nie zmieniało się prawie wcale. Ot, jajka, tosty, płatki, sok, walka o choć kęs owocu, chyba że zdążyłem upiec jabłka – to zawsze smakowało. Na pamięć, ale jednak z pewną dozą miłości. Bez myślenia, ile już tego było i ile jeszcze będzie, za to z poczuciem, że trwanie jest życiem.

W śniadaniu jest potencjał medytacji. Oddech, trwanie, droga znikąd donikąd, czynność, która nic nie znaczy poza tym, czym jest: kromka na talerzu, powolny ruch noża, palce wyławiają ogórka ze słoja, oblizać koniecznie. Pierwsza kawa jest zawsze pierwsza, choć się ją piło już tyle razy w tym roku, tylko za oknem przybywa światła. W szybie zaspana twarz istoty, którą będziemy budzić jeszcze tyle tysięcy razy. ©℗

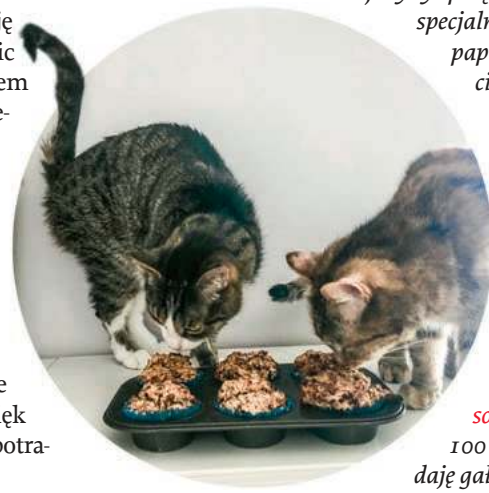

PAWEŁ BRAVO

Spośród przyjemnych śniadaniowych rzeczy, które mogą nam zrobić uwięzione w domu dzieci, pierwsze są muffinki. Jedyny sprzęt, który musimy do nich posiadać, to specjalna blaszka z zagłębieniami, bo nawet papilotki możemy zrobić sami z kółek wyciętych z papieru do pieczenia. A poza tym – tylko dwie miski, łyżka i widelec, dużo zapału i łatwe sprzątanie. Podstawową zasadą jest wymieszanie składników suchych i mokrych osobno, potem szybkie i nie całkiem dokładne łączenie ich w grudkowatą masę. Bazowy przepis na słodkie muffinki z owocami (mogą być mrożone): łączymy 375 g mąki (może być częściowo razowa) z dużą szczyptą soli i 2 łyżkami proszku do pieczenia, 100 g cukru i przyprawami: do truskawek daję gałkę muszkatołową, do porzeczek kardamon, do malin i jabłek – cynamon. A w drugiej misce mieszamy 60 g stopionego masła z 200 ml mleka i z 1 jajkiem. Płynne składniki wlewamy do sypkich, dodajemy 350 g pokrojonych drobno owoców i szybko mieszamy widelcem, przekładamy do papilotek (każdą wypełniamy do połowy). Pieczemy w 180 st. C ok. 20 min.

ŻAL LADY FRANKLIN

Na długo przed afrykańskimi przygodami Davida Livingstone'a wiktoriańska Anglia żyła tajemnicą zaginięcia najsłynniejszej wyprawy arktycznej.

MARCIN ŻYŁA

Na czarnym klifie, tak niskim, że fale rozbryzgują się ponad jego krawędzią, klęczy 58-letnia kobieta. W deszczu i orkanie, który targa połami ciężkiego płaszcza, modli się, aby wiadomości, które otrzymała, okazały się fałszywe.

Jest rok 1854. Od kilku dni Londyn plotkuje o newsie dekady. Oto powracający z mórz arktycznych szkocki podróżnik John Rae miał poznać los zaginionej wyprawy sir Johna Franklina, która dziewięć lat wcześniej wypłynęła szukać nowej drogi do Azji. Napotkani na rubieżach kolonii kanadyjskich Indianie (właściwie Inuici) powiedzieli mu o białych ludziach z uwięzionych przez lód żaglowców, błądzących po śnieżnych pustyniach, podzielonych na walczące ze sobą grupy – i zjadających się nawzajem.

Kanibalizm

Po latach walki o dobre imię męża w gabinetach oficerów Admiralicji i ufundowaniu czterech wypraw ratunkowych Jane Franklin przyjdzie teraz dementować najcięższe oskarżenia. Zaprzeczy raportom Johna Rae. Wspierana m.in. przez Charlesa Dickensa uzna, że Johna i jego towarzyszy zamordowali Indianie. Jeszcze przez 21 lat będzie sponsorować jego poszukiwania.

Na razie nie wierzy w śmierć męża. Dlatego modli się tutaj, na Out Stack, skalistej wysepce o średnicy kilkudziesięciu metrów, którą Szkoci nazywają „*full stop*", „kropka" – bo jak zdanie kończy na mapie archipelag szetlandzki. To najdalej na północ położony fragment Brytanii. Na tym ostatnim klifie Lady Franklin będzie przez chwilę tak blisko Johna, jak tylko się da.

Poprawić Kolumba

Dziewięć lat wcześniej atmosfera była inna. Gdy 19 maja 1845 r. z Greenhithe, portu na dolnej Tamizie, odbijały okręty HMS „Erebus" i HMS „Terror", wierzono, że tym razem się uda. Była to 19. z kolei ekspedycja w poszukiwaniu prawdziwej „zachodniej drogi do Indii". Krzysztofa Kolumba kiedyś

PAINTERS / ALAMY / BEW

„Man Proposes, God Disposes" (Człowiek zamierza, Bóg decyduje) – kontrowersyjny obraz Edwina H. Landseera z 1864 r., projekcja londyńskich wyobrażeń o losie wyprawy Franklina. Ze zbiorów Royal Holloway College w Londynie

zatrzymał ląd – John Franklin na „Erebusie" i Francis Crozier, kapitan „Terrora", mieli pokonać lód.

W połowie XIX w. podróż z Anglii do Azji wymagała wciąż opłynięcia przylądka Horn i zajmowała pół roku. Brytyjczycy, którzy już od trzystu lat odkrywali wody Arktyki, podejrzewali jednak, że na północ od lądu amerykańskiego i na zachód od Grenlandii, w labiryncie górzystych archipelagów, skutych lodem cieśnin i mgielnych zatok, istnieje szlak, który wyprowadzi ich statki na otwarte wody Morza Beauforta i dalej, przez cieśninę Beringa, skróci żeglugę na Daleki Wschód. Nazwali ten szlak Przejściem Północno-Zachodnim.

Po wojnach napoleońskich jego wytyczenie stało się obsesją Admiralicji, a zwłaszcza jej drugiego sekretarza Johna Barrowa. To on wysyłał na północ kolejne wyprawy, kierowane przez Williama Edwarda Parry'ego, Jamesa Clarka Rossa czy Johna Rossa. Płynące pod dowództwem tego ostatniego okręty „Isabella" i „Alexander" już w 1818 r. dotarły do położonej za kołem podbiegunowym Cieśniny Lancastera, atlantyckiego wylotu Przejścia Północno-Zachodniego. Ujrzawszy przed sobą nakładające się na siebie lodowe wyspy, Ross uznał je jednak za pasmo górskie, cieśninę zaś za zatokę – i nakazał odwrót. Kolejne ekspedycje gubiły się w plątaninie kanałów i fiordów, wyprawy lądowe przywoziły tylko mapy wybrzeży Labradoru i Jukonu.

Trzy lata, tysiąc książek

W połowie XIX w. morskie wyprawy polarne były tym, czym dziś jest eksploracja kosmosu – wyścigiem zaawansowanych technologii, na który stać było tylko kilka państw. Dzioby okrętów wojennych „Erebus" i „Terror", które już wcześniej pływały po Arktyce i Antarktyce, wzmocniono żelaznymi prętami, by bezpiecznie rozpruwały lód. Zamontowano napędzające śruby silniki parowe, które miały ułatwiać żeglugę w krze, oraz prymitywny system centralnego ogrzewania przy pomocy gorącej wody.

Podczas poprzedniej ekspedycji Franklina aż ośmiu marynarzy zmarło z głodu – a on sam zyskał przydomek „tego, który zjadł własne buty". Tym razem miało być inaczej, zaufano bowiem kolejnemu wynalazkowi – jedzeniu w puszkach. Miało zwolnić 134 uczestników wyprawy z konieczności postojów na polowania i oddalić ryzyko głodu. Pod pokłady obu okrętów załadowano 14 ton konserw. Biblioteki wyposażono w tysiąc książek – aby podczas kilkumiesięcznych postojów zimą było czym zająć głowę. Mięsa i literatury miało starczyć na trzy lata.

Podróżników żegnało w Greenhithe 10 tys. ludzi. „Erebus" i „Terror" zatrzymały się na Orkadach i w zatoce Disko na zachodzie Grenlandii, gdzie na pokładzie towarzyszącego im przez chwilę statku transportowego zarżnięto dziesięć wołów i uzupełniono zapasy wyprawy o świeże mięso. Potem Franklin i Crozier ruszyli kursem północ-północny zachód w stronę Cieśniny Lancastera.

28 lipca 1845 r. w Zatoce Baffina minął ich brytyjski statek wielorybniczy – był to ostatni raz, kiedy „Erebusa" i „Terrora" widzieli Europejczycy.

Cisza i szum

Minęły trzy zimy. Podczas wielkiego głodu zmarło milion Irlandczyków. W Kalifornii wybuchła gorączka złota. Emily ↦

↦ Brontë napisała „Wichrowe wzgórza", Marks i Engels ogłosili „Manifest komunistyczny". Rządy w Austrii objął Franciszek Józef. Odkryto Neptuna.

Ale ani z Północy, ani z Dalekiego Wschodu nie docierały do Anglii żadne wiadomości o wyprawie, z którą wiązano takie nadzieje. Lady Franklin zaczęła regularnie podróżować między Londynem, gdzie lobbowała za wyprawą poszukiwawczą, a Orkadami, gdzie zawijały wracające z Arktyki statki wielorybnicze. W marcu 1849 r. wręczyła ich kapitanom list z obietnicą nagrody w wysokości 3 tys. funtów za pomoc w poszukiwaniach „sir Johna Franklina i jego dzielnych towarzyszy". Kilka miesięcy później Admiralicja podbiła stawkę do 20 tys. funtów.

W 1850 r. w Arktyce pływało już 13 okrętów szukających „Erebusa" i „Terrora". O sprawie zaczęły znowu pisać londyńskie dzienniki – w końcu od trzech stuleci nie stracono tak dużej ekspedycji. Dopiero dwie dekady później tajemnicę wyprawy Franklina przyćmi zaginięcie w Afryce Davida Livingstone'a.

Ślady

Ze strzępów informacji, jakie przywoziły kolejne ekspedycje poszukiwawcze, próbowano odtworzyć losy wyprawy Franklina.

Już w 1850 r. na wyspie Beechey, położonej 400 km w głąb Cieśniny Lancastera, odkryto groby trzech marynarzy zmarłych, jak wtedy uważano, na szkorbut (w latach 80. XX w. ekshumacja szczątków wykazała, że przyczyną śmierci była jednak gruźlica). Uznano, że „Erebus" i „Terror" przeczekały u brzegów wyspy pierwszą zimę.

Dwie kolejne wyprawy sponsorowane przez Lady Franklin wróciły do Anglii z niczym.

Dopiero rok 1854 przyniósł raport Johna Rae, który wzburzył żonę Franklina tak, że popłynęła modlić się na najdalszą wyspę Szetlandów. Rae napotkał Inuitów z fragmentami lunety, kieszonkowym nożem i drewnianą skrzynią z wyposażenia wyprawy. Było już wiadomo, że na Północy stało się coś strasznego.

Cztery lata później admirał Francis McClintock, wynajęty przez Lady Franklin, dotarł na okręcie „Fox" 600 km dalej, dobijając do brzegów Wyspy Króla Williama. Znalazł tu porzuconą łódź i dwa szkielety, a w innym miejscu – włożoną w stos kamieni metalową puszkę z formularzem Admiralicji i zwięzłą notatką: „Wszystko w porządku, dowodzi sir John Franklin – maj 1847 r.". Na marginesie była jednak późniejsza o rok adnotacja. Francis Crozier, kapitan statku „Terror", informował o tym, że drugi raz z rzędu lód w okolicy nie stopniał na lato, oba okręty zaś nie zmieniły położenia.

Dopisał też: „Sir John Franklin zmarł 11 czerwca 1847 r. Do teraz śmiertelne straty wyprawy wynoszą 9 oficerów i 15 marynarzy".

Narodziny legendy

Ogłoszony wkrótce drukiem przez McClintocka dziennik poszukiwań wyprawy Franklina, „The Voyage of the »Fox« in the Arctic Seas", przez chwilę sprzedawał się w Londynie lepiej niż powieści Dickensa. Natchnął też malarza Edwina H. Landseera – uwielbianego dotąd przez brytyjską arystokrację za portrety koni i psów gończych – do wystawienia w 1864 r. swojego najbardziej kontrowersyjnego dzieła.

Podobno kiedy Lady Franklin zobaczyła go podczas dorocznej wystawy letniej w Royal Academy, przyspieszyła kroku. Obraz „Człowiek zamierza, Bóg decyduje" przedstawiał bowiem niedźwiedzie polarne, w lodowej scenerii Oceanu Arktycznego rozszarpujące pozostałości okrętów należących do ekspedycji jej męża. Przedstawienie było wizją artysty – można je jednak uznać za projekcję masowej wyobraźni londyńczyków, sumę drukowanych w magazynach ilustracji i rysunków oraz coraz bardziej wymyślnych teorii o losie wyprawy. Podwójne źródło światła – jedno odbijające się na czubku góry lodowej z lewej strony przedstawienia i drugie, dochodzące znad horyzontu, jakby przygaszone – zaczerpnął Landseer wprost ze wspomnień McClintocka: „Ciemna, ponura głębia arktycznej zimy, śmiertelna cisza, mróz i mroczne, zachmurzone niebo; i wszystko to podkreślone przez jedno z tych dziwnych księżycowych zjawisk... Mgła nadała tej scenerii upiorny odcień".

Właśnie tu, na wernisażu Landseera i na skalistej Out Stack rodziła się legenda wdowy po Johnie Franklinie, legenda, z której kultura anglosaska czerpie do dziś – czy to w postaci ballady londyńskich ulic „Lady Franklin's Lament", którą w kolejnym stuleciu śpiewał Bob Dylan, czy serialu „The Terror" (2018), w którym jej naciski na oficerów Admiralicji ukazano jako heroiczną w tamtych czasach próbę wpływu na zdominowane przez mężczyzn elity. Jak w wielu mitach, w opowieści o Lady Franklin pomija się ciemne strony jej charakteru – jej niechęć do ludności rdzennej i uporczywe oskarżanie Inuitów o zabójstwo męża.

Inny punkt widzenia

Właśnie ignorowane w tamtych czasach przez Brytyjczyków świadectwa Inuitów pomogły poznać losy uczestników wyprawy Franklina – a nawet, kilka lat temu, niemal ostatecznie rozwikłać jej zagadkę.

Trzeba było jednak lat, aby uwierzono pewnemu amerykańskiemu dziennikarzowi i badaczowi. Charles Francis Hall spędził wśród Inuitów na Wyspie Króla Williama pięć długich lat – i w 1869 r. ogłosił opinii publicznej, co od nich usłyszał.

Mówili mu:

O rozbitym na wyspie, z dala od zablokowanych przez lód okrętów, obozie, w którym znaleźli wiele ciał i porzucony sprzęt. Dziąsła zmarłych były czarne – prawdopodobnie chorowali na szkorbut.

O odkrytych przy nich puszkach z konserwami, w których Hall i inni znaleźli ołów. Stosowano go w pierwszych latach produkcji konserw – a zatrucie tym metalem powoduje m.in. problemy z koncentracją, dezorientację w czasie i przestrzeni, może prowadzić do paranoi. To pasowało do innych świadectw – o tym, że upadła dyscyplina i załogi „Erebusa" i „Terrora" rozproszyły się po wyspie.

O wizycie, jaką jeszcze na jednym ze statków miał złożyć podróżnikom stary Inuita. Załoganci, jak potem opowiadał, mieli czarne twarze i ręce. Kapitan – prawdopodobnie Crozier, który po śmierci Franklina musiał przejąć dowództwo wyprawy – miał przestrzec mężczyznę przed odwiedzaniem zbuntowanego obozu na wyspie.

O tym, że jakiś czas później, podczas polowania, spotkali około 30 mężczyzn zdążających na południe. Byli wychłodzeni, nie mieli jedzenia. Inuici zostali z nimi na noc, podzielili się mięsem.

O tym, że w 1851 r. jeden z myśliwych w innej części wyspy przezimował w swoim namiocie czwórkę mężczyzn – oznaczałoby to, że niektórzy załoganci przeżyli w Arktyce nawet sześć lat.

Zabił lód

Dziś wiemy już, gdzie John Franklin podjął, zapewne nieświadomie, najgorszą decyzję, która kosztowała życie członków wyprawy.

Latem 1846 r. „Erebus" i „Terror", zostawiając za sobą na Beechey groby trzech marynarzy, popłynęły na południe przez wąską cieśninę Peel. To niepozorne miejsce było, jak się później okazało, kluczem do całego Przejścia Północno-Zachodniego. Cieśnina otwierała bowiem drogę do systemu kanałów i lodowych przejść, które ostatecznie prowadziły na zachód, do Cieśniny Beringa.

John Franklin nie miał jednak świadomości, że gdy za prawą burtą jego statków przesuwały się brzegi Wyspy Księcia Walii, po jej drugiej stronie, zasłonięte przez ląd, szerokim kanałem płynęły z północy olbrzymie masy lodu arktycznego. Miał je napotkać dopiero pod koniec lata. To one uwięziły okręty na zawsze.

Wyprawa miała pecha. Wykonane niedawno badania warstw lodu wykazały, że lato roku 1847 (wtedy zmarł Franklin) było pierwszym, w czasie którego w regionie nie ustąpił lód. „Wieczna" zima miała potrwać kolejne pięć lat.

Polarnicy nie byli przygotowani do polowań ani poruszania się po śniegu. W wyposażeniu okrętów brakowało lekkich sań – łodzie, które szukający ratunku musieli ciągnąć po śniegu, ważyły ponad 600 kilogramów. Przypuszcza się, że po trzech arktycznych zimach – spędzonych w ciemności i hałasie spiętrzającego się lodu – niektórzy członkowie ekspedycji spróbowali ucieczki na południe. Wiedzieli, że tysiąc kilometrów na południe, na brzegach Zatoki Hudsona, znajdują się kolonialne osady.

Nigdy do nich nie dotarli.

Losy prawie wyjaśnione

W 2014 r. udało się zlokalizować wrak HMS „Terror", dwa lata później zaś znaleziono szczątki HMS „Erebus". Ten drugi statek spoczywa na dnie w doskonałym stanie – kamery batyskafu opuszczonego do mesy oficerskiej zarejestrowały nienaruszone talerze i dwie butelki wina. Kilka miesięcy temu, po 93 podwodnych przeszukaniach, w Ottawie zaprezentowano niektóre przedmioty wydobyte z pokładu. Największe zainteresowanie dziennikarzy wzbudziły słowa szefa ekipy nurków o tym, że we wraku „Erebusa" odnaleziono przedmiot należący do członka załogi drugiego statku; a także, że spora część ładowni była pusta. To potwierdzałoby przypuszczenia, że 172 lata temu pozostali przy życiu członkowie ekspedycji opuścili wcześniej „Terror", kierując się na południe.

Dotąd przeszukano 3 z 17 sekcji okrętu. Latem tego roku ciąg dalszy. Na nurków czeka m.in. mesa Franklina – jest nadzieja, że w niej kryje się tajemnica ostatnich momentów wyprawy.

Rok 1854 przyniósł raport Johna Rae, który napotkał Inuitów z fragmentami lunety, kieszonkowym nożem i drewnianą skrzynią z wyposażenia wyprawy. Było już wiadomo **– stało się coś strasznego.**

Co ciekawe, w dyskusji na temat przynależności wraku biorą już udział Inuici, ignorowani w tej historii przez całe dekady. Jeden z nich przyczynił się zresztą do znalezienia HMS „Terror" – jadąc którejś zimy skuterem, zauważył wystający spod lodu fragment masztu. Sfotografował go, ale wracając, zgubił telefon, co uznał za zły omen. W końcu wśród Inuitów od pokoleń krążyły przerażające opowieści – jak ta o myśliwym, który natknął się na ciało Europejczyka z twarzą wykrzywioną w makabrycznym grymasie; miał to być tzw. uśmiech sardoniczny, typowy dla chorujących na szkorbut. Opowieść o maszcie i miejscu, gdzie go widział, trzymał w tajemnicy osiem lat.

Zatoka Franklina

Oficjalne poszukiwania najsłynniejszej wyprawy arktycznej XIX w. odwołano w Anglii w 1859 r.

W czerwcu 1875 r. Lady Franklin wyprawiła z Anglii jeszcze jeden statek poszukiwawczy. Zmarła miesiąc później. Jej pogrzeb zgromadził najsłynniejszych brytyjskich polarników i był symbolicznym końcem epoki.

Jeszcze przez pół wieku po Franklinie nikt nie przebył Przejścia Północno-Zachodniego. Udało się to dopiero norweskiemu polarnikowi Roaldowi Amundsenowi, który potem zdobył sławę jako ten, który pierwszy dotarł do bieguna południowego. Na okręcie „Gjøa" dopłynął on do północnego krańca Wyspy Króla Williama, ale nie popełnił błędu Franklina. Zamiast próbować minąć ją od zachodu – gdzie gromadził się największy pak lodowy – nadłożył drogi i opłynął ją od wschodu, wąską i płytką cieśniną, wolną jednak od kry.

17 sierpnia 1905 r., minąwszy od południa Wyspę Wiktorii, „Gjøa" wypłynęła na otwarte wody Morza Beauforta. Wyprawa musiała jeszcze przezimować, lecz zniecierpliwiony Norweg wyprawił się lądem 800 km i 5 grudnia, z osady Eagle na Alasce, gdzie znajdował się najbliższy telegraf, nadał depeszę o swoim sukcesie.

Miejsce, gdzie zacumował jego statek, nazywa się dziś Zatoką Franklina.

©℗ MARCIN ŻYŁA

POŻEGNANIE

Z żalem informujemy o śmierci

Ś.†P.

Marka Lehnerta

urodzonego w 1950 roku,
wieloletniego korespondenta Polskiego Radia w Rzymie,
przez blisko pół wieku
współpracującego z naszym pismem.

Bliskim Zmarłego składamy wyrazy współczucia

REDAKCJA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

STANISŁAW

Mancewicz:
O potrzebach zbędnych

Rzecz jasna znamy już zestaw potrzeb niezbędnych, bo zostały one zdefiniowane w zarządzeniach państwowych i są ogłaszane przez megafony zamontowane na autach jeżdżących naszymi ulicami. Tym samym nie będziemy się tu nad owymi urzędowo zalegalizowanymi potrzebami rozwodzić, a ich satysfakcjonujące zaspokajanie musi nam – zdaje się – wystarczyć. Jednak – to chyba oczywiste, że jeżeli z pełnego wiaderka potrzeb ludzkich odcedzimy owe potrzeby niezbędne i legalne, to gdzieś na dnie, gdy pogrzebiemy kijkiem, zobaczymy nieco potrzeb zbędnych, a może i nielegalnych stuprocentowo. Trzeba się im przyjrzeć, bowiem, być może – to projekcja pesymistyczna – jest to ostatnia chwila, gdy je widać.

Potrzeby zbędne – pomijając tę zbitkę, będącą językową osobliwością do wymyślenia wyłącznie na skajowym fotelu stojącym w polskim urzędzie – być może pozostaną zbędne na bardzo długo; na znacznie dłużej niż czas szalejącej choroby wywoływanej wirusem. Po wtóre – popatrzmy – próba znalezienia konkretnej odpowiedzi na pytanie, czym są potrzeby zbędne, jest wbrew pozorom niełatwa. Choć nasza myśl uchodzi za niezwykle skrzydlatą, a nasze zdolności szybowania są w pewnych kręgach uznawane za wybitne, nie jesteśmy w stanie zebrać myśli na tyle, by teraz zrobić katalog potrzeb nam zbędnych. A przecież, wobec ogłoszenia zestawu potrzeb niezbędnych, pokusa stworzenia takiego spisu wydaje się paląca.

Na razie w ramach ćwiczenia weźmy potrzebę krytyki działań tutejszego rządu. Czy jest to – warto zapytać – potrzeba zbędna czy konieczna? Niewątpliwie z punktu widzenia rządzących, wszelką krytykę należy uznać za zbędną gruntownie, nie od dziś zresztą, i nie od czasu, gdy świat się rozchorował. Od dawna. Wszelką dyskusję nad zbędnością krytyki da się zamknąć na wiele sposobów, tych sposobów władza ta kilka już wypróbowała i – co nieuniknione – wypróbuje ich jeszcze nieco.

No więc, póki czas, spróbujmy jednak zapytać, czy w ramach potrzeby niezbędnej można nazwać „Tarczę antykryzysową" aktem pozornym? Na razie można. Czy nazwę tej pozornej akcji można uznać za klasykę tutejszego nadęcia? Można. Czy w ramach tej samej potrzeby niezbędnej można wypowiedzieć się na temat oznak skrajnego styrania ministra zdrowia? Dzięki Bogu, wciąż można, choć jest to ryzykowne. „Dlaczego ów człowiek ma takie wory pod oczami?" – pytamy samych siebie, próbkując tym samym nasz patriotyzm i badając zdolność do empatii. Otóż, w ramach potrzeby niezbędnej, rzec trzeba, że ten człowiek ma jednak pięciu zastępców na solidnych etatach, z których każdy ma zapewne takoż co najmniej jednego wicezastępcę. Żaden z nich oznak styrania nie przejawia, co nas i dziwi, i nie dziwi. Czy – idźmyż dalej – to styranie czemuś służy? Czy ma dać nam – ludziom nieinteligentnym – do zrozumienia, że pan minister jest bardzo zapracowany, zmęczony i zatroskany? To bardzo miłe, że rząd czterdziestomilionowego kraju tak niezwykle sugestywnie daje nam do zrozumienia, że pracuje. Dziękujemy. Inaczej byśmy się nie domyślili.

Ponieważ przez kilka ostatnich dni widzieliśmy nieco naprawdę styranych ludzi, owo styranie ministra szczególnie przykuło naszą uwagę. Pytamy w ramach potrzeby niezbędnej – czy to nie jest po prostu cholernie dziecinne? I czy kiedykolwiek tutaj, u władzy, pojawi się człowiek, który zauważy, że to jest też kraj ludzi dorosłych? Ciekawe, kiedy. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

WYBRANY W MAJOWYCH WYBORACH PREZYDENT SKŁADA PRZYSIĘGĘ PRZED ZGROMADZENIEM NARODOWYM.

TYGODNIK POWSZECHNY

1%

W marcu 2020 roku świętujemy 75-lecie „Tygodnika Powszechnego”

Przyjaciele!

Bez Was i Waszego wsparcia nie moglibyśmy robić takiego pisma, jakie byśmy chcieli Wam dać i jakiego oczekujecie.

Szczególnie w tym roku, naszego 75-lecia, prosimy o przekazanie nam 1% w rozliczeniu rocznym, a także o darowizny – aby „Tygodnik” mógł trwać kolejne 75 lat, tak jak do tej pory, niezależnie od okoliczności.

ks. Adam Boniecki

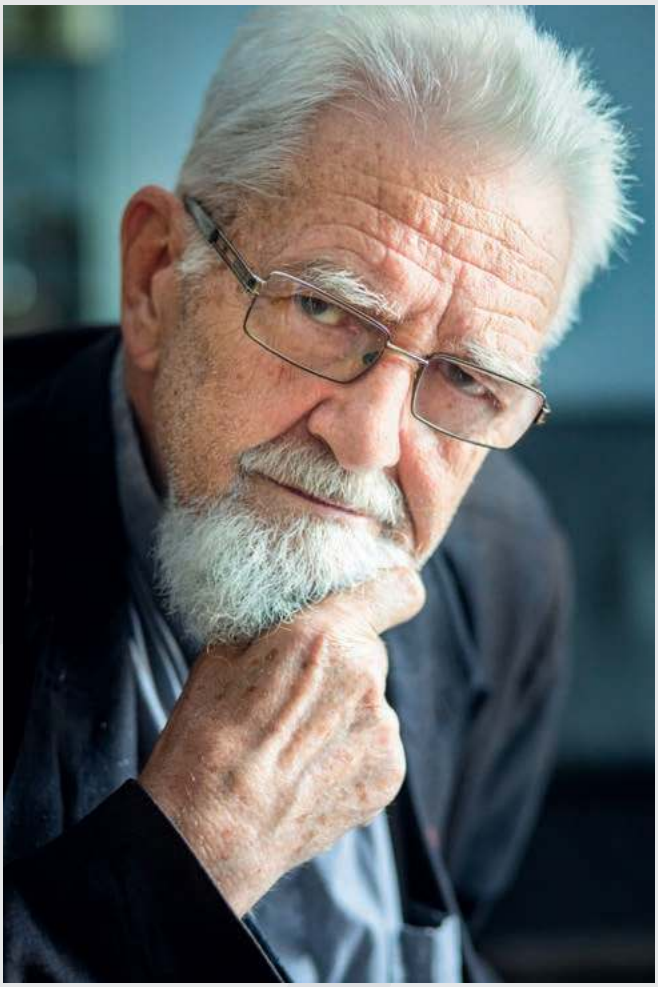

FOT. GRAŻYNA MAKARA

Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

Wpisz w zeznaniu podatkowym

nr KRS 0000125605

a w rubryce Cel szczegółowy 1%: TP75

Więcej informacji: powszech.net/jedenprocent

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:

Santander Bank Polska S.A.

31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): powszech.net/dar

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO 1%

OGŁOSZENIE OPP

REKLAMA

WIOSENNY NUMER

DO czytania i słuchania
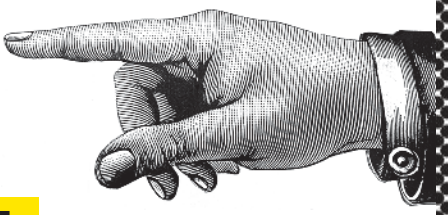
kup na przekroj.pl